Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 30 (1426) ROK XXVIII 27 LIPCA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- „Wielki las" Zbigniewa Nienackiego
- Video, porno i mgła
- Dzieci kosmosu
- Jedenaście dni w Kołobrzegu
- Rycerz Czerwonego Krzyża

Z namiotem i pierzyną

TERESA JERZYKOWSKA

Zawsze w sezonie letnim sprawy związane z wypoczynkiem, urlopami należą do najczęściej poruszanych tematów. W tym roku do rozmyślań, gdzie i kiedy pojechać, dołącza się często jeszcze pytania: za ile? czy wystarczy pieniędzy. Pytania te zadają sobie nie tylko osoby wybierające się na urlopy, ale także pracownicy działów socjalnych, wszystkich niemal zakładów, które muszą płacić za wczasy załóg. W prasie natomiast pojawiają się artykuły, których autorzy zastanawiają się, co można zrobić aby koszt letniego wypoczynku nie pogrążył rodziny w długach do końca roku.

Wzruszył mnie niezmiernie np. felietonista z tygodnika „Veto", radzący czytelnikom skorzystanie z przykładu swoich znajomych (małżeństwo z dwojgiem dorastających dzieci), którzy udali się na wieś, znaleźli rolnika, któremu brak rąk do pracy w gospodarstwie i u niego właśnie spędzili urlop — za darmo, a jeszcze na jesień kartofli dostali — w zamian za pomoc przy sianokosach, żniwach i w domu. Obie strony były zadowolone, w tym sezonie znowu wybierają się do — zaprzyjaźnionego już — rolnika.

Ponieważ wielu rolników ma podobne kłopoty — felietonista zachęca do naśladownictwa: wypoczynek znakomity i pożyteczny, a przy tym za darmo. Nie mam oczywiście nic przeciwko takiemu spędzaniu urlopu — pod warunkiem jednak, że robi to kto inny. W ogóle zresztą wszelkie rozważania, jak odpocząć za małe pieniądze przypominają mi własne wakacje sprzed wielu lat, kiedy to właśnie brak pieniędzy wpłynął na moją decyzję o pożyczeniu namiotu. Oczywiście pojechaliśmy nad morze.

Do tej pory ze zgrozą wspominam ten sam codziennie, przez cały miesiąc, zestaw śniadaniowy: nie wypieczone bułki i piwo (bo tylko takie produkty oprócz paskudnego bigosu, można było dostać w kiosku spożywczym na polu namiotowym) sanitariaty, z których nie można było korzystać, kąpali się więc wszyscy w morzu, a wieczorem spotykali w krzakach, otaczających camping (na szczęście teren nie był oświetlony), a także sensacje jaką wzbudzałam wśród większości namiotowiczów, kiedy po tygodniu pogody takiej jak obecnie, zażądałam przysłania z domu pierzyny, którą w słoneczne dni wietrzyłam na płocie.

Można więc spędzić urlop tanio — a poza tym niebanalnie — tylko... nie każdy będzie się czuł rzeczywiście wypoczęty po ta-

6

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wyjść z kryzysu...

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„Wszyscy próżnujący i pijanice i każdy kto źle czasu swego używa, powinien być karany, przymuszony do pracy, albo wygoniony z Rzeczypospolitej..."

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI

Powyższe motto — to bynajmniej nie recepta na niektóre nasze jakże dotkliwe dolegliwości, lecz przyczynek do uświadomienia sobie raz jeszcze, że dolegliwości te, jak i inne zresztą, to *„nihil novi sub sole"*.

Lata osiemdziesiąte zaczęły się nam kryzysem o rozmiarach w czterdziestoleciu powojennym niespotykanych i półmetek tej dekady na rychłe wyjście z kłopotów nadziei nie stwarza. Władza, dwojąc się i trojąc, co jakiś czas z ulgą konstatuje, że czegoś tam znów jest trochę więcej niż porównywalnie w roku ubiegłym i zaabsorbowana jest właściwie jedną tylko sprawą, niewątpliwie bardzo istotną — napełnieniem żołądków dynamicznie rozrastającego się, już ponad 37-milionowego narodu. Poprawa mimo interesujących programów i dobrej woli ich autorów przebiega jednak bardzo powoli, przy czym z całą świadomością problemów dewizowych, surowcowych czy technologicznych, przyczyn szukać trzeba także w innych sferach życia społecznego.

Mówi się u nas głównie o trwającym kryzysie ekonomicznym. Trudno się temu dziwić, bo braki artykułów konsumpcyjnych odczuwa się bezpośrednio i w sposób szczególnie dotkliwy, a poza tym są to sprawy najłatwiejsze do natychmiastowego zauważenia. O doprowadzenie do takiego stanu mają ludzie najwięcej pretensji do władzy, do ekipy lat siedemdziesiątych, a na głowę Edwarda Gierka i jego najbliższych współpracowników sypią się gromy w kilometrowych kolejkach po mięso, czy jakieś atrakcyjne artykuły przemysłowe. Rzecz w tym natomiast, że nie to stanowi grzech główny ekipy poprzedniej dekady. Ten grzech główny, to doprowadzenie do głębokiego, trwającego po dziś dzień kryzysu moralnego. Lansowany konsumpcyjny styl życia, który osiągać zaczął swą zwyrodniałą formę — bogać się kto może — eliminował z życia społecznego jedną po drugiej, wartości określające charakter socjalistycznych przeobrażeń. Bakcyl drobnomieszczaństwa, wierny towarzysz takiego stylu życia — zaczął zarażać także partyjny i państwowy aparat i w tym wszystkim pomału ginął człowiek, jego potrzeby i jego perspektywy.

Kryzys moralny — jako grzech główny, którego się dopuszczono, można tak określać i z tego powodu, że jest on wyjątkowo trudny do przezwyciężenia. Z kryzysu gospodarczego na ogół wychodzi się w kilka, w trudniejszych przypadkach w kilkanaście lat, natomiast z kryzysu moralnego można wychodzić całe dziesięciolecia, a pamiętać przy tym należy, że właśnie kryzys moralny wyjątkowo ostro rzutuje na wychodzenie z kryzysu ekonomicznego, politycznego i każdego innego.

Karol Marks określał świadomość społeczną jako *„materię konserwatywną"* dla podkreślenia, że procesy zachodzące w tej sferze nie nadążają za przeobrażeniami stosunków produkcji i instytucji ustrojowych i że ma to miejsce szczególnie w okresie szybkich przemian. U nas zafascynowano się sukcesami w dziedzinie utrwalania panowania ekonomicznego i politycznego zapominając, że do pełni szczęścia, a więc rzeczywistego panowania klasowego niezbędne jest także panowanie w sferze świadomości. Cytowano wprawdzie Marksa, że *„myśli klasy panującej są w każdej epoce myślami panującymi, tzn. klasa będąca panującą w społeczeństwie siłą materialną jest zarazem panującą w nim siłą duchową"*, ale tak naprawdę liczyły się głównie wskaźniki ekonomiczne. Podejmując konsekwentnie pracę dla człowieka zapominano, lub jako

3

Czy każdy robi to, co użyteczne?

BRONISŁAW MUSZYŃSKI

Nasze miejsce na gospodarczej, a tym samym politycznej mapie świata, zależeć będzie od poziomu społecznej efektywności pracy, od wielkości wytworzonego dochodu narodowego, przypadającego na jednego obywatela. To truizm na tyle oczywisty, że w zasadzie nikt na serio nie zajmuje się analizowaniem pracy z punktu widzenia jej wpływu na dochód narodowy.

To, że ktoś się napracuje, wyciśnie z siebie dużo potu, zużyje wiele środków materialnych, surowców, energii i pieniędzy, wcale jeszcze nie oznacza, że jego praca wzbogaciła nas wszystkich. Jeśli jedni z największym wysiłkiem i starannością będą kopać rów, a drudzy równie pieczołowicie będą go zasypywać, to choć wszyscy bardzo się napracują, społecznie użytecznego efektu nie będzie, natomiast będą społeczne straty — energii, narzędzi i czasu pracy. Stanęliśmy zatem wobec potrzeby podniesienia społecznej efektywności mierzonej nie tyle ilością potu, co wzrostem dochodu narodowego.

Sformułowanie tego problemu trudno uznać za odkrywcze i szczególnie pożyteczne. O potrzebie podnoszenia efektywności gospodarowania dużo mówi się i pisze od wielu lat bez widocznego skutku, a właściwie ze skutkiem ujemnym, jako że efektywność w porównaniu z połową lat siedemdziesiątych znacznie spadła.

Być może zbyt mało dyskutuje się na temat sposobów, metod i dróg prowadzących do wzrostu społecznej efektywności pracy. Również nauka organizacji i zarządzania nie wskazuje instrumentów, które praktycznie mogłyby się przyczynić do osiągnięcia celu, jakim jest wysoka efektywność. Nawoływanie do usprawniania organizacji, choć w samej rzeczy słuszne, trudno uznać za wystarczające. Dlatego musimy zacząć szukać i znaleźć nowe metody czyniące pracę mądrzejszą i efektywniejszą w skali społecznej. Jednym z takich skutecznych narzędzi, dotąd nie stosowanych w praktyce jest metoda analizy wartości organizacji (AWO)

CO TO JEST AWO?

Analiza wartości organizacji podobnie jak analiza wartości wyrobów, zmierza do wykrycia i eliminacji funkcji zbędnych, dla lepszego spełniania funkcji dotąd niedostatecznie lub zbyt drogo spełnianych. Metodyka AWO m.in. nakazuje, żeby wszystkie funkcje spełniane przez instytucje podzielić na zewnętrzne i wewnętrzne.

Funkcje zewnętrzne to takie, które są związane ze świadczeniem usług i załatwianiem spraw ludzi lub instytucji, dla których badana organizacja (urząd, instytucja) została powołana.

Funkcje wewnętrzne to takie, które są związane z obsługą pracowników danej instytucji.

Spełnianie funkcji zewnętrznych i wewnętrznych wiąże się z ponoszeniem często bardzo dużych kosztów. Jednak tylko funkcje zewnętrzne mogą dać efekty społecznie użyteczne, mogą przyczynić się pośrednio lub bezpośrednio do wzrostu dochodu narodowego. Funkcje wewnętrze, z punktu widzenia potrzeb danej instytucji są często niezbędne, ale choć pochłaniają dużo środków, to efektów społecznie użytecznych nie przynoszą. Dlatego działalność wszelkiego rodzaju instytucji powinna być oceniana pod kątem spełnianych funkcji i nie może wymykać się spod społecznej kontroli.

W okresie uporczywej walki o wyższą efektywność gospodarowania, trzeba oceniać każdą działalność, każdą pracę z punktu widzenia wpływu na wyniki gospodarcze. Pierwszą rzeczą jest zbadanie, czy wykonywana czynność przyczynia się do wzrostu dochodu narodowego oraz określenie kosztu tej czynności. Wyodrębnienie funkcji zewnętrznych i wewnętrznych pozwala odróżnić ziarno, czyli społecznie użyteczne funkcje zewnętrzne, od plew, czyli od nieużytecznych funkcji wewnętrznych. Ujawnienie tych funkcji i kosztów z nim związanych, pobudza, a w każdym bądź razie powinno pobudzać do

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045--139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania pranumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2174 P-2

Przegląd prasy

Jak to właściwie jest? Niby wszystkim nam chodzi o wspólne dobro, o sprawiedliwość, godność, dostatnie życie bezpieczeństwo i pokój, a porozumieć się we wspólnym dążeniu do tych celów jakoś nie potrafimy. Dlaczego? Wydawałoby się, że mówimy tym samym językiem, że używamy podobnej terminologii, że myślimy w podobny sposób, a mimo to jakoś nie potrafimy się porozumieć, choć na temat porozumienia, dialogu, rozmowy mówimy dużo, pięknie i bez skutku. Z podobnymi pytaniami zwróciła się do prof. Jerzego Adamskiego dziennikarka „KURIERA POLSKIEGO" (13 — 15 lipca 1985 roku) Jadwiga Radomińska. Stwierdziła ona, że prof. Jerzy Adamski działając publicznie i politycznie stara się.

NIE DOLEWAĆ OLIWY DO OGNIA

Dlaczego tak czyni?

— *„Idzie mi o to, żeby znaleźć racje możliwe do przyjęcia przez wszystkich, albo przynajmniej przez większość"* — wyjaśnia Jerzy Adamski.

— *„I jak Pan sądzi, udaje się to Panu?"* — pyta dalej Jadwiga Radomińska.

— *„Nie"* — odpowiada krótko Jerzy Adamski.

A zatem, po co to robić? Po co ten cały wysiłek?

— *„Porozumieć się* — powiada dalej Jerzy Adamski — *aby coś zrobić — oto sens polityki"*.

Ale co robić?

— *„Polityka* — mówi dalej Jerzy Adamski — *odpowiada na to pytanie, wyznacza cele Można je tylko wspólnie osiągnąć. Trzeba więc do nich przekonywać, a więc mówić, argumentować, usuwać antagonizmy i oto całe moje „niedolewanie oliwy do ognia"*.

Dlaczego mimo tego nie daje się porozumieć?

— *„Płonie ogień antagonizmów ideowych, sprzecznych interesów, a także antagonizmów politycznych. Podziały między ludźmi niekoniecznie są naiwne, łagodne i pozwalające mimo wszystko zgodnie współżyć. Brak porozumienia często polega na odmowie porozumienia, na aktach otwartej nienawiści, na podjazdowej walce zmierzającej do unicestwienia człowieka choć by tylko w oczach innych."*

Czy są więc jakieś dla nas perspektywy?

— „... są — odpowiada na taką wątpliwość Jerzy Adamski — *i to dobre, daleko sięgające. Jesteśmy narodem licznym i młodym, i więcej od nas samych zależy niż na ogół myślimy. To nie optymizm, tylko kalkulacja i ostrożna ocena rzeczywistości. Ale bez żółci."*

Ale ciągły spór trwa. Toczy się on wszędzie, tak jak przebiegają podziały. Często wśród przyjaciół, ludzi jednych zawodów i grup społecznych, poprzez rodziny również. Nic więc dziwnego, że Marek Jurkiewicz z „TRYBUNY LUDU" (nr 156 i 162 z 6 lipca i 13 lipca 1985 roku) zorganizował dyskusję, której nadał tytuł: *„Wokół społecznej doktryny Kościoła. Między teorią i praktyką"*. Uczestnicy tej dyskusji szukali odpowiedzi na pytanie:

JAK KOŚCIÓŁ WIDZI ROZWÓJ WSPÓŁCZESNYCH SPOŁECZEŃSTW

Wiesław Mysłek przypomniał encyklikę Leona XIII, która była ogłoszona w 1891 roku i *„była próbą politycznego samookreślenia Kościoła w procesie walki klasowej"*. Chodzi oczywiście o *„Rerum novarum"*, która to encyklika była krytyką socjalizmu i odrzucała go w całości. Ale zmieniły się czasy, zmieniły się poglądy i — powiada Wiesław Mysłek — *„w okresie II Soboru Watykańskiego pojawiła się tendencja do zaznaczania pozytywnej obecności Kościoła w różnych systemach społecznych"*. Obecnie w społecznej doktrynie Kościoła daje się zauważyć skłanianie się do koncepcji socjalreformistycznych.

Zdaniem Mirosława Nowaczyka *„w myśli społecznej Kościoła nie ma obecnie takiego modelu społecznego, który by Kościół prezentował i zalecał. W zamian są rozważania bardzo uniwersalne, bardzo globalne"*.

Kościół występuje — jak to podkreślił w dyskusji Stefan Opara — z hasłami, *„które mogą być i są szeroko akceptowane"* i to wśród ludzi różnych światopoglądów i różnych poglądów politycznych. *„Któż nie chce walki ze złem?* — pyta S. Opara. — *Któż nie chce sprawiedliwości? Któż nie chce, aby człowiek żył godnie? Itd"*. Zgadzam się, że każdy rozsądny człowiek je chętnie zaakceptuje, że zgłosi chęć walki o realizację takich haseł. Skąd więc trudność w porozumieniu się i współdziałaniu? *„Rzecz jednak w tym* — powiada na to S. Opara — *jak się te hasła rozumie. I to z jednej strony pozwala dziś w obrębie Kościoła nadal aktywizować się klerykałom, siłom reakcyjnym, które wykorzystują te hasła w celach walki z siłami postępu, ale stwarza też współcześnie pewne możliwości dla działań postępowych"*.

Kościół dziś nie wypowiada się zdecydowanie przeciwko socjalizmowi. Zajmuje raczej pozycję pośrednią. Ocenia systemy społeczne — jak na to zwrócił uwagę Mirosław Nowaczyk — z punktu *„urzeczywistnienia podmiotowości pracy i samego człowieka. I stwierdza, że w istniejącej rzeczywistości ani jeden, ani drugi system nie zapewnia takiej podmiotowości pracy, jaką zapewnić powinien idealnie"*. Tyle że w tym jakby ponadustrojowym spojrzeniu jest subtelna, krytyka socjalizmu realnego, w którym dominuje własność państwowa, a Kościół przekłada na nią syndykalistyczną formę własności, jako tę, *„która najlepiej mogłaby zapewnić podmiotowość pracy"*.

Kościół zdaje też sobie sprawę z tego, że nie wszyscy wierni, i to różnie w różnych krajach, nie oczekują od Kościoła gotowej formuły rozwiązań politycznych i społecznych, jak też otwartego politycznego działania. Podobnie zresztą i w Polsce nie wszyscy akceptują polityczne zaangażowanie niektórych księży. Kościół nie wycofuje się też ze sformułowanych przed 20 laty zasad dialogu z ludźmi *„dobrej woli"* na temat *„fundamentalnych* — jak to podkreślił M. Nowaczyk — *wartości, takich jak pokój sprawiedliwość, wolność itd."*. A Eulalia Michnowska stwierdziła wręcz, iż *„bez prowadzenia dialogu żadna ze stron w tej chwili nie może istnieć. Co więcej, w dialogu świat ma właściwie tylko tę jedną szansę, że będzie istnieć"*. I warto również pamiętać, że *„w obszarze spraw społecznych marksizm przejawia tak dużą siłę atrakcyjną dla ludzi współczesnych, iż Kościół po prostu musi to wziąć pod uwagę"*. A zatem — mimo wszystko — pozostaje tylko i jedynie dialog.

Nie bez znaczenia dla przyszłości tego dialogu jest fakt, na który zwrócił uwagę Stefan Opara, że *„praktyka jest taka, że nadal lepiej czują się w Kościele zwolennicy tendencji reakcyjnych niż zwolennicy tendencji postępowych"*. I to ten konieczny dialog utrudnia, a co więcej może spowodować, iż doktryna społeczna Kościoła polskiego przekształci się w doktrynę alternatywną do socjalizmu w Polsce i byłoby to dla Kościoła bardzo niekorzystne. W gronie katolików są jednak ludzie bardziej realnie nastawieni, którzy mimo trudności szukają płaszczyzn pozwalających na współdziałanie i porozumienie. I ten fakt budzi nadzieje.

Szczęśliwi na ogół są ludzie, którym świat ułożył się w raz ustalone schematy i w nich zastygł. Nie rozumieją oni bowiem potrzeb wynikających z nieustannego rozwoju, postępu, dążenia do zmian. A życie nie znosi zastoju. Zmieniające się nieustannie warunki wymagają innego spojrzenia nie tylko na teraźniejszość, ale i na przyszłość. Powiększa się nasza wiedza, rośnie doświadczenie, otwierają się archiwa i dziś już możemy — choć nie jest to łatwe — inaczej patrzeć też na historię. Oto Jerzy Ambroziewicz w „KULTURZE" (nr 7 z 17 lipca 1985 roku) pisze o nowej i bulwersującej książce dwu amerykańskich historyków: Davida Hapgooda i Davida Richardsona pt. *„Monte Cassino:*: w której opisują to

CO DZIAŁO SIĘ NA MONTE CASSINO

przed alianckim atakiem na klasztor.

„Klasztor w swej długiej historii — pisze Jerzy Ambroziewicz — *był w niebezpieczeństwie tylko trzy razy. Pierwszy pod koniec VI wieku, kiedy to Półwysep Apeniński opanowali Longobardowie; drugi — podczas najazdu Saracenów w 883 roku i trzeci — podczas trzęsienia ziemi w 1349 roku. Od tamtego czasu — od sześciu wieków — klasztor na Monte Cassino był nieprzerwanie symbolem trwałości bezpieczeństwa. Murom i zakonnikom powierzali swe skarby z całym spokojem właściciele nie dysponując tak bezpiecznym obiektem"*.

Gdy zbliżały się alianckie wojska do Monte Cassino przeor i zarazem biskup Gregorio Diamare nie potrafił sobie wyobrazić, że może klasztorowi zagrozić jakieś niebezpieczeństwo. Miał też zapewnienie dowodzącego wojskami niemieckimi marszałka Alberta Kesselringa, że Niemcy klasztor oszczędzą. Spodziewał się, że uczynią to również Amerykanie i Anglicy, gdyż przed wojną klasztor zwiedzało wiele osobistości, które zdawały sobie sprawę z tego, jakie skarby się kryją w klasztornych murach.

Akcja książki obu Amerykanów zaczyna się w momencie, gdy do klasztoru przyjeżdża dwóch Niemców: dr med. Maksymilian J. Becker, lekarz dywizji Herman Göring i podpułkownik Juliusz Schlegel. Jest 14 października 1943 roku. Każdy z Niemców przyjeżdża osobno, nic nie wiedząc o wizycie drugiego, ale obaj w tym samym celu. Aby namówić przeora do wywiezienia skarbów z Monte Casino. Nawet, gdyby trzeba je było wywieźć do... Niemiec.

Publikacja Jerzego Ambroziewicza zakrojona jest na cykl. Ukazał się dopiero pierwszy odcinek. Co będzie dalej? — zobaczymy. Wszakże autor przestrzega, że dwaj amerykańscy historycy *„przedstawili udokumentowaną kronikę walki o przetrwanie klasztoru, chociaż z wojskowego punktu widzenia, może to być grzebanie się w bezwartościowych popiołach. Pozostaje jednak moralnym świadectwem prawdy. Prawdy niekiedy irytującej szczególnie nas, Polaków, sprawy która zamiast na nerwy powinna jednak zawsze działać na rozum, rozszerzać horyzonty i robić przewiew w świadomości, która jest podstawą współczesnych sądów i zachowań"*.

Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko poczekać do końca publikacji. A że sprawa interesująca, więc ją już teraz sygnalizuję.

Na koniec zmiana tematyki. Oto prasa doniosła, że nie udał się kolejny start wahadłowca „Challenger". A tymczasem „ASTRONAUTYKA" (nr 2 z 1985 roku) przynosi artykuł Piotra Górskiego o tym, że

FRANCUZI BUDUJĄ MINISAMOLOT KOSMICZNY

Nie oni zresztą jedni. Tego typu pojazdy powstają w ZSRR, Japonii i Wielkiej Brytanii. Francuzi prowadzą prace już od 5 lat i zakładają, że zakończą je w 1986 roku, ale budowę minisamolotu kosmicznego będzie można zacząć dopiero w 1988 roku, a pierwszy lot przypadnie na rok 1997. Minisamolot ma nazywać się „Hermes" i jego żywot obliczony jest na 5 lat. W tym czasie będzie mógł dokonywać 10 lotów w ciągu roku. Budowa „Hermesa" wynika z konieczności uniezależnienia się Zachodniej Europy od USA. „Hermes" będzie mógł zabierać 4 — 6 astronautów lub 2 astronautów i 4 500 kg ładunku. Wynosić go będzie w kosmos rakieta „Ariane 5", a poruszać się on będzie na orbitach od 300 do 900 km.

Co ciekawsze i istotniejsze budowa „Hermesa", jest związana z planowaną na 2000 rok budową stacji satelitarnej „Solaris". Ma się tam odbywać automatyczna produkcja, a „Hermes" pełniłby rolę ciężarówki dowożącej surowce i przywożącej gotowe produkty oraz załogę.

Wszystko wskazuje na to, że zbliżają się coraz ciekawsze czasy.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

Z APELEM DO WSZYSTKICH

ludzi pracy zwróciła się Rada OPZZ. W apelu tym stwierdza, że zdaniem związkowców Sejm PRL, który wybierzemy 13 października 1985 roku, powinien uznać za najważniejsze sprawy: podniesienie rangi i godności pracy, zwiększenie dochodu narodowego przez podniesienie skutków pracy, poprawę warunków życia ludzi pracy, unowocześnienie myślenia i działania, sytemowe waloryzowanie rent i emerytur oraz wszechstronny rozwój kultury i oświaty. Szeroki to program, ale i konieczny. Związkowcy deklarują swój udział w jego realizacji.

W KLUBIE DZIENNIKARZA Z OKAZJI 22 LIPCA

odbyło się spotkanie dziennikarzy i pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, Sekretarz KŁ PZPR, wiceprzewodniczący Rady Narodowej Miasta Łodzi — **Maria Wawrzyńska** udekorowała zasłużonych pracowników Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Medalem 40-lecia PRL. Wręczono też odznaki „Zasłużony dla RSW". Dyrektor ŁWP — **Piotr Sagan** wręczył doroczne nagrody za działalność zawodową i społeczną. Otrzymali je między innymi: **Adam Lewaszkiewicz** z „Expressu Ilustrowanego", **Renata Sas** z „Dziennika Łódzkiego" oraz wyróżnienia **Michał Galewski** z „Głosu Robotniczego" i **Dariusz Dorożyński** z „Odgłosów".

ORDER SZTANDARU PRACY I KLASY

otrzymał **„Głos Robotniczy"**. Kolegium „GR" zostało też nagrodzone zespołową nagrodą I stopnia prezesa RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nagrodę indywidualną I stopnia otrzymał **Henryk Walenda** z „Dziennika Łódzkiego", nagrodę indywidualną II stopnia **Sławomir Topolski** z ŁWP.

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym składamy serdeczne gratulacje!

ŚWIATOWE AGENCJE PRASOWE PODAŁY PLOTKĘ

jakoby papież Jan Paweł II miał podpisać umowę z magnatem prasowym Rupertem Murdochem, w myśl, której miałby pisywać cotygodniowy felieton dla wydawanych przez tego magnata gazet i czasopism. W Watykanie plotkę tę przyjęto z *„rozbawieniem"*. Rzecznik prasowy Watykanu — Giulio Nicolini oświadczył, że wiadomości podane przez agencje należą *„do tego rodzaju, które nie zasługują nawet na zdementowanie, tak są niemożliwe"*. Mimo tego oświadczenia w Watykanie podkreśla się, że wszystkie przemówienia i pisma papieża są i tak publikowane, nie ma więc powodu do zawierania specjalnej umowy.

PRZEMYSŁ LEKKI ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

dostarcza na rynek 27 proc. wyrobów. Dokonuje się proces modernizacji tego przemysłu. Zaplanowano na przykład zmechanizowanie pracy w 50 fabrykach oraz modernizacje i mechanizacje 123 fabryk przemysłu obuwniczego. Wzrosła produkcja w fabrykach włókienniczych, natomiast pewien regres przeżywa przemysł skórzany. Ze względu na złą jakość i mało atrakcyjne wzory handel zwrócił fabrykom 8 proc produkcji butów. Fabryki przemysłu lekkiego ZSRR podejmują eksperyment gospodarczy, co przynosi dobre rezultaty. Na zasadach eksperymentu gospodarczego pracowały fabryki przemysłu lekkiego Białorusi. Za ich przykładem poszedł przemysł lekki Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii i Armenii.

W BUKARESZCIE

na początku lipca 1985 roku odbyła się uroczystość nadania rumuńskiemu przywódcy tytułów członka rzeczywistego i honorowego prezsa Akademii Socjalistycznej Republiki Rumunii W uzasadnieniu tej decyzji stwierdzono, że jest ona *„wyrazem wysokiej oceny przez naukowców i cały naród teoretycznej i praktycznej działalności oraz oryginalnej i śmiałej myśli naukowej przywódcy RPK i państwa rumuńskiego"*.

SZALEŃSTWO KIBICÓW PIŁKI NOŻNEJ

zatacza coraz szersze kręgi. Po tragedii na brukselskim stadionie — co spowodowało nawet kryzys rządowy w Belgii — doszło do aktów wandalizmu i szaleństwa kibiców piłki nożnej w Pekinie. Teraz podobne wypadki miały miejsce w Budapeszcie. Kibice tamtejszej drużyny „Ferencvaros" zdemolowali po meczu dwa wagony metra. Z tej okazji prasa węgierska zwraca uwagę, że akty wandalizmu dokonywane są nie tylko po meczach. W 1984 roku w Budapeszcie zdemolowano i zniszczono 7.300 budek telefonicznych. Władze miasta zapowiedziały bezwzględną walkę chuligaństwu i wanadalizmowi.

A.B. SEKATOR

Uwaga, Czytelnicy!

OD PRZYSZŁEGO TYGODNIA „ODGŁOSY" BĘDĄ SIĘ UKAZYWAŁY W CENIE 20 ZŁOTYCH ZA EGZEMPLARZ!

Wzrost cen za papier, energię elektryczną, transport i innych spowodował konieczność podniesienia ceny za egzemplarz naszego pisma do 20 złotych. Sądzimy, że Czytelnicy zrozumieją i właściwe ocenią tę przykrą konieczność. Ze swej strony zapewniamy, że zespół redakcyjny dołoży wszelkich starań, aby pismo było jeszcze bardziej atrakcyjne i tak poszukiwane, jak do tej pory.

Tak więc przypominamy, że już 31 numer „Odgłosów", który ukaże się w kioskach 31 lipca 1985 roku (środa) z datą 3 sierpnia będzie kosztował 20 złotych, a nie 15 jak było do tej pory.

ze str. 1

drugorzędną traktowano pracę nad człowiekiem. No i znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, którą w pełni rozeznać trzeba, by próbować mozolnie ją odmienić.

NIE TYLKO PERSHINGI, NIE TYLKO CRUISY

Nie tylko one stanowią dzisiaj największe dla narodu naszego zagrożenie, chociaż się tak wiele o nich, słusznie zresztą, pisze. Przed eurorakietami — wierzymy w to — uchroni nas militarny potencjał Układu Warszawskiego.

jest tu jeszcze coś, co nakazuje pośpiech.

W Polsce prywatnej własności środków produkcji picie w pracy gwarantowało nieomalże z tej pracy wyrzucenie, a o inną było bardzo trudno. Poza pracą pijak żył, czy raczej wegetował, chorował i umierał na własny rachunek — u nas, w rozbudowanym systemie świadczeń socjalnych, pije i żyje na koszt narodu, czyli każdego z nas. Pijaństwo nie jest zjawiskiem wyizolowanym, zamkniętym w sobie. Rodzi ono inne dotkliwe zło społeczne, mianowicie chamstwo pospolite. Szerzy się dzisiaj ono na niespotykaną skalę. Lansowanie mieszczańskiego stylu życia wyzwoliło drobnomieszczańskie reakcje, osłabiło, jeśli nie zerwało wiele więzi społecznych.

Wyjść z kryzysu...

Co jednak przeciwstawiamy narastającej grozie pijaństwa? Ktoś powie, że to demonizowanie? Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie. Przecież już od rana wałęsają się po ulicach podpici osobnicy w przeróżnym wieku.

Przecież od godziny trzynastej do zamknięcia sklepów monopolowych kłębią się kolejki po wódkę i wiadomo ponadto, że robotnicy, chłopi i pracujący inteligenci solidarnie i wytrwale pędzą samogon z czego się da, a daje się z wielu rzeczy. Uświadomić sobie też trzeba, że wracający do domu zalany tatuś to dopiero początek dramatu. W jakiej atmosferze wzrastają dzieci, którym przyszło żyć w takich domach?

W poniedziałki i inne dni poświąteczne zastraszająco rośnie absencja pracowników, na które to zjawisko niewątpliwie wpływ mają wcześniejsze libacje alkoholowe. Władza jest bezradna. Niby robi co może, wydała bezprecedensową ustawę o wychowaniu w trzeźwości, ale na tym niestety sprawy się kończą. W zakładach pracy pije się alkohol, ludzie w roboczych strojach cierpliwie wystają w kolejkach po wódkę, a sankcje dotknęły jednego bodajże wicewojewodę i kilku innych na stanowiskach, którzy — nie jestem pewien, czy tym się tylko narazili.

Wśród rozmaitych nierówności, które nam pozostały lub narosły, jedna irytuje w sposób szczególny i budzi coraz silniejszy społeczny sprzeciw. Jest to *zjawisko alkoholika stawiającego się ponad prawem*. On spokojnie przejdzie przy czerwonym świetle, nie zapłaci za przejazd tramwajem, naubliża przypadkowym przechodniom, kupi co trzeba bez kolejki — nawet alkohol, chociaż nietrzeźwym tego właśnie artykułu sprzedawać nie wolno. Ludzie oburzają się i na ogół milczą, wiedzą, że za protest można zapłacić zdrowiem, a może i życiem. A potencjalny przestępca wiele nie ryzykuje, prawo jest łagodne. Sytuacja staje się groźna, chociaż nie jest bez wyjścia.

Jeszcze trzeźwi stanowią większość, ale już upojeni alkoholem przestali być marginesem. Proces przesuwania się proporcji trwa i jeśli nie uda się skutecznie go zahamować, może dojść do narodowej tragedii. Przez tysiąclecia bezskutecznie próbowali nas zniszczyć wrogowie, teraz wygląda na to, że skutecznie niszczymy się sami. Przed całym narodem stoi zadanie budowy socjalizmu i nie wystarczy powtarzać — wszyscy budujemy socjalizm. Socjalizm to zbyt kunsztowna i cenna konstrukcja — by nawet nieliczni uczestniczyli w jej budowie w pijanym widzie.

„Oto widzicie, do czego socjalizm doprowadził naród" — powiadają chytrze przeciwnicy tego ustroju, z całą zresztą świadomością uprawiania skrajnej demagogii. Nie bez kozery przytoczyłem wcześniej myśli Frycza-Modrzewskiego, a można przytoczyć myśli wielu innych wybitnych, a wcześniej żyjących, którzy przestrzegali przed następstwami nadużywania trunków. Poprzednie klasy panujące — burżuazja, a szczególnie szlachta, palcem nawet nie kiwnęły dla podjęcia walki z tą klęską społeczną bo w ostatecznym rachunku było to w ich interesie. Dzisiaj — aktualna klasa panująca i jej partia staje wobec trudnego zadania walki z czymś, co zakorzeniło się w polskim obyczaju. Ale

Wypadło nam gdzieś z pola widzenia to, co w procesie kształtowania świadomości społecznej spełnia rolę podstawową — a mianowicie elementarne normy moralne.

NA PRZEDPOLACH ANARCHII...

Czas kryzysu sprzyja anarchizacji życia społecznego. Prawo jest dla frajerów — powiadają spokojnie i bezczelnie ludzie nagminnie przekraczający normy współżycia. I warto tu może przypomnieć, że na przełomie XVIII i XIX wieku żył i działał klasyk angielskiego liberalizmu Jeremy Bentham, który twierdził że *„przestrzeganie prawa to prosta kalkulacja człowieka bilansującego spodziewane korzyści i straty wynikające z posłuszeństwa lub nieposłuszeństwa normom prawnym"*. Sądzić można, że ogromna większość naszych niedostosowanych o Benthamie nigdy nie słyszała, ale rozumuje kubek w kubek jak on.

Tendencja do nieprzestrzegania prawa wielorakie przybiera formy, poczynając od ignorowania sygnałów świetlnych na jezdniach, a na kolizji z prawem karnym kończąc. Tymczasem państwo, pomne swych wcześniejszych obciążeń — trzeba czy nie trzeba — prezentuje się w roli liberała, a niedostosowanym społecznie tylko w to graj. A tu rezygnacja z uzasadnionych represji nie stwarza obrazu państwa liberalnego, po prostu czyni je bezradnym, a bardziej dosadnie mówiąc — śmiesznym. Pijaństwo, chamstwo i tendencje do anarchizowania życia społecznego to trzy główne wyróżniki istniejącego u nas kryzysu moralnego. Każda próba ratowania ekonomiki kraju i doskonalenia jego polityki nie poprzedzona działaniem na rzecz wychodzenia z kryzysu moralnego obiektywnie przybiera charakter syzyfowej pracy lub w najlepszym przypadku syzyfopodobnej.

Szukając przykładów dla potwierdzenia tej tezy podjąć można by sprawę wprowadzanej obecnie reformy gospodarczej. Nie ma — wydaje się — powodów by występować z pozycji jej przeciwnika, ale w procesie jej wprowadzania już zdążyło wystąpić wiele mankamentów ze stanu świadomości społecznej wynikających, jak choćby napór na płace i tendencje do zawyżania cen, stanowiące wyraźny przykład sprzeczności interesów grupowych z interesem społecznym. A sprawa jest to nadzwyczaj ważna, bo nakręca spiralę płac i cen, sprzyja inflacji, którą reforma miała stopniowo likwidować. Zabrakło więc chyba czasu na wyprzedzające działania w sferze świadomości.

Inny przykład: wybrany przez załogę samorządnego przedsiębiorstwa dyrektor czyich interesów, gdy występują sprzeczności, ma bronić — państwa (czytaj — społeczeństwa, właściciela środków produkcji) czy też grupy, która go wybrała przez swoich przedstawicieli? A jak stanie przeciw grupie to się utrzyma? Jak się ma pojęcie: gospodarka socjalistyczna do faktu, że jeden samorządny zakład państwowy kupuje potrzebne środki produkcji za ciężkie dewizy w drugim obszarze, a takie same środki produkcji inny samorządny zakład państwowy eksportuje zamiast sprzedać koledze, bo to im się lepiej opłaca. A że społeczeństwo, jako całość, na tym traci to już nikogo nie interesuje. Przykłady takie można by mnożyć, a wszystkie one świadczą, że walka o serca i umysły ludzkie, to pierwsze i najpilniejsze zadanie.

CZY PRZEJEMY RZECZPOSPOLITĄ?

Nie jest to — sądzę — pytanie tak niepoważne jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Jest tajemnicą poliszynela, że w wielu przypadkach tryb funkcjonowania zakładów przemysłowych został zakłócony zaniechaniem działań w odtwarzaniu zużywających się środków produkcji. A środki trwałe, mimo swej nazwy, zużywają się — jak wiadomo — i moralnie i fizycznie, produkują coraz mniej precyzyjnie, aż w końcu przestają działać. Braki surowcowe, trudności dewizowe, deficyt siły roboczej i inne powody, zaniżają rozmiary produkcji, trwa powodowany inflacją i w konsekwencji powiększający inflację napór na płace, a na odtwarzanie maszyn i urządzeń technicznych po prostu nie starcza.

To wszystko sprawia, że u bacznego obserwatora rodzi się refleksja niezbyt optymistyczna. Dekada lat siedemdziesiątych określona została dosadnie, ale i słusznie dekadą przejadania kredytów. Należy więc uczynić wszystko, aby lata osiemdziesiąte nie przeszły do historii pod nazwą dekady przejadania środków produkcji.

A do problemu odrodzenia moralnego wracając, przypomnieć warto, że zaniechano kiedyś w przeszłości walki o to odrodzenie, czy też — o Konstytucji 3 Maja myślę — zabrano się do tego zbyt późno i naród zapłacił za to cenę najwyższą. Pisał o owych dawnych czasach w swojej książce „Sto diabłów" Józef Ignacy Kraszewski.

„W przekonaniu naszym, co głównie stanęło na przeszkodzie, aby słowo ustawy ciałem, czynem się stało to to właśnie na co najmniej zwracano uwagi. Pragnienie dobra było wielkie i powszechne, ale spółczesność zgangrenowana, na wysokości ofiary jakiej ono wymagało stanąć nie mogła. Z tym upojeniem, wśród tego zbytku, z rozprzężonymi węzłami co spajały rodziny, w nieładzie serc i gospodarstw, interesów i uczuć, nic wielkiego stworzyć nie było podobna. Robak toczył ten owoc w zarodku. Myśl piękna padała na ręce rozpustą osłabłe, na piersi wyżyte, na głowy odurzone. Wszyscy ci ludzie mieli jeszcze dosyć siły na poryw gwałtowny, namiętny, na wybuch jakiś, na walkę krótką choćby śmiertelną, brakowało im wytrwania, spokoju, zimnej krwi i tego co Rzymianin zwał jednym wyrazem virtus. Polska już naówczas umiała w dnie uroczyste być wielką objawem szlachetnego uczucia, nazajutrz niestety, budziła się w niemocy i prostacji. To wyczerpanie ludzi było przyczyną upadku narodu".

Tak źle, to u nas mimo ciężkiego kryzysu jeszcze nie jest, ale — jak mawiali starzy Polacy — licho nie śpi i kusić go nie trzeba! A jeśli ktoś spyta o aktywa w oparciu o które z optymizmem — mimo wszystko — spoglądać można w przyszłość, odpowiedź dobrą mogą stanowić słowa Andrzeja Struga w „Pokoleniu Marka Swidy" zamieszczone, że *„pono krążyły tu i ówdzie istoty ciche, mrówki niewiadome, niedostrzegalne. Brnąc przez błoto, trudziły się zajadle, wariackie, opętane Polską. Była taka legenda o szlachetnych widmach, gdyż nie znać ich było nigdzie ani słychać i nikt o nich nie mówił. I była chyba prawdą, bo czymże u licha trzymało się jeszcze wszystko i czemu posuwało się z dnia na dzień ku lepszemu przez wszystkie zapory i skandale? Była ich nieprzebrana moc, byli wszędzie, we wszystkich warstwach, we wszystkich dzielnicach, na wszelkich urzędach, na wszelkich frontach, we wszystkich obozach i partiach. Na nich to stała, trzymała się nimi Polska"*.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Czy każdy robi to, co użyteczne?

ze str. 1

wysiłku intelektualnego, nakierowanego na eliminację funkcji wewnętrznych oraz na minimalizację kosztów ich realizacji!

DLA KOGO PRACUJĄ INSTYTUCJE?

Dla określenia funkcji zewnętrznych konieczne jest przypomnienie faktu, że każda instytucja, każde biuro, każdy urząd istnieje po to, aby służyć społeczeństwu. Przypomnienie tego faktu jest o tyle istotne, że jak dotąd w świadomości społecznej nie utrwaliło się pojęcie służebnej roli biur i urzędów.

Każdy urząd pełni jakieś funkcje zewnętrzne, które dają społeczeństwu określone korzyści. I tak np. funkcją zewnętrzną administracji domów mieszkalnych jest dbanie o remonty, konserwację i należyty stan budynków. Jest to funkcja ogromnie ważna i społecznie bardzo cenna, choć w powszechnym odczuciu spełniana tylko teoretycznie, podczas gdy koszty utrzymania tych zarządów są wymierne praktycznie. Funkcją zewnętrzną poczty jest dostarczanie przesyłek oraz zapewnianie łączności telefonicznej i telegraficznej. Są to również funkcje przynoszące społeczeństwu określone korzyści.

Ale rozpatrując to zagadnienie z punktu widzenia społecznej efektywności pracy, trzeba postawić pytanie — czy wszyscy ludzie zatrudnieni w instytucji, pracą swoją przyczyniają się do wytwarzania wartości społecznie cennych? Pytanie to jest o tyle ważne, że w Polsce obok kilku milionów pracowników zatrudnionych w sferze produkcji materialnej, w przemyśle, rolnictwie i usługach, pracuje około trzech milionów ludzi siedzących przy biurkach. Z tych 3 milionów pracowników umysłowych, około 700.000 to urzędnicy zaliczani do czystego aparatu administracyjno-biurowego. Płace tych pracowników wynoszą ponad 100 miliardów zł rocznie, a co najmniej trzy razy tyle stanowią koszty eksploatacji budynków, urządzeń biurowych, środków łączności, materiałów biurowych itd.

Znalezienie odpowiedzi na pytanie: czy urzędnicy pomnażają dochód narodowy? — ma kapitalne znaczenie. Wykrycie i eliminacja lub przynajmniej zmniejszenie społecznie bezużytecznych prac urzędniczych umożliwia powstanie tak bardzo potrzebnych rezerw kadrowych, które mogą być skierowane do prac pomnażających dobra materialne lub kulturalne. Tę rezerwę kadrową stanowią, przynajmniej potencjalnie, wszyscy ci, którzy spełniają funkcje wewnętrzne, a także część funkcji zewnętrznych.

KU POTRZEBA URZĘDNIKÓW?

Analiza wartości organizacji, raz jeszcze potwierdza prawdę tkwiącą w powiedzeniu, że każdy urzędnik obsługujący interesanta, potrzebuje jeszcze dwu innych, którzy jego obsługują. Analiza funkcji instytucji i komórek organizacyjnych dowodzi, że duża część zatrudnionych cały swój czas poświęca na obsługę innych pracowników lub na wewnętrzne prace biurowe. Pracownicy spełniając funkcje wewnętrzne, często wykonują czynności dość ważne, a nawet niezbędne, wymagające dużego wysiłku, czasu i kosztów. Jednak w gruncie rzeczy ludzie ci nie przyczyniają się do wytwarzania wartości wzbogacających społeczeństwo.

Oczywiście niemożliwe jest takie zorganizowanie pracy, aby wszyscy zajmowali się tylko wypełnianiem funkcji zewnętrznych. Ktoś musi przecież biuro sprzątać, parzyć herbatę dla urzędników, ktoś musi przepisywać, powielać, sekretarzować, ktoś musi prowadzić różne rejestry, wykazy, dzienniki podawcze, archiwum, itd., itp.

Wszyscy ci ludzie mogą pracować wydajnie i choć spełniają funkcje użyteczne z punktu widzenia potrzeb biura lub urzędu, to jednak trzeba dostrzegać, że ci sami ludzie pełnią funkcje zbędne, bo nie tworzą dochodu narodowego lub dóbr kulturalnych. Ludzie ci nie tworzą społecznie cennych wartości, a jednocześnie stanowią znaczną pozycję kosztów w rachunku społecznych nakładów. Dlatego trzeba uczynić maksymalny wysiłek, żeby wszystkie funkcje wewnętrzne, każdej instytucji ograniczyć do organizacyjnie możliwego i społecznie koniecznego minimum. Nie można oceniać pracy tylko pod kątem osiąganej wydajności wewnątrz instytucji, bowiem nie każda wydajna praca jest zarazem społecznie użyteczną.

Metodyka ustalenia funkcji wewnętrznych i zewnętrznych ocenę taką bardzo ułatwia. Jedynie w ten sposób będziemy mieć pewność, że nie sprawdzi się w naszych urzędach „prawo tysiąca" sformułowane dosadnie przez Parkinsona. „Prawo" to mówi, że jeśli w jakiejś instytucji liczba urzędników przekracza tysiąc, to instytucja ta może żyć wyłącznie własnymi sprawami wewnętrznymi, nie spełniając żadnych funkcji zewnętrznych, a mimo to wszyscy urzędnicy będą mieli pełne ręce roboty, tyle tylko, że będzie to praca społecznie jałowa.

JAK ANALIZOWAĆ FUNKCJE INSTYTUCJI?

Niemożliwe jest stworzenie idealnej organizacji, w której cały czas dyspozycyjny pracowników byłby wykorzystany na spełnianie funkcji zewnętrznych. Ale można, a nawet należy dążyć do ideału. Jednak patrząc na rozwiązanie idealne trzeba dostrzegać też realia i dostosowywać rozwiązania praktyczne do warunków gospodarczych, społecznych i organizacyjnych. Nie jest to zadanie łatwe. Rozważmy przykładowo funkcje spełniane w jakiejś jednej powtarzalnej czynności często występującej w wielu instytucjach.

Niechże tą analizowaną czynnością będzie pobieranie opłat. Można szacować, że inkasowaniem pieniędzy i wszelkimi wynikającymi stąd dalszymi operacjami finansowymi zajmuje się u nas kilkaset tysięcy ludzi. Do jakich funkcji zakwalifikować prace związane z pobieraniem pieniędzy, wydawaniem pokwitowań, rachunków, przekazów, przelewów, itp. Wszystkie te czynności angażują tysiące ludzi. Zastanówmy się przeto jakie funkcje realizowane są w czynności opisanej jako „pobieranie opłat"?

Bez większego trudu można określić, że inkasowanie pieniędzy za nabywane dobra materialne spełnia co najmniej 3 funkcje:

1. umożliwia dystrybucję towarów w warunkach ograniczonej podaży,
2. zapobiega marnotrawstwu dóbr materialnych,
3. utrzymuje równowagę pieniężną na rynku.

Oczywiście pobieranie opłat to czynność ogromnie kosztowna w skali kraju, bo zamiast produkować potrzebne dobra materialne i świadczyć potrzebne usługi, ludzie zajmują się przeliczaniem pieniędzy i zapisywaniem papieru, a od tego żaden naród nie wzbogacił się. Ale można też łatwo dowieść, że działalność ta, z punktu widzenia dochodu narodowego jest per saldo społecznie użyteczna.

PRZYKŁAD WZIĘTY Z ŻYCIA

W przypadku nabywania różnego rodzaju dóbr materialnych i usług pobieranie opłat choć kosztowne jest jednak konieczne. Co prawda nie przyczyni się do tworzenia dochodu, ale go chroni przed marnotrawstwem. Trudno sobie wyobrazić skalę strat, gdyby jakieś towary każdy mógł brać bezpłatnie. W ten sposób dzięki opłatom wszyscy mamy dóbr jakby trochę więcej, bo co droższe i trudniejsze do nabycia jest bardziej szanowane i lepiej wykorzystywane.

Ale równocześnie można wskazać dużą grupę dóbr materialnych, kulturalnych, których podaż jest wystarczająca i których zmarnować po prostu nie sposób, a można by je nawet lepiej wykorzystać, z większym społecznym pożytkiem. Do ilustracji tegoż stwierdzenia, niech posłuży nader pouczająca scenka, obserwowana pewnego letniego popołudnia. Do kasy muzeum podeszło czworo ludzi, prawdopodobnie rodzice z dwojgiem dorastających dzieci. Ojciec popatrzył na cennik — bilety po 20 zł — i zapytał: **— Co wolicie, obejrzenie muzeum, czy lody? — Lody** — krzyknęły dzieci. Muzeum pozostało puste.

Jakie funkcje spełnia pobieranie opłat za wejście do muzeum? Dystrybucyjną? Nie, podaż „miejsca w muzeach" z powodzeniem pokrywa popyt, a nawet gdyby muzea były bezpłatne, też prawdopodobnie tłoku zbyt dużego nie byłoby. Ochrony przed marnotrawstwem? Nie, bo są to dobra jakich przez oglądanie zniszczyć nie można. Utrzymywanie równowagi na rynku? Tak. Gdyby duża część „usług kulturalnych" była bezpłatna, to niewątpliwie zwiększyłby się stan nierównowagi rynkowej. Jednak równowaga ta zależy nie tylko od ściągania pieniędzy w formie opłat, ale również od ilości pieniędzy przemnaczanych na płace, renty i stypendia.

W warunkach gospodarki socjalistycznej regulowanie dopływu pieniędzy na rynek jest stosunkowo łatwe. Można więc funkcję równowagi pieniężnej zrealizować w inny, wiele tańszy sposób. Zamiast dużym kosztem ściągać nadmiar pieniędzy, lepiej zmniejszyć podaż pieniądza. W końcu trzeba zacząć praktycznie wykorzystywać teoretyczne zalety gospodarki socjalistycznej. Tym bardziej, że stan gospodarki zmusza nas do podobnych efektywnych działań.

Ustaliliśmy zatem, że funkcją kasy w muzeum jest ściąganie pieniędzy w imię zachowania równowagi pieniężnej. Łatwo można by policzyć koszty spełniania tej funkcji w jednym muzeum. A więc musi być kasjerka i bileter, trzeba im płacić pensje, ubezpieczenie, dać ubranie służbowe, trzeba urządzić pomieszczenie na kasę, wydrukować bilety i kilka różnych formularzy do rozliczenia wpływów oraz do sporządzania planów i sprawozdań finansowych. Zaangażowane są przy tym ekonomistki w dyrekcji muzeum, księgowość, magazynier przechowujący bloczki biletów i kontrolerzy sprawdzający gospodarkę finansową. Zaangażowany jest bank, informacje o tych niewielkich wpływach wędrują do różnych władz terenowych, urzędów, a zapewne także do dwu ministerstw, GUS. Gdyby tak policzyć mogłoby się okazać, że wszystkię te operacje kosztują więcej niż ściągnięte tym sposobem pieniądze. A takich muzeów jest kilkaset. W ten sposób wypadło też ze sfery produkcyjnej kilkuset ludzi, którzy zamiast wytwarzać użyteczne dobra, w bardzo kosztowny sposób działają na rzecz równowagi pieniężnej.

Na konto strat należy spisać również to, że czworo ludzi zmuszonych do alternatywnego wyboru w sferze konsumpcji indywidualnej wybrało dobra materialne, zrezygnowało z kulturalnych, wzbogaciło żołądek, zubożyło ducha. Z punktu widzenia polityki społecznej wybrali niezbyt pożądany model konsumpcji. Być może należałoby im zaoszczędzić takiej alternatywy.

WNIOSEK: SZUKAĆ RÓŻNYCH SPOSOBÓW!

W rachunku społecznej efektywności w skali makro, trzeba starannie liczyć efekty i straty. Przykład opłat za wstęp do muzeum to tylko drobna ilustracja sposobu analizowania wewnętrznych i zewnętrznych funkcji instytucji. Warto przy tym pamiętać, że zaspokojenie potrzeb socjalistycznego społeczeństwa zależy od wytworzonego dochodu narodowego, a ten od wydajności i efektywności pracy. Nie ma u nas kapitalistycznej konkurencji, tak skutecznie eliminującej nie umiejących efektywnie produkować, nie ma bezrobocia tak skutecznie zmuszającego do wydajnej, jakościowo dobrej pracy. Dlatego musimy szukać własnych, oryginalnych dróg do wzrostu społecznej efektywności pracy, możliwych tylko w warunkach gospodarki socjalistycznej.

BRONISŁAW MUSZYŃSKI

PAWEŁ TOMASZEWSKI

(6)

Kamikadze

24 listopada 1983 roku nauczyciel Mieczysław Rykała zwolniony został dyscyplinarnie z Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku. Bezpośrednią przyczyną wyrzucenia go było rzekome pobicie przez niego dyrektora, Stanisława Cisaka. Ale były też inne ważne powody: niewywiązywanie się z obowiązków kierownika trzeciego turnusu praktyk wakacyjnych w NRD, podważanie autorytetu szkolnych i wojewódzkich władz oświatowych bezpodstawne żądanie ustąpienia ze stanowisk czterech członków owych władz, itd.

Oczywiście Mieczysław Rykała nie przyjmował do wiadomości tych zarzutów. Dyrektora wcale nie pobił, a jedynie odtrącił łokciem, gdy ten chciał mu zabrać książkę protokołów szkoły, w której znajdował się między innymi szkalujący go protokół z tajnego zebrania w... Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Modelu. W NRD ze swych obowiązków wywiązywał się dobrze. Potwierdzić to mogą zarówno przebywający z nim nauczyciele: Jolanta Piotrowska i Zygmunt Trzeciakowski, jak i młodzież. Poza tym jest jeszcze przecież opinia, jaką otrzymał od dyrekcji LPG „Schwante" w Vehlefanz, w której napisano wyraźnie, że:

„Kol. Rykała szczególnie poprzez swoją przykładną pracę i jej organizację przyczynił się do powodzenia praktyk. Jego wysiłkom zawdzięczamy rozwiązanie wielu problemów podczas pracy, jak również w czasie wolnym — tak w interesie uczniów, jak i naszej spółdzielni. Kol. Rykała w poprzednich latach był bardzo często ze swoimi grupami uczniowskimi w naszym gospodarstwie. Organizował współpracę między szkołą (ZSMR w Piątku — przyp. P.T.) *a naszą spółdzielnią wyśmienicie, za co niniejszym pismem chcieliśmy mu jeszcze raz podziękować."*

Nieprawdą jest też, iż żądał czyjejś dymisji. Powiedział bowiem tylko, że mógłby mieć do tego takie samo prawo, jakie ma sekretarka prezesa spółdzielni w Modelu, aby decydować, czy powinien być on nauczycielem, czy nie. A to przecież zasadnicza różnica. Co zaś wreszcie do podważania autorytetu władz oświatowych, to niektórzy ich przedstawiciele sami podważyli ten autorytet swoim skandalicznym wprost zachowaniem podczas wizyty w NRD ośmioosobowej delegacji kontrolnej w sierpniu 1983 roku. On jedynie fakt ten ujawnił, domagając się przy tym przeproszenia za głośne naśmiewanie się z jego nazwiska. Za co więc w końcu naprawdę wyrzucony został z posady? Chyba tylko za prawdomówność i obronę własnej godności!

3 grudnia 1983 roku Mieczysław Rykała odwołał się do Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy przy naczelniku miasta w Łęczycy, wnosząc o uznanie wypowiedzenia za bezzasadne. Już na pierwszym posiedzeniu — pojednawczym — gotów był zawrzeć ugodę i wrócić do pracy, ale dyrektor Cisak nawet nie chciał o tym słyszeć. Powołał za to wielu świadków, w tym także z Płocka, którzy przesłuchiwani byli w miejscu zamieszkania, co przynajmniej o pół roku przedłużyło rozpoznanie sprawy. I trudno się dziwić, że dyrektorowi nie zależało na czasie. To nie on przecież pozbawiony został stałego źródła utrzymania.

Zniecierpliwiony taką „grą na czas" pojechał Rykała z żoną na początku lata 1984 roku do prezesa Zarządu Okręgu ZNP w Płocku, Zofii Kapturowskiej z prośbą o pomoc. Opowiedział jej szczegółowo, jak z nim postąpiono i zapytał, czy nie dałoby się jakoś wpłynąć na komisję, aby szybciej rozpatrzyła jego odwołanie. O dziwo, spotkał się nareszcie z normalnym, „ludzkim" podejściem, o ile bowiem zarząd ogniska ZNP w Piątku pozostawił go bez żadnego wsparcia, a nawet ślepo poparł decyzję dyrektora Cisaka, to związkowcy z Płocka okazali mu wiele zrozumienia i — nie przesądzając z góry, czy jest winny czy nie — zaapelowali do TKO w Łęczycy o przyspieszenie prac.

Niestety, apel ten nie odniósł większego skutku, gdyż przesłuchania świadków odwlekały się z miesiąca na miesiąc. Ostatni z nich, Bolesław Rusek, zatrudniony w Kuratorium Oświaty i Wychowania, mógł zeznawać dopiero w sierpniu. Co dziwniejsze — mówi Mieczysław Rykała — człowiek ten oświadczył przed sądem zgodnie z prawdą, że nie zna go osobiście i nigdy nie widział nawet na oczy, a mówił przede wszystkim o... samym sobie. Po co?

Również w sierpniu 1984 r. Mieczysław Rykała wybrał się osobiście do prezesa ogniska ZNP w szkole w Piątku, Ireneusza Tarki, prosząc o dostarczenie mu odpisów wybranych dokumentów szkolnych, które chciał przedstawić przed komisją. Po miesiącu odtrzymał pocztą tylko jeden —odpis protokołu z zebrania związkowego z 30 sierpnia 1983 roku, który — nawiasem mówiąc — pełen był kłamstw, przemilczeń i przeinaczeń. Po pozostałych dziesięć odpisów prezes Tarka radził Rykale zwrócić się bezpośrednio do... dyrektora Cisaka. Dyrektor zaś nie miał najmniejszego zamiaru pomagać swemu przeciwnikowi i mimo nalegań — także Zarządu Okręgu ZNP w Płocku — niczego więcej oczywiście już nie dostarczył. Jak więc można było mówić o równych szansach?!

21 stycznia 1984 roku Terenowa Komisja Odwoławcza w Łęczycy oddaliła odwołanie Mieczysława Rykały, opierając się głównie na zeznaniach świadków powołanych przez Stanisława Cisaka i zaświadczeniach lekarskich z obdukcji, mogących budzić pewne wątpliwości, o czym zresztą będzie jeszcze mowa.

Dyrektor Cisak uważa, że orzeczenie komisji było sprawiedliwe. Świadkowie wyraźnie przecież zeznali, że widzieli u niego ślady pobicia, słyszeli groźby, jakimi rzucał Rykała, jak również potwierdzili, że próby załagodzenia konfliktu nie przyniosły żadnego skutku. A już najlepszym dowodem na to, z jakim człowiekiem miał Stanisław Cisak do czynienia, mogą być późniejsze próby zerwania przez nauczyciela Rykałę współpracy między ZSMR w Piątku w LPG „Schwante" w Vehlefanz i GPG w Nauen, co jest już po prostu przestępstwem.

I tak na przykład w kwietniu 1984 roku wysłał on listy do obu niemieckich spółdzielni, w których, podpisując się nieprawnie jako organizator i koordynator wakacyjnych praktyk zagranicznych, donosił, iż *„Na skutek poważnych zmian organizacyjnych i personalnych w województwie płockim wszelkie umowy o współpracy zawarte z waszą stroną tracą swą aktualność!..."* Niedługo potem wystosował też pismo do kuratorium w Płocku z informacją o podobnej treści, tyle że powołując się na konsultacje z Niemcami którzy oficjalnie zawiadomić mieli stronę polską o zerwaniu współpracy na początku maja 1984 r.

Oczywiście z NRD zawiadomienie takie nigdy nie zostało wysłane, a rzekome „konsultacje" Rykały w ogóle nie miały miejsca. Obie spółdzielnie nadal opowiadały się za kontynuowaniem współpracy. A jaki był ich stosunek do Mieczysława Rykały, niech świadczy choćby list do niego od prezesa Jürgena Ebela z 25 kwietnia 1984 roku:

„Drogi Mieczysławie. W moim liście z dnia 24.I.1984 roku przedstawiłem ci mój konkretny punkt widzenia. Zajmujemy stanowisko dotrzymania wszelkich zobowiązań wynikających z zawartych umów. Pisałem ci o tym, iż żałujemy, że zawarte kontakty będą się rozwijały bez dalszego twojego udziału. Ze względu na to, że ty obecnie nie jesteś już pracownikiem szkoły, traktujemy wszystkie twoje informacje i listy, które w ostatnim czasie nam przekazywałeś, jako nietrafne i wzywamy cię ostatecznie do zaprzestania wtrącania się w nasze sprawy i układy obowiązujące nas w stosunku do innych jednostek organizacyjnych. Jeszcze do stycznia zajmowałem stanowisko, że nic nie stoi na przeszkodzie do utrzymywania osobistych kontaktów między nami. Jednakże ze względu, że ty w ostatnim czasie uporczywie usiłujesz mieszać się w nasze sprawy dotyczące utrzymywania zawartych umowami kontaktów przez zasypywanie nas listami z różnych stron, nie uważam za stosowne utrzymywanie dalszych kontaktów z tobą oraz oświadczam, że nie przybędę na żadne proponowane przez ciebie spotkanie. List ten potraktuj także jako odpowiedź na listy skierowane do mojej żony, jak również na pisma skierowane do GPG Nauen. Jeśli w dalszym ciągu będziesz nadsyłał listy o podobnej treści, będę zmuszony przekazać je do organów bezpieczeństwa. Szkoda, że nasze kontakty muszą się w ten sposób zakończyć, ale twoje zachowanie nie stwarza innych możliwości. Z przyjaznym pozdrowieniem Jürgen Ebel."

List ten przetłumaczony został przez Bolesława Ruska, który od listopada 1983 roku został tłumaczem w kontaktach między ZSMR w Piątku a NRD.

Mieczysław Rykała przyznaje otwarcie, że starał się wszelkimi sposobami doprowadzić do zerwania współpracy między szkołą w Piątku a spółdzielniami niemieckimi — i to z wielu powodów. Po pierwsze dlatego — wyjaśnia — że to on i tylko on doprowadził do jej nawiązania. Czuł się więc przynajmniej po części do tego upoważniony. Po drugie — liczył, że jeśli mu się to uda, zyska koronny argument w walce z dyrektorem Cisakiem i „jego ludźmi". Po trzecie wreszcie i najważniejsze — w ostatnich latach te praktyki bardzo się zmieniły na niekorzyść. Dawniej chodziło o to, żeby młodzież mogła się w NRD czegoś nauczyć, a przy okazji zwiedzić choć trochę kraj naszych sąsiadów. Obecnie, gdy za Odrę wysyłane są kilkudziesięcioosobowe grupy uczniów z Piątku, a z nimi dzieci różnych prominentów, ani o poznaniu nowych metod gospodarowania, ani o prawdziwym zwiedzaniu nie może już być mowy. Dawniej najważniejszy był wychowawczy aspekt praktyk. Obecnie — finansowy i handlowy. Prawie wszyscy myślą dziś przede wszystkim, co, gdzie i za ile można w NRD kupić i przywieźć do Polski, aby się to opłacało. Wszyscy — tak młodzież, jak i nauczyciele. Tylko czy w ten sposób wychowamy młode pokolenie na uczciwych ludzi?

Oczywiście Niemcy doskonale o tym wiedzą, jednak — tłumaczy Mieczysław Rykała — też mają swój własny cel w utrzymywaniu takich właśnie kontaktów. Wiadomo wszak, że w NRD z roku na rok ubywa rąk do pracy i chętnie zatrudnia się tam Polaków, a w czasie wakacji — naszą młodzież. A że młodzieży można płacić nieco mniej niż dorosłym, że wakacje to okres spiętrzenia prac w rolnictwie... Krótko mówiąc, nie ma się co dziwić, iż dla Jürgena Ebela korzystniej było puścić w niepamięć skandaliczne zachowanie się polskiej delegacji, czy zerwać dziesięcioletnią znajomość z Mieczysławem Rykałą, aby tylko wciąż móc zatrudniać u siebie tanią siłę roboczą z Polski. Gdyby nie to, z pewnością zachowałby się trochę inaczej i zechciał przynajmniej spotkać się i porozmawiać, jak proponował mu wielokrotnie Rykała. Niestety, prezes Ebel odwrócił się do niego plecami i choć obiecał mu przyjazd do Błonia na początku grudnia 1983 roku, kiedy przybył z wizytą do Piątku, to jednak obietnicy swej nie spełnił. Prawdopodobnie — domyśla się Mieczysław Rykała — także i pod wpływem tego, co naopowiadał mu Stanisław Cisak

Nie pochwalam tego, co zrobił Mieczysław Rykała, dążąc do zerwania współpracy, i mówię mu to prosto w oczy. Nie dziwię się też, że sprawą tą zajęła się Prokuratura Rejonowa w Łęczycy. Cóż, miała pełne podstawy. Z drugiej jednak strony...

Nie, wcale nie zamierzam usprawiedliwiać Rykały: Zastanawiam się tylko, czy zrobiłby tak, gdyby od początku postępowano wobec niego uczciwie? Zastanawiam się, co czuje człowiek żyjący ze świadomością wyrządzonej mu — i to nie pierwszy raz — wielkiej krzywdy? Do którego momentu potrafi zachować spokój? Jak długo wytrzyma nie kończący się stres? Przecież nawet najspokojniejsze zwierzę, znalazłszy się w ostatecznej sytuacji, potrafi rzucić się na silniejszego przeciwnika. Tym bardziej — myślę — człowiek!

Mieczysław Rykała długo opowiada mi o swojej krzywdzie i „niszczeniu" go, jak się tylko dało. Na dowód pokazał numer „Tygodnika Płockiego" z 22 stycznia 1984 roku, a w nim — artykuł pt.: „Przyjemne z pożytecznym" w całości poświęcony praktykom w NRD uczniów z Piątku. I nie byłoby może w tym nic niezwykłego — mówi — gdyby choć jednym zdaniem wspomniano, że to właśnie on te praktyki zorganizował. Tymczasem jego zasługi przypisuje sobie, udzielający informacji dziennikarzowi, dyrektor Cisak, a mowa jest także i o wielu innych osobach, które nie kiwnęły nawet palcem, aby młodzież z Piątku mogła wyjechać za granicę. Więc jak to tak?!

Oglądam też list do Mieczysława Rykały, w którym kilkudziesięcioosobowe grono nauczycieli ZSMR w Piątku zaprasza go na posiedzenie rady pedagogicznej 26 października 1984 roku, aby w obecności kuratora ostatecznie wyjaśnić jego sprawę. Już choćby sam fakt wysłania takiego zaproszenia może chyba świadczyć, iż nie wszyscy w szkole uwierzyli w owo pobicie w pokoju nauczycielskim. Niestety — mówi z żalem Mieczysław Rykała — kiedy pojechał z żoną do Piątku, dyrektor Cisak nie chciał go w ogóle wpuścić na posiedzenie rady, choć większość obecnych wówczas nauczycieli otwarcie się tego domagała.

Stanisław Cisak doskonale pamięta ten dzień i potwierdza, iż rzeczywiście nie wpuścił nauczyciela Rykały, ale dlatego — wyjaśnia — że regulamin rady stanowi wyraźnie, iż nie wolno nikogo zapraszać bez wiedzy i zgody przewodniczącego, a on przecież do ostatniej chwili nic o tym nie wiedział. Poza tym nauczyciele wcale nie domagali się wejścia pana Rykały, a jedynie jeden z nich, Marian Matusiak bardzo uprzejmie zresztą zapytał kuratora Józefa Brzezińskiego, czy mimo wszystko nie można by... Kurator powiedział jednak, że głos decydujący ma dyrektor szkoły, a jego stanowisko jest już znane. I w ten oto sposób program posiedzenia rady pedagogicznej nie został zmieniony w nie wiadomo czyim interesie. Tak, jak zaplanowano, omawiane było 22-lecie ZSMR w Piątku w ramach 40-lecia PRL i, w drugim punkcie, *„sprawy międzyludzkie"*.

Co kryje się za eufemizmem *„sprawy międzyludzkie"* tłumaczy mi Bronisław Kępiński gdyż to właśnie z jego inicjatywy 26 października 1984 roku odbyło się nadzwyczajne posiedzenie rady pedagogicznej i jego też osobie było głównie poświęcone. Ale zacznijmy od początku.

Pracę w ZSMR w Piątku rozpoczął w październiku 1976 roku. Zamieszkał wtedy z żoną w służbowej przybudówce na terenie szkoły, zwolnionej przez Józefa Sukiennika, który odszedł był z Piątku na skutek nieporozumień z dyrekcją. W rok później przeniósł się do większego, też służbowego mieszkania, które w 1982 roku dyrektor Cisak oferował Mieczysławowi Rykale, choć on nie miał go jeszcze zamiaru opuszczać. Rzecz w tym jednak, że był wówczas okresowo zawieszony w prawach nauczania i dyrektor już zacierał ręce z radości.

Stanisław Cisak od dawna już *„miał na niego oko"*, gdyż za dużo odzywał się na zebraniach, często mówiąc mu prawdę prosto w oczy. Postanowił więc pozbyć się niewygodnego nauczyciela i prawie mu się to udało właśnie w 1982 roku, kiedy to złapano Kępińskiego na niedzielnych zajęciach z zaocznymi, że czuć od niego alkoholem. Sprawa trafiła szybko do władz zwierzchnich. Kępiński przyznał, że owszem, wypił rano jeden kieliszek wódki (miał gość z bardzo daleka i — wiadomo — trudno było odmówić choćby jednego kieliszka na zdrowie), jednak nie chciał zgodzić się na przeniesienie go do innej szkoły, co zadecydowano w kuratorium na wniosek dyrekcji szkoły. Po odwołaniu się do ministerstwa zamieniono mu więc przeniesienie na naganę z wpisaniem do akt, ale wysiłki dyrektora, aby pozbyć się go, wcale się na tym nie zakończyły. Przeciwnie, już w parę dni po upływie okresu zawieszenia dyrektor Cisak zorganizował bowiem jawną prowokację.

Kępiński prowadził wówczas kursy prawa jazdy dla traktorzystów z upoważnienia PZMot. z Łęczycy. Tak się złożyło, że na chwilę pozostawił ciągnik z kursantem na placu obok szkoły w Piątku, by odejść — jak to się mówi — za własną potrzebą. W tym momencie jeden z uczniów samowolnie siadł za kierownicę i chciał wyciągnąć z placu załadowaną ponad miarę przyczepę. Gdy Kępiński wrócił z ustronnego miejsca, ciągnik właśnie stawał dęba, a że mogło dojść do groźnego wypadku, za który odpowiedzialność spadłaby przecież na niego, ostro skarcił ucznia zamierzywszy się nawet w nerwach ręką, chociaż go nie uderzył. Dyrektorowi Cisakowi wystarczyło to jednak zupełnie, aby wysłać chłopaka na obdukcję do lekarza Bulińskiego (tego samego, który dokonywał obdukcji po „pobiciu" dyrektora przez Rykałę) a także pozbierać od jego kolegów oświadczenia, że nauczyciela Kępińskiego nie było w czasie zajścia z ciągnikiem na placu, że nie dopełnił swoich obowiązków...

Niestety, dyrektor Cisak miał tym razem wyraźnego pecha, gdyż piszący mu oświadczenia uczniowie przyznali się, iż zrobili to pod wpływem jego presji, czemu dali wyraz w... kontroświadczeniu dla Bronisława Kępińskiego, zaś samowolny kierowca nie tylko przestał nagle podtrzymywać, że został pobity, ale oświadczył, iż polecenie wyciągnięcia przyczepy dostał od... Stanisława Cisaka. Zważywszy to wszystko, komisja dyscyplinarna przy kuratorium odmówiła dyrektorowi wszczęcia postępowania przeciwko nauczycielowi Kępińskiemu. Ale i to jeszcze nie koniec.

1 września 1984 roku, w dzień swoich imienin Bronisław Kępiński wynajął salkę w barze „Słoneczny" w Piątku, by podjąć tam kolegów ze szkoły jak nakazuje tradycja. Nie mógł tego zrobić w domu, ponieważ przeprowadził się już do Zgierza, gdzie żona otrzymała mieszkanie w blokach. Było kilkanaście osób. Dyrektor Cisak również został zaproszony, ale nie przyszedł. Za to później wraz z jednym z miejscowych milicjantów wysmażył pismo do KG PZPR, w którym stwierdzał, że nauczyciel Kępiński wyszedł z baru pijany, co nie licuje z godnością pracownika oświaty i, choć komitet „umył ręce", znów wniósł sprawę do komisji dyscyplinarnej.

Tego jednak Bronisławowi Kępińskiemu było za wiele. Nie miał już żadnych wątpliwości, że jest przez dyrektora szykanowany i napisał to wyraźnie w liście do Urzędu Wojewódzkiego w Płocku. List ten podpisało wraz z nim ponad dwudziestu nauczycieli. Zebrał też, stosując broń strony przeciwnej, kilka oświadczeń na okoliczność, że pijany nie był i że w ogóle pije jak każdy normalny człowiek. I dyrektor Cisak — mówi — musiał się ze swego oskarżenia wycofać. Właśnie 26 października na nadzwyczajnym posiedzeniu rady pedagogicznej w obecności kuratora, Józefa Brzezińskiego zawarł z Bronisławm Kępińskim ugodę.

Mój rozmówca nie kryje, że gdyby tak, jak Mieczysław Rykała nie był nauczycielem mianowanym, już dawno podzieliłby jego los. Ale mianowanie broni przed wyrzuceniem z pracy z dnia na dzień. Nie boi się też mówić, co myśli o zwolnieniu kolegi. Powiedział to już zresztą na zebraniu rady pedagogicznej w listopadzie 1983 roku, kiedy to zatwierdzano wymówienie Rykale pracy. To od początku była parodia — mówi— zwłaszcza, że zdecydowana większość członków rady zdążyła już opuścić szkołę. O podjętej decyzji dowiedzieli się dopiero po fakcie.

(DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NUMERZE)

Video, porno i mgła

MAREK KOPROWSKI

NA ŚWIECIE

Magnetowid — urządzenie, które pomaga oszukać złodzieja. Złodzieja czasu, oczywiście, czyli telewizję. Posiadacz magnetowidu nie musi rezygnować z teatru, koncertu czy spotkania towarzyskiego, bo „leci" właśnie film z cyklu „Opowieści o miłości" czy inna nie mniej pasjonująca audycja. Nastawia urządzenie na określoną godzinę i po powrocie do domu (nawet nad ranem lub za trzy dni) odtwarza zapisany na taśmie magnetycznej ulubiony program telewizyjny.

Magnetowid — aparat podobny do magnetofonu tyle że zapisujący i obraz, i dźwięk — do odtworzenia na ekranie własnego telewizora. A jeśli mamy do tego kamerę, możemy zarejestrować na przykład imieniny teścia i potem przez rok, do następnej okazji, oglądać co pikantniejsze fragmenty przyjęcia.

Magnetowid kasetowy czyli kino w domu. Poza nagrywaniem z TV możemy odtwarzać na nim kasety z nagranymi filmami. Najczęściej zachodnimi, bo tam kręci się filmy w wersji kinowej i przepisuje na kasety. My dopiero „raczkujemy" w tej dziedzinie.

Video zdobyło świat. W wielu krajach jest tak powszechne w użyciu jak telewizja. I nie jest to bynajmniej krótkotrwała moda, o której zapomina się, gdy zanudzi człowieka na śmierć.

Video okrzyknięto zwiastunem XXI wieku. W istocie, jest to prawdziwa rewolucja w dziedzinie zapisu i odtwarzania dźwięku i obrazu. Kolejny wielki krok techniki po filmie i telewizji, łączący w sobie oba wcześniejsze wynalazki. I jak przystało na najmłodsze dziecię, stało się natychmiast groźnym konkurentem dla starszego rodzeństwa. Co wyraża się chociażby szalonym powodzeniem filmów na videokasetach. Ale o tym za chwilę.

DOPIERO ZACZYNAMY

W Polsce video zaczyna być coraz bardziej widoczne tak w życiu publicznym, jak i prywatnym.

W Jaworznie powstało pierwsze w Polsce kino video. Cieszy się ono wielkim powodzeniem, a salkę ma malutką, tylko na 50 miejsc. Wydaje mi się, że repertuar jest nieistotny („Akademia pana Kleksa" K. Gradowskiego, „To tylko rock" P. Karpińskiego, „Seksmisja" J. Machulskiego, „Lata dwudzieste, lata trzydzieste" J. Rzeszewskiego, „Thais" R. Bera, oczywiście „Bolki i Lolki"), ludzi przywabia bardziej ciekawość nowej techniki niż potrzeba obejrzenia niektórych „arcydzieł" (typu „Thais"), wyświetlanych przecież w „normalnych" kinach.

W łódzkim „Grand-Hotelu" po oddaniu recepcji do użytku (po remoncie), zainstalowane zostanie urządzenie magnetowidowe (jak w dziewięciu innych hotelach w Polsce), na którym odtwarzane będą trzy razy dziennie dwugodzinne filmy reklamowe.

Ekipa filmowa RTS „Widzew" (innych klubów też) jeździ na mecze swych przyszłych rywali w europejskich pucharach i rejestruje przebieg gry na magnetowidzie. Materiał ten pomaga rozpracować przeciwnika.

Coraz częściej zapisuje się na taśmie video uroczystości ślubne, chrzciny, spotkania oficjalne i mniej oficjalne.

O tym, że Telewizja posługuje się magnetowidem od lat, wiedzą wszyscy.

Adam Hanuszkiewicz zarejestrował ostatnio na video swój spektakl pt. „Śpiewnik domowy" według Stanisława Moniuszki, żałując że nie uczynił tego w przypadku swych poprzednich wielkich inscenizacji, które zapisały się jedynie w pamięci widzów, na plakatach, fotosach i w recenzjach. Ma zamiar czynić to już stale. Łatwiejsze jest bowiem odtworzenie kasety organizatorom festiwalu teatralnego np. w Edynburgu, Monachium czy Paryżu niż organizowanie specjalnego spektaklu dla specjalnego wysłannika. Oszczędność kosztów i czasu jest oczywista. A co najważniejsze, pozostaje dokument.

Istniejący w Łodzi przy Domu Filmu i Plastyki Amatorski Klub Filmowy dysponuje wysokiej klasy aparaturą video. Członkowie Klubu kręcą swoje etiudy tą właśnie techniką. Jeden z nich zdawał do Szkoły Filmowej. Na egzamin przyniósł kasetę z własną produkcją. Komisja oglądała propozycję kandydata na magnetowidzie, co nawet w tej szkole było, zdaje się, nowością.

Właśnie, skoro już. Dziwne, że ta uczelnia, słynna kiedyś w Europie i świecie (coś tam z tej sławy pozostało), w sytuacji gdy świat przechodzi na system video, zupełnie tego nie dostrzega. Studenci Wydziału Operatorskiego nie znają takich urządzeń. Przynajmniej nie ze szkoły. A szkoda. Bo za kilka lat dotkliwie to odczują. Zagraniczne kinematografie już od paru lat przy kręceniu filmu prowadzą równoległą rejestrację magnetowidową. Natychmiast po zakończeniu ujęcia odtwarza się materiał na monitorze, co pozwala stwierdzić od razu, czy wszystko „zagrało", czy potrzebny jest „dubel" czy nie. Bez wożenia i czekania na obróbkę taśmy w laboratorium. Ma to kapitalne znaczenie przy kręceniu scen w plenerze, z dala od wytwórni. Jak bardzo obniża to koszty produkcji — nie muszę nikogo zapewniać. Dyrektor Zespołów Filmowych dwa lata temu hucznie zapewniał, że i u nas wprowadzenie tego systemu staje się koniecznością, że już, już, tylko patrzeć... Patrzymy już trzeci rok. Tak czy owak, za kilka lat umiejętność posługiwania się magnetowidem stanie się dla przyszłego filmowca niezbędna.

CZEKAJĄ NA TO SZKOŁY

Wielkie możliwości wykorzystania video otwierają się właśnie przed szkołami wszystkich typów i szczebli. Myśli się już (skoro już się myśli, to pewnie się kiedyś wymyśli), a przynajmniej myśleć się powinno o filmach wspomagających nauczyciela: popularnonaukowych, oświatowych, pedagogicznych zapisanych na taśmach video. Szkoły, jak wiem, są tym bardzo zainteresowane. O ileż atrakcyjniejsze byłyby lekcje, o ile łatwiej byłoby wozić kasety niż ciężkie rolki z filmami, wyświetlanymi z reguły na pół popsutych projektorach. A wszystko to razem o ileż byłoby tańsze. Istnieje Narodowy Fundusz Pomocy Szkole. Tutaj miałby on szanse realnej i wymiernej pomocy. Zamiast enigmatycznych działań, Fundusz ten powinien zafundować szkołom podstawowym i średnim po magnetowidzie i wspomóc produkcję odpowiednich filmów. Uważam, że tego przegapić nie wolno. Dla dobra naszych dzieci.

PRYMITYWNE PORNO TEŻ

W 1980 roku, w RFN, widziałem urządzenia video w sklepach. Były drogie i zdobywały sobie dopiero rynek. Rok lub dwa wcześniej oglądałem prototyp skonstruowany w Zakładach im. S. Kasprzaka. Teraz, na Zachodzie, magnetowid jest tak powszechny jak u nas telewizja.

A u nas, sprowadzany z zagranicy prywatnym importem, wciąż otoczony kokonem sensacyjności i tajemniczości, jest symbolem ekstrawaganckiego luksusu. Ktoś przegapił sprawę.

W prywatnych rękach znajduje się niezliczona (dosłownie) ilość urządzeń. Był taki okres, że dziennie przez granicę „przechodziło" 5000 aparatów video. Dziennie! Ostatnio ilość ta powiększyła się o dwa, ofiarowane drugiej i trzeciej najpiękniejszej Polce.

Właściciele magnetowidów mniejszą uwagę przywiązują do rejestrowania interesujących programów telewizyjnych. Być może, z braku godnych takiego zabiegu audycji. Co najwyżej nagrywa się wybrane videoclipsy czyli teledyski. Największe zainteresowanie budzą jednak videofilmy.

Ile to już razy słyszałem, powtarzane z zaczerwienionymi z emocji uszami, opowieści o prywatnych seansach pornofilmów video. W pewnym momencie obecność na takich pokazach należała do dobrego tonu(!).

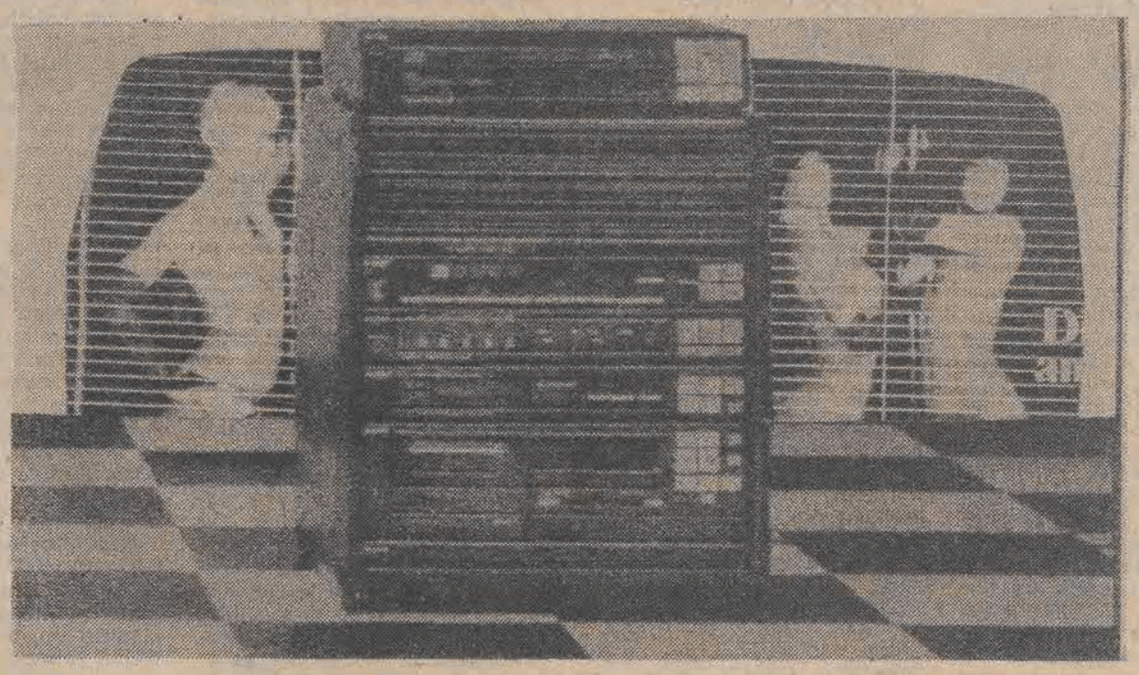

Janusz Szymański-Glanc

Samozaparciem zaimponowała mi pewna pani w średnim wieku, która przez całą noc, sama, oglądała filmy porno. A na koniec, opuchnięta nieco od nadmiaru estetycznych wrażeń, wyrzuciła z siebie te i inne treści wprost do muszli klozetowej. Bo filmy te, to przeważnie ohyda i obrzydlistwo. Byle jaka fabułka, wymyślona jakby w pośpiechu, a podporządkowana pokazaniu możliwych i niemożliwych układów kopulacyjnych dowolnej ilości uczestników różnej lub tej samej płci, bywa że z towarzyszeniem zwierząt domowych, choć nie tylko. Wszelkie możliwe zboczenia i dewiacje seksualne, a także wielka ilość innych idiotyzmów, jakie tylko wymyślić potrafi prymitywna na ogół wyobraźnia twórców tych dzieł. Filmy te różnymi sposobami przenikają do Polski i czy to się komuś podoba czy nie, jest ich bardzo dużo. A „oglądalność" tej produkcji wcale nie jest sprawą marginesową. Znajomi zapraszają się na pokazy, wymieniają kasety, życie towarzysko-artystyczne kwitnie. Wiadomo, każdy chce zobaczyć, jak „to" wygląda naprawdę. Tym bardziej, że zakazane.

Warto by więc wpłynąć jakoś na ograniczenie zainteresowania tą przeraźliwą tandetą, mogącą na dłuższy dystans obrzydzić „sprawy męsko-damskie". I to nie groźbami, zakazami czy innymi straszakami, bo wiadomo, że to nie odniesie pożądanego skutku. Wręcz przeciwnie.

Należałoby dać silną kontrę repertuarową, zaproponować atrakcyjne propozycje, które byłyby łatwo dostępne i rozsądnie wycenione. A to można osiągnąć jedynie przez zorganizowanie sieci wypożyczalni videokaset. W innych państwach sieć ta jest świetnie zorganizowana i przynosi ogromne dochody. Już od dłuższego czasu bowiem dał się zauważyć spadek zainteresowania kupnem kaset na korzyść ich wypożyczania.

GMATWANINA I BRAK KONSEKWENCJI

U nas akurat odwrotnie: kupić i sprzedać film w kasecie można w legalnie istniejących sklepikach, wypożyczyć natomiast nie można. Bo nie ma wypożyczalni. Choć właściwie są, ale nie ma. Bo przepisy. Przepisów właściwie nie ma, ale są. Jak to u nas: mętlik i kołomyja.

Po kolei zatem.

Przepisów szczegółowych jeszcze nie ma. Są ledwie zalecenia ministra kultury i sztuki oraz Naczelnego Zarządu Kinematografii. Wydane przed rokiem, a już w części nieaktualne. Innych brak. Dotyczą one rozpowszechniania filmów w technice magnetowidowej. Mówią o możliwościach (a raczej niemożliwościach) funkcjonowania wypożyczalni videokaset. Tak, niemożliwościach, bo zalecenia te praktycznie uniemożliwiają prowadzenie tego typu działalności. A mimo to, już po ukazaniu się rzeczonych zaleceń i rozesłaniu do odpowiednich instytucji (pismo to nakazuje również zweryfikowanie wydanych zezwoleń, nielicznych co prawda, na prowadzenie wypożyczalni videokaset) nie tylko nie zweryfikowano istniejących, ale powstały cztery nowe w Warszawie oraz w Poznaniu, Katowicach i Gdańsku. Istnieją, ale, jak powiedział mi zastępca dyrektora warszawskiego ZAIKS-u, funkcjonują właściwie w podziemiu. Mają podpisane umowy z ZAIKS-em, mają legalnie wydane zezwolenia, a działają w podziemiu. Choć wszyscy o tym wiedzą. To dopiero logika!

A w Łodzi powiedziano: nie! Wydział Kultury i Sztuki oraz Wydział Handlu i Usług UMŁ zwarły szeregi i „po moim trupie" nie zezwolą na taką działalność. W Warszawie natomiast zezwolenia wydał właśnie Wydział Handlu i Usług, a pretensje Wydziału Kultury skwitowano: *„naszą sprawą jest wydawanie zezwoleń, a wy zadbajcie o ściągnięcie tantiem dla autorów"*. Sprawa załatwiona? Załatwiona. Tyle że w całkowitej niezgodzie z zaleceniami „góry". Dla mnie ludzie ci są całkowicie rozgrzeszeni za próbę znalezienia wyjścia z tej zasupłanej sytuacji. Bo najłatwiej podpisać decyzję odmowną i ze szczęścia napić się herbaty.

Istotną więc i jedyną przyczyną braku wypożyczalni są przepisy dotyczące prawa autorskiego.

„...Wypożyczanie videokaset osobom fizycznym do użytku prywatnego jest również publicznym rozpowszechnianiem utworów i podlega ochronie prawa autorskiego. Producentom i właścicielom praw dystrybucyjnych oraz autorskich przysługuje z tego tytułu roszczenie odszkodowawcze płatne w wypadku filmów zagranicznych w dewizach. Sytuacji tej nie zmienia fakt wydawania przez urząd kontroli publikacji i widowisk pozytywnych opinii lub braku zastrzeżeń odnośnie publicznego rozpowszechniania niektórych tytułów, gdyż opinie te formułowane są wyłącznie z punktu widzenia ustawy o kontroli publikacji i widowisk bez wnikania w zagadnienia związane z nabyciem praw eksploatacyjnych do publicznego rozpowszechniania filmów. Prawa te nabywane są przez Przedsiębiorstwo Eksportu i Importu Filmów „Film Polski" na zlecenie Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów uprawnionego do kwalifikowania filmów do publicznego rozpowszechniania w kraju na zasadzie wyłączności".

Jest to cytat z pisma Naczelnego Zarządu Kinematografii do dyrektorów wydziałów kultury urzędów wojewódzkich.

W tym fragmencie pismo jest nieaktualne, a to z powodu, że PEiIF „Film Polski" już nie istnieje. Zawiązała się natomiast spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Film Polski", która zająć się ma jak zapowiada, m.in. nabywaniem licencji na video, tworzeniem sieci państwowych wypożyczalni videokaset, zapewnieniem atrakcyjnego repertuaru, itd. Tyle że spółka ta nie ma jeszcze osobowości prawnej, a zatem nie może działać. Kiedy to nastąpi — nie wiadomo.

Załóżmy więc, że ktoś chciałby nabyć prywatnie prawa do rozpowszechniania filmów. Załóżmy, że udałoby się (jeśli są pieniądze, to nie trzeba zakładać: udałoby się na pewno), to też jeszcze nie wszystko. Pominięcie PDF i nie istniejącego PEiIF „Film Polski" nie upoważniają nowego właściciela praw do rozpowszechniania filmów w Polsce.

Mało tego: jeśli potencjalny właściciel opłaci zakup praw eksploatacyjnych filmu zagranicznego i przekaże je Okręgowemu Przedsiębiorstwu Rozpowszechniania Filmów, również w tym wypadku nabycie praw dystrybucyjnych musi być dokonane przez PEiIF „Film Polski" (nie istniejące) na zlecenie PDF. Uff!! Takie są aktualne zalecenia.

Pachnie tu straszną, piramidalną biurokracją. Wszystkie wymienione instytucje „należą" do jednego departamentu, a taki mają zagadkowo-karkołomny podział ról. Dlaczego? Przy takiej przejrzystości kompetencji, najgęstsza londyńska mgła wydaje się być niewinną kaszką z mlekiem.

Człowiek, który sprowadza sobie w ciągu dwóch tygodni z zagranicy najnowszy film, a nagle zechce zastosować się do tych reumatycznych zaleceń, zmieści się, być może, w dwóch latach. Może przesadzam, a może nie. To nie znaczy, że zachęcam do łamania przepisów. Wolałbym, żeby ktoś się złamał i stworzył wreszcie przepisy realne, uproszczone, gwarantujące szybką realizację zakupów.

Tym bardziej, że Naczelny Zarząd Kinematografii prezentuje stanowisko, *„że niecelowe jest publiczne rozpowszechnianie filmów z videokaset wyłącznie przez państwowe jednostki organizacyjne, konieczne natomiast jest określenie warunków na jakich udzielane będą koncesje dla prowadzenia tej działalności..."* Oj, konieczne. I w miarę szybkie. I możliwe do spełnienia.

Kilka linijek niżej pismo NZK mówi jednak o *„celowości funkcjonowania prywatnych wypożyczalni videokaset jedynie w wyjątkowych przypadkach"*. Zaprzeczamy sobie, panowie. Jednocześnie roztacza perspektywy uruchomienia państwowych wypożyczalni w największych ośrodkach przy OPRF-ach, a także uruchomienie videoklubów, będących własnością OPRF-ów. Te gigantyczne i ambitne zamierzenia miały być w trymiga zrealizowane w 1984 r. Mamy połowę 1985 i ani widu, ani słychu. Państwo nasze reprezentowane przez NZK dysponuje jedną licencją video. Na film „E.T." Brawo!

ROZWIĄZAĆ SZYBKO TEN WĘZEŁ

Oszczędzę czytelnikom dalszego cytowania zaleceń NZK, bo ich klarowność przypomina górską rzekę po oberwaniu chmury.

Jakby mało było tych niemożliwych praktycznie do „przeskoczenia" przepisów, ktoś wymyślił inne utrudnienie dla rzemieślnika prowadzącego legalnie kupno-sprzedaż płyt i kaset video, czystych i zapisanych. Zadysponowano, że obrót artykułami pochodzenia zagranicznego nie może przekraczać 20 proc. obrotów placówki ogółem. Jak to zrobić, gdy w Polsce nie produkuje się videokaset? Mają się tym zająć Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych, ale to melodia przyszłości. Na razie przydzielono im pustą halę.

Pierwsze przykazanie lekarza brzmi: nie szkodzić. W tym przypadku (nie tylko w tym) brzmieć powinno: nie utrudniać. I to w tak bezsensowny sposób, skłaniający do podejrzeń o bezmyślną złośliwość.

Jeżeli tak przebiegać będzie wprowadzanie video do szerokiego odbioru, to pogratulować. Świat idzie naprzód, funkcjonują już videogazety, videotelefony i inne cuda techniki, a u nas są trudności z określeniem prostych warunków funkcjonowania najprostszych organizacyjnie komórek. Więcej odwagi, proszę prawotwórców, pozwólcie działać ludziom z inicjatywą, spółkom, spółdzielniom, czy ja wiem? A o prawidłowość ich działania niech martwią się odpowiednie instytucje zajmujące się kontrolą. To mamy opanowane perfekcyjnie. Nikt i nic im się nie wymknie. Nie ma obawy.

A na razie wymykają się państwu grube pieniądze. Bo istnieje sporo cichych, domowych, bazarowych wypożyczalni video. Obroty są ogromne, ruch jak na Marszałkowskiej o 15.00. „Idzie" wszystko: i knoty, i porno, i rzeczy dobre. Cóż, kto źle i powoli działa, ten traci.

Gdy wszystko będzie się tak ślimaczyć i natrącać trudności, jak nierozwiązane przez lata problemy z butelkami czy makulaturą (to skandal nad skandale w cywilizowanym kraju: przecież półinteligent nie musiałby się nad tym specjalnie wysilać), to znów zostaniemy w tyle i dojdzie do tego, że Albania będzie w stanie dokopać nam nie tylko na boisku piłkarskim.

ze str. 1

kich „eksperymentach". Większość ludzi za prawdziwy, dobry wypoczynek uważa tradycyjne wczasy. Te zaś od kilku lat systematycznie drożeją. Pesymiści — zarówno osoby prywatne, jak i niektórzy ludzie z racji pełnionych funkcji wypowiadający się oficjalnie na temat wypoczynku — twierdzą nawet, że — o ile sytuacja nie ulegnie zmianie — wkrótce wielu z nas nie będzie po prostu stać na urlopowe wyjazdy.

Czy są już symptomy, wskazujące iż ta ponura wizja faktycznie może się sprawdzić? Jak kształtują się ceny wczasów, i ile z tego faktycznie płaci pracownik gospodarki uspołecznionej? Na pytania te odpowiadali przedstawiciele kilku zakładów pracy oraz instytucji, zajmujących się organizacją wypoczynku.

Z namiotem i pierzyną

„GROMADA" przeżyła kilka dni temu istne oblężenie. Jego powodem była informacja w prasie codziennej, że są jeszcze skierowania do Karpacza, za 7,5 tys. zł. Chętnych nie odstraszał fakt, że są to wczasy IV kategorii, z czym przecież wiąże się rozmaite niewygody, utrudniające wypoczynek. Niewielka ilość tych najtańszych skierowań sprzedano natychmiast. Znacznie wcześniej, bez ogłoszania w prasie, rozprowadzono (również nieliczne) najdroższe skierowania: nad morze, luksusowe pokoje jednoosobowe I kat. za 21,5 tys. zł.

Wśród kilku tysięcy skierowań, jakimi w tym roku dysponuje łódzka „Gromada" nadal jednak można coś wybrać — jeziora, centrum kraju, woj. nowosądeckie. Ceny od 12 700 zł. do około 15 tys. Sprzedane już mniej luksusowe wczasy nad morzem kosztowały średnio 17—18 tys. zł.

Przedstawicielka „Gromady" mówi: *Notujemy w tym roku znacznie większy ruch klientów indywidualnych, na co, prawdę mówiąc, nie jesteśmy najlepiej przygotowani i znacznie mniejsze zainteresowanie ze strony zakładów. Wiele z nich zrezygnowało z wcześniejszych, wstępnych zamówień.*

Przyszłość wypoczynku widzę przede wszystkim w dużym zróżnicowaniu cen i rodzaju oferty. A więc niekoniecznie dwutygodniowy turnus z pełną obsługą, ale także np. same kwatery, bez wyżywienia, na dowolną ilość dni. Ponadto — bardzo przydałby się zakaz podnoszenia cen powyżej pewnej granicy, opanowanie bezhołowia, panującego w niektórych przedsiębiorstwach turystycznych.

Podam przykłady: podczas gdy zamawiając wyżywienie w stołówce ajencyjnej ustaliliśmy cenę na 450 zł dziennie, jedno z przedsiębiorstw turystycznych zażądało od nas... 750 zł. Po długich targach obniżyli do 550, ale ostrzegając, że może to być wyżywienie „słabsze". Albo ceny kwater — jesteśmy jedynym przedsiębiorstwem, które nie płaci 100 proc. za miejsca nie wykorzystane. Pozostali płacą — a więc dla właścicieli kwater tylko lepiej, gdy nikt nie przyjedzie.

Moim zdaniem — należałoby zwiększyć (i konsekwentnie egzekwować) wymagania wobec wszystkich bezpośrednio obsługujących wczasowicza i — raz jeszcze podkreślam — zróżnicować ofertę, tak, aby jakość i cena wczasów pasowały do siebie i każdemu stwarzały możliwości wypoczynku.

FWP — FRANCISZEK JUROSZEK, dyrektor okręgu, informuje, że instytucja ta, będąca ciągle największym organizatorem wypoczynku pracowników, mimo wzrostu cen także i w tym roku nie zdziera skóry ze swoich klientów. Cena najdroższych skierowań do domów I kategorii w atrakcyjnych miejscowościach nadmorskich wzrosła z 11 600 do 14 200 zł. Najtańsze wczasy kosztują w tym sezonie 5 300, średnia cena waha się około 7—8 tys. zł.

— Oceniam — mówi — *że zainteresowanie naszą ofertą trochę się zmniejszyło, około 20 proc. (choć nie są to dane ścisłe). Nie znaczy to jednak, że już mamy trudności ze sprzedażą. Lipiec sprzedany cały, jest trochę skierowań na II połowę sierpnia. Jak zawsze — wszyscy ubiegają się o morze. W tym przypadku cena nie gra roli, sprzedalibyśmy każdą ilość, nawet najdroższych skierowań. Do połowy czerwca przyszłego roku w FWP obowiązywać będzie ten sam cennik. Potem zapewne ceny wzrosną.*

Wraz z tym musi wzrosnąć standard usług, bowiem dotychczas pozostają one w stanie niezmienionym, a bywa, że ich poziom obniża się. Oczywiście wiążą się z tym rozmaite problemy, ale domy wczasowe, a także, w swoim zakresie działalności, dyrekcje okręgów FWP muszą je pokonać, bowiem jeśli utrzyma się sytuacja, że nasz klient będzie dostawał to samo lub mniej za większe pieniądze, możemy stracić znaczną liczbę gości.

TOUR-RETOUR, prywatne biuro turystyczne, oferuje wypoczynek w formach bardziej zróżnicowanych — a więc zarówno tzw. letniska o różnym standardzie, od drewnianej budki z wodą w misce aż po nadmorskie wille z pełnym wyposażeniem na dowolną ilość dni, jak i klasyczne, dwutygodniowe wczasy z wyżywieniem. Ceny tych ostatnich w zależności od rejonu i standardu, kształtują się w tym roku od 12 300 do 19 tys.

Pracownica tego biura mówi: *— Nie zauważyłam, aby ludzie wybierając u nas rodzaj wypoczynku kierowali się przede wszystkim ceną. Najpierw, jak zwykle, sprzedaliśmy morze. Nawet te najdroższe skierowania, mimo że akurat w tym rejonie kraju, o czym uprzedzaliśmy klientów, cena nie zawsze jest adekwatna do warunków. Potem trafiały do nas osoby, które stawiały pewne wymagania — a więc tacy, którzy chcieliby wypoczywać w miejscowościach cichych, spokojnych, zwolennicy wędkowania lub wycieczek, po prostu ci, którzy mają jakieś konkretne upodobania. Wybierali z naszych propozycji pod kątem spełnienia swoich oczekiwań, nie zaś ceny. Więcej skierowań niż w roku ubiegłym kupiły od nas zakłady pracy. W tych przypadkach pytania dotyczyły przede wszystkim miejscowości i ceny, nie interesowano się bliższymi szczegółami. Trafiało również wiele osób, które załatwiały u nas indywidualne skierowania, do których dopłacały ich zakłady. Wielu z nich dziwiło się, że wczasy są aż tak drogie w porównaniu z tym, co sami muszą zapłacić, nie wiedzieli, skąd właściwie bierze się taka cena, nieraz mówili, że nigdy nie zdecydowaliby się na pełne jej pokrycie z własnej kieszeni...*

Na koniec tej miniankiety zostawiłam mego ulubionego organizatora — WOJEWÓDZKI OŚRODEK SPORTU I REKREACJI. W prowadzonym przez WOSiR ośrodku w Borkach nad Zalewem Sulejowskim byłam kilkakrotnie płacąc: kilka lat temu 7.600 zł, w roku ubiegłym około 13 tys., a w roku bieżącym musiałabym zapłacić od 14 do 15 tys. w zależności od zakwaterowania w domku campingowym, dwuizbowym z sanitariatem i bieżącą, gorącą wodą lub w dwuosobowym pokoju z łazienką w pawilonie. Nadal wydaje mi się, że biorąc pod uwagę jakość świadczonych tu usług cena jest umiarkowana, tym bardziej, iż składa się na nią nie tylko znakomite wyposażenie, nie tylko bardzo dobra kuchnia, ale i sprawna praca całego personelu, życzliwość, sprawiająca, że wczasowicze czują się miłymi gośćmi.

BARBARA JAROSZEWSKA z WOSiR mówi: *— Zainteresowanie wczasami jest ogromne, mniej jest natomiast chętnych na organizowane także przez nas obozy. Tu właśnie rolę odgrywa cena: od 16 tys. za obóz ogólnorekreacyjny, do 24 tys. za obóz konny. Wiąże się to nie tylko z podwyżką opłat za energię i cen żywności, ale także wzrostem płac kadry. Mamy jeszcze wolne miejsca na sierpień, podczas, gdy w roku ubiegłym o tej porze było już wszystko sprzedane...*

Dla większości pracujących w gospodarce uspołecznionej osób nie to jednak jest ważne, ile kosztuje skierowanie, ale — jaka część kosztów będą musiały pokryć z własnej kieszeni. W wielu zakładach zasady dofinansowania wypoczynku pracowniczego zmieniły się, nie zawsze ku zadowoleniu tych ostatnich.

ZPB 1 MAJA — mówi pracownica działu socjalnego: *— Naszym pracownikom i członkom ich rodzin przysługuje dopłata do wczasów raz na dwa lata. W maju br. zasada ta została zmieniona — dofinansowanie miało dotyczyć tylko pracowników. Wywołało to wielkie niezadowolenie, ludzie masowo rezygnowali z wczasów. Przywrócono więc poprzedni system, choć w nieco innej formie — a więc suma, która płaci pracownik uzależniona jest nie tylko od dochodu na członka rodziny (jak było w roku ubiegłym), ale także od ceny skierowania. Oprócz tego związki zawodowe dopłacają swoim członkom po tysiąc zł. Skierowań mamy dość dla wszystkich chętnych.*

ZPB IM. J. MARCHLEWSKIEGO, kierownik działu socjalnego BOGDAN WIETLEWSKI: *— Skierowań w tym roku jest więcej niż w ubiegłym, tabela odpłatności dla pracowników pozostała taka sama. Zainteresowanie — jak zwykle, w lipcu i sierpniu więcej chętnych niż miejsc, poza sezonem — miejsca nie wykorzystane. Ceny skierowań wahają się od 13 do 20 tys. zł — pracownik płaci najwyżej parę tysięcy. Jest to jednak ostatni sezon, gdy — z trudem — możemy pozwolić sobie na tak duże dopłaty. Fundusz socjalny już ledwie to wytrzymuje — i w przyszłym roku wszystko ulegnie zmianie. Jakiej — okaże się dopiero, gdy wejdą w życie nowe, zapowiadane zasady naliczania funduszu socjalnego.*

„DYWILAN", kierownik działu socjalnego STANISŁAW MIARCZYŃSKI: *— Zasady pozostały te same — mimo to pracownik płaci więcej. Przykładowo: w roku ubiegłym pokrywał średnio 31,4 proc. ceny skierowania, w br. również, ale: średnia cena skierowania wynosiła 10 630 — w br. 16 377. Pracownik płacił więc 3 335 zł — obecnie 5 100. Z funduszu socjalnego dopłacaliśmy 7 295 zł — w roku bieżącym 11 277. Przerosło to możliwości pokrycia z funduszu socjalnego. Dużego dofinansowania udzieliła Rada Pracownicza. Wzrost kosztów spowodował jednak, że niektórzy pracownicy z wczasów zrezygnowali.*

Co będzie dalej — konkretne decyzje podejmiemy we wrześniu. Przeraża jednak zbyt szybki wzrost cen, bardzo obciążający dla wielu zakładów, również dla ludzi. Niepokojącym zjawiskiem jest również samowola i wymagania właścicieli kwater, którzy pobierając coraz wyższe ceny obniżają jakość usług. Mieliśmy przypadki, że np. o godz. 22 wyłączali światło w pokojach, żądali dodatkowych opłat za użycie własnej grzałki lub oglądanie telewizji.

Tych kilka przykładów z obu stron wczasowej lady jak sądzę wystarczy. Moi rozmówcy — zarówno przedstawiciele zakładów, jak i instytucji organizujących wczasy — zasygnalizowali wiele problemów, których właściwe rozważanie zadecyduje już w najbliższej przyszłości, czy obiekty świecić będą pustkami — a ludzie spędzać urlop przesiadując w parku na ławce.

Postulat o „zamrożeniu" cen wczasów jest nierealny, nie o to zresztą — moim zdaniem — chodzi, aby były one tanie, lecz tak zróżnicowane, aby każdy zatrudniony po 11 miesiącach pracy mógł bez zaciągania pożyczek za nie zapłacić.

Z ceną wczasów bezwzględnie wiązać się powinna ich jakość — co, jak dotąd nie zawsze udaje się zrealizować. Różnice w opłatach, wynikające z kategorii ośrodka, sezonu i rejonu kraju są stanowczo zbyt małe.

Dla przykładu: jeśli ja — a zapewne i wiele innych osób — będziemy mieć do wyboru luksusowy ośrodek nad morzem w lipcu za 35 tys. zł, w październiku i kwietniu za 15 tys., a w listopadzie za 5 tys. — przynajmniej co dwa lata zdecydujemy się na urlop poza sezonem, kto wie, może nawet w listopadzie? Jeśli natomiast, tak jak obecnie, różnice cen wynoszą zaledwie kilkaset zł, jest sprawa jasna, że wszyscy ubiegają się o lipiec. Podobnie rzecz ma się z zależnością ceny od kategorii ośrodka — różnice są tak minimalne, że zachęcają właśnie do wypoczynku w najdroższych.

Po zapowiadanych, nowych zasadach naliczania funduszu socjalnego załogi przedsiębiorstw obiecują sobie sporo. Jest to oczywiście sprawa niezmiernie ważna, co najmniej jednak równie ważna wydaje się zmiana zasad podziału tego funduszu. Dlaczego by np. nie wprowadzić właśnie zasady znacznie większego dofinansowywania osób wyjeżdżających poza sezonem — a nawet wprowadzenia czegoś w rodzaju indywidualnego konta socjalnego każdego pracownika, na które każdego roku odprowadzałoby się odpowiednia, wynikająca z podziału sumę — i niech jedzie dwa razy do roku do domku campingowego, albo raz na trzy lata do Grand Hotelu w Sopocie, w zależności od chęci i zarobków. Obecny system, w którym koszty ponoszone przez pracowników są niemal takie same przez cały rok, niezależnie od faktycznej ceny wczasów powoduje sytuacje, że na okres letni najlepiej byłoby zamienić Polskę w kraj na wyspie otoczonej morzem i pełnej luksusowych ośrodków.

Inna sprawa — to wymagania stawiane gospodarzom obiektów i kwater. Sytuacja, w której płaci się 100 proc. ceny za miejsca nie wykorzystane bądź też ze wzrostem kosztów, a więc i zysku gospodarza, obniża się jakość usług są niedopuszczalne i powinny być bardzo surowo finansowo karane.

Wydaje się, że u podstaw całego szumu, jaki narastał wokół tematu wczasów wraz ze wzrostem ich cen leży błędne przekonanie, że taki sam wypoczynek należy się każdemu — a tymczasem przybywa ludzi, których na to nie stać, przybywa zakładów, które nie są w stanie zagwarantować go wszystkim chętnym.

Oczywiście odpocząć musi każdy — jednak wcale nie w taki sam sposób, o jednej porze i w takich samych warunkach. Myślę, że reforma gospodarcza powinna zadziałać i w tej dziedzinie i przy pomocy rozmaitych silnych bodźców udałoby się zmienić przekonanie, że dobry urlop, to tylko w lipcu nad morzem, co w dalszej perspektywie okazałoby się korzystne dla wszystkich zainteresowanych. Nawet i ja zdecydowałabym się raz jeszcze na urlop z namiotem i pierzyną — gdyby mi się to opłacało. Ale nie opłaca się — więc co roku będę ubiegać się o skierowanie w zakładzie, oczywiście latem.

Bez takiej głębokiej reformy systemu obowiązujących opłat i dopłat pozostanie nam tylko coraz bardziej narzekać, że wczasy drożeją i kogo na to stać.

TERESA JERZYKOWSKA

Zero i Bilon — spółka z ograniczoną odpowiedzialnością czyli elegancki garnitur z białej flaneli

ANDRZEJ KAROL

1.

Było to wczesną wiosną. W restauracji z dancingiem w mieście Ł. biesiadowali dwaj przyjaciele: Szymon Zero i Zenon Bilon (nazwiska zmienione, adresy znane właściwym urzędom spraw wewnętrznych). Biesiadowali już od dwóch godzin, zdążyli zjeść przekąski i tzw. dania główne oraz opróżnili dwie półlitrowe butelki, bynajmniej nie wypełnione wodą mineralną. Zdążyli też opowiedzieć sobie co robili przez ostatnie miesiące oraz powspominać niezbyt luksusowy pensjonat w miejscowości Rawicz, gdzie rozstali się po wspólnie spędzonym, długotrwałym urlopie zdrowotnym, przerwanym nagle i niespodziewanie ustawą o amnestii.

Nagłe przerwanie urlopu zdrowotnego odbiło się niekorzystnie na zdrowiu obydwu przyjaciół: Szymon Zero nie mógł do dziś, ze względu na ogólne osłabienie, podjąć jakiegokolwiek stałego zajęcia, Zenon Bilon, z tych samych powodów, pracował krótko i dorywczo. Środki do życia czerpali ze źródeł nieznanych. Jak twierdzili obaj, były to głównie darowizny od zamożnych członków dalszej rodziny i przyjaciół, a także prezenty, otrzymywane od pięknych i zasobnych dam, których nazwisk ani adresów jako prawdziwi gentlemani zdradzić nie mogli.

A mogli się podobać: Szymon był barczysty, męski, nad dużymi brązowymi oczyma gęste, regularne brwi oraz bujna czupryna, rozpoczynająca się w odległości około półtora centymetra od tychże brwi. Nie było to czoło myśliciela, ale jak wskazuje wieloletnie doświadczenie w dziedzinie stosunków męsko-damskich, prawdziwe kobiety raczej nie szukają oparcia i rozkoszy w ramionach myślicieli, preferując bardziej typ sportowca, jaki niewątpliwie uosabiał Szymon. Zenon natomiast stanowił przeciwieństwo Szymona: bardzo szczupły, błękitnooki o falujących blond włosach, wzbudzał niewyżyte instynkty macierzyńskie w starzejących się paniach oraz żywe zainteresowanie panów, nie respektujących konwencjonalnego podziału na płeć piękną i brzydką. Zenon, mimo przekroczonej trzydziestki wyglądał na lat osiemnaście... Dodatkowego uroku dodawał obu panom tatuaż, wykonany przez prawdziwego mistrza w tym rzemiośle. Były to prawdziwe dzieła, równie harmonijne i świetnie skomponowane w swej warstwie plastycznej, jak interesujące i zabawne w warstwie anegdotycznej, by tak rzec — literackiej. Artysta, który je wykonał zadbał także o wygląd swych klientów w sytuacjach intymnych i ozdobił ich ciała ilustracjami pikantnymi nie tylko w treści, ale i w wyborze fragmentów skóry, na których te ilustracje wykonał...

Wróćmy jednak do rozmowy, która przerwało podanie przez kelnera kolejnej butelki. Przyjaciele przycichli na chwilę i kontemplowali produkcje muzyczne restauracyjnego ansamblu... Trzeba tu dodać, że poziom produkcji klezmerstwa dancingowego w mieście Ł. stale zwyżkuje i jest nie niższy od klezmerstwa zachodniego a nawet niejednokrotnie go przewyższa. Wynika to głównie z coraz lepszej jakości sprzętu muzyczno-elektronicznego krajowego, wytwarzanego przez koncern „Unitra" oraz systematycznego wzrostu poziomu wykształcenia muzyków, spośród których znaczna większość legitymuje się już dyplomami szkół muzycznych.

— Pieniądze leżą na ulicy, a ściślej na plaży — mówił Szymon, kiedy kelner oddalił się — *mój plan jest prosty, jak miłość w pozycji a' la papa. Ja tu w Ł. odstawiam ajenta przedsiębiorstwa turystycznego i wynajmuję ludziom pokoje nad morzem, w S. Ty, jako mieszkaniec S. załatwiasz te pokoje na miejscu, podając się za przedstawiciela firmy z Ł. Żadnego kantu nie ma: nawet jeśli zapłacisz za łóżko pięć stów za dobę i drugie tyle za dzienne wyżywienie w knajpie ajencyjnej, to mamy od każdego frajera pięć stów, bo brać będę tysiąc pięćset za dobę. I wszyscy są zadowoleni, organa ścigania śpią spokojnie, nasza klientela się opala i kąpie a my balujemy! No, żeby uczciwie pobalować trzeba mieć tych łebków co najmniej pięćdziesięciu na raz, ale to jest przecież do załatwienia...*

Kapitał zakładowy prawie żaden: pieczątka, parę bloczków druków „Pokwitowanie wpłaty" i jakieś papiery, przypominające z grubsza skierowanie na wczasy. Biorę to na siebie...

Po opróżnieniu kolejnej butelki przyjaciele wytoczyli się z gościnnych progów restauracji z dancingiem i nie zważając na ciszę nocną zaintonowali pieśń, która echem poniosła się po ulicy, noszącej imię pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej:

„...Przed nami sława
wieczna zabawa
wszystko jak z nut
pieniędzy w bród
wspaniałe płyty
piękne kobity
zdrowie jak dzwon
wygodny tron!".

2.

Wkrótce potem w dwóch gazetach w Ł. i na Wybrzeżu ukazały się ogłoszenia: Szymon w Ł. proponował komfortowe pokoje w kąpielisku morskim S. — z wyżywieniem, a Zenon poszukiwał tychże pokoi w S. Działalność jednego i drugiego okazała się wkrótce owocna. A że ceny zarówno kwater, jak i wyżywienia w ajencyjnej restauracji były nawet niższe niż w pierwotnych przypuszczeniach Szymona, mógł on zastosować cennik konkurencyjny, w stosunku do państwowych i prywatnych biur podróży.

Szymon zakończył akwizycję w pierwszych dniach lipca, zgarnął szmal i pojechał do S. Uprzednio sprawił sobie wytworną garderobę letnią. Między innymi szykowny garnitur z białej flaneli...

I oto dwaj przyjaciele siedzieli w restauracji z dancingiem w S., i wsłuchiwali się w produkcje muzyczne miejscowego ansamblu. Trzeba tu dodać, że poziom produkcji muzycznych klezmerstwa dancingowego w S. również nie ustępował produkcjom zachodnim a niejednokrotnie je przewyższał za sprawą wysokiej jakości sprzętu elektronicznego made in „Unitra" oraz wykształcenia muzycznego wykonawców, spośród których większość... itd.

Szmal był sprawiedliwie podzielony, wszystkie rachunki skrupulatnie zapłacone. Klientela, tj. spragnieni słońca i morskich kąpieli mieszkańcy Ł., a także żądni pieniędzy posiadacze nadmetrażu w S. byli zadowoleni i nie wnosili reklamacji. Nic nie stało na przeszkodzie by dwaj wspólnicy i przyjaciele spędzili resztę sezonu spokojnie, spożywając owoce swej pomysłowości.

sprytu i — bądź co bądź — pracy, jaką włożyli w zorganizowanie i uruchomienie Przedsiębiorstwa Usług Turystycznych „Zero i Bilon".

I byłoby tak niewątpliwie, gdyby kobiety, które już niejednego solidnego handlowca i przemysłowca doprowadziły do ruiny przez swą niepohamowaną chciwość i infantylne zamiłowania do świecidełek i szmatek.

Otóż naszym przyjaciołom towarzysza właśnie: kelnerka z nadmorskiej kawiarni, rudowłosa Edyta i recepcjonistka domu wczasowego „Górnik" Celina, zakochana do szaleństwa w błękitnookim Zenonie. Podobnie zresztą jak Edyta, płonąca, zaledwie od wczoraj, najgorętszym afektem do Szymona. Obydwie panie prezentują bluzeczki i pantofle z komisu oraz najmodniejsze spodnie z tkanin pt. madera. Wszystko za ciężko zarobione pieniądze naszych bohaterów. A nic nie wskazuje, by miały to być ostatnie wydatki obydwu wspólników: panienki co chwila przypominają, że widziały w Pewexie to i tamto, a znów w Jubilerze jeszcze coś innego itp. itd. Jak to płoche kobiety...

Toteż, zamiast beztrosko hasać na parkiecie i popijać wytworne koktajle w barze wspólnicy główkowali w najwyższym napięciu jak powiększyć swój znaczny wprawdzie, ale wciąż topniejący kapitalik. To znaczy główkował głównie Szymon Zero, jako że Opatrzność pozbawiła jego przyjaciela umiejętności myślenia spekulatywnego. Był za to sprytny i akuratny jako wykonawca koncepcji i planów wspólnika. Jednak Szymonowi też nic do głowy nie przychodziło. Postanowili zatem spróbować sposobu najprostszego — pokera. Suma, jaka dysponowali powinna wystarczyć na wytrzymanie złej passy. Jeśli zła passa zdarzyłaby się — obaj byli dobrymi graczami, nieobce im były nie tylko wszystkie sztuczki psychologiczne, stosowane w tej szlachetnej grze, ale także subtelne sposoby znaczenia kart oraz pomysłowe systemy porozumiewawcze, ułatwiające skuteczną grę partnerom, którzy dyskretnie ze sobą współpracują. Pozostał tylko jeden szkopuł — znaleźć chętnych do gry. Nie byle kogo — musieli to być ludzie z forsą...

3.

Poszukiwania rozpoczęli nazajutrz. Przemierzali, każdy osobno, nadmorską promenadę, obserwowali bacznie panów wysiadających z dobrych, zagranicznych samochodów, rozglądali się po barach i kawiarniach. Wreszcie Szymon znalazł coś, co go zainteresowało. To „coś" to byli dwaj dystyngowani gentlemani przechadzający się po promenadzie. Ubrani wytwornie, siwowłosi, palce mieli ozdobione nietuzinkowymi wyrobami jubilerskimi. Szymon dyskretnie pochodził za obydwoma panami, rzucił okiem na rachunek, jaki zapłacili w restauracji „Albatros". Ustalił także, że obaj panowie są użytkownikami samochodu „Charade" o rejestracji katowickiej, a także, że z błyskiem w oku mijają na deptaku młodych chłopców. — „Tańcowały dwa... Michały" — pomyślał Szymon, uśmiechnął się i pobiegł do przyjaciela, aby ustalić plan taktyczny...

Okazja nadarzyła się wkrótce. Dwaj dystyngowani panowie późnym popołudniem zasiedli w małym barku przy kawie i koniaczku. Wkrótce potem Zenon Bilon, ubrany jak gwiazda heavy metal rock, z dyskretnym makijażem i starannie uczesanymi loczkami przysiadł się do ich stolika. Kiedy już rozmowa nabrała rumieńców, do kawiarni wszedł Szymon Zero. Popatrzyli na siebie z Zenonem i... rzucili się sobie w objęcia. Świeżo poznanym panom wyjaśnili, że nie widzieli się od czterech lat, przed takim właśnie okresem Szymon wyemigrował do Szwecji. Teraz Szymon jest już obywatelem Królestwa Szwecji i przybywa do kraju ojców jako marynarz pod banderą tegoż królestwa. Takie spotkania się oblewa, toteż hojny marynarz szwedzki zamówił natychmiast butelkę najdroższego trunku, jakim dysponowała barmanka.

Dalej poszło jak z płatka. Zaproszenie do niewinnego, „sportowego" pokera panowie przyjęli chętnie. Byli rozemocjonowani. Marynarz zdążył się zwierzyć, że ma przy sobie niezły kawałek grosza, zarobionego na przemycie, zamierza tę forsę zainwestować w jakiś dobry interes związany z jego regularnymi rejsami po Bałtyku. Może to być np. zaopatrzenie handlu skandynawskiego w plastykowe cacka, których producentami są akurat dwaj szykowni gentlemani... Nie można też pominąć ogromnego wrażenia, jakie na obydwu starszych panach zrobiła uroda Zenona Bilona.

4.

Gra rozkręcała się powoli, stawki nie były wygórowane a szczęście nie preferowało szczególnie nikogo z graczy.

Tak było do północy bez mała. Dopiero tuż przed północą gra nabrała rumieńców — podskoczyły stawki, na stole, oprócz mizernej waluty, która jest „prawnym środkiem płatniczym" pojawiły się banknoty, które wprawdzie takiej inskrypcji nie posiadają, są za to środkiem płatniczym znacznie skuteczniejszym... Szala zwycięstwa przechylała się — o dziwo! — wyraźnie w stronę jednego z producentów plastykowych cudowności, które rychło miały podbić rynek po północnej stronie Bałtyku.

Szymon zarządził małą przerwę. Zabrakło napojów i kanapek. Po zakupy udał się Zenon w towarzystwie jednego z kontrpartnerów. Operacja trwała pół godziny. Zenon, jako miejscowy znał miejsca zbiórek prawowiernych szyitów z nadmorskiego miasta, nabył bez problemu żytnią i kotlety. Po drodze nie tracił czasu: krótko i szczerze wyjaśnił, jakie jest jego położenie — gra o ostatnią forsę, przegrać nie może. Inaczej kosa... Póki co, proponuje układ — będzie współpracował z wspólnikami, puści kantem wspólnika, ale należy mu się dola — połowa wygranej. Dlaczego tak dużo? To cena bezpieczeństwa. Bierze na siebie ewentualny wybuch wściekłości swego kolegi, jeśli ten zorientuje się co naprawdę jest grane.

Rozmowę identycznej niemal treści przeprowadził Szymon z oczekującym wraz z nim drugim nobliwym gentlemanem.

Gra nabrała tempa i rozmachu. Szymon i Zenon grzecznie podkładali się przeciwnikom i wkrótce byli bez forsy. Z godnością i z uśmiechami zakończono niewinnego pokerka, spełniono toast za zdrowie zwycięzców umówiono się na rewanż. Małe towarzyskie nieporozumienie powstało przy pożegnaniu — zarówno Zenon jak Szymon z całą wylewnością ofiarowali się odprowadzać do pensjonatu swych partnerów. Ci jednak szczęśliwie zatrzymali taksówkę. Po godzinie wytworna „Charade" mknęła z niedozwoloną szybkością w stronę Górnego Śląska, a nasi bohaterowie usiłowali zasnąć — bezskutecznie wszelako...

Rankiem doszło do przykrej sprzeczki między wspólnikami, w wyniku której obaj zostali pacjentami miejscowej stacji pogotowia ratunkowego — odnieśli rany ciete i tłuczone... Bardziej poszkodowany Zenon Bilon w chwili szalonej szczerości wyjawił funkcjonariuszowi MUSW istnienie i działalność biura usług turystycznych Zero i Bilon.

5.

Panie Edyta i Celina resztę sezonu spędzają w towarzystwie zupełnie innych, równie przystojnych młodzieńców. Zenon i Szymon, kiedy tylko opuszcza szpital, spotkają się przed sądem rejonowym w sprawie o wzajemne pobicie przy pomocy ostrych, metalowych przedmiotów. Następnie staną przed sądem powtórnie — w sprawie o niezalegalizowaną działalność gospodarczą i nadużycie podatkowe.

W pierwszej sprawie jednym z dowodów rzeczowych będzie piękny, biały flanelowy garnitur Szymona. Z urwaną klapą i dużą plamą krwi w okolicy pierwszego guzika...

6.

Zakończenie tej historii stosownym morałem nie sprawia autorowi żadnych trudności. Może on brzmieć: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje", albo bardziej oryginalnie: „Gdzie dwóch korzysta tam trzeci z czwartym się bija".

1.

W jednym z wysokich domów na Manhattanie, dzielnicy, która zdaje się objawiać ostatnio chorobliwe oznaki zmęczenia, lokator z trzynastej kondygnacji, skądinąd inżynier bez przesądów o wielce materialnym stosunku do świata, wysiadłszy z windy na parterze zderzył się twarzą w twarz z jakimś nieznanym, kilkunastoletnim wyrostkiem, którego wygląd potrącił w duszy inżyniera strunę niepokoju.

Zwykle w takich okolicznościach pan inżynier, podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy Manhattanu, zapytałby chłopca, czego szuka, do kogo przyszedł i tak dalej. Tego dnia jednak, wczesnym popołudniem, inżynier spieszył się bardzo na odprawę w zakładzie, toteż obciął tylko smyka błyskiem źrenicy i ruszył czym prędzej ku

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rycerz Czerwonego Krzyża

drzwiom, podczas gdy wyrostek poszybował windą w górę.

Inżynier, który zresztą zapomniał niebawem o tym ulotnym spotkaniu, nie umiałby doprawdy wytłumaczyć, skąd wylęgła się w jego duszy owa nieprzyjemna podejrzliwość. Chłopak nie odznaczał się przecież niczym szczególnym — miał na sobie standardowy strój młodzieńca w wieku szkolnym: bluzę z taniego teksasu, niby to modne, płócienne spodnie o wąskich nogawkach i sfatygowane już nieco adidasy, bez których w dzisiejszej dobie człowiek uchodzi za osobę wsteczną i przegraną.

Co do twarzy, również nie było na niej żadnych nadzwyczajnych znaków wyróżniających, ot, szerokie usta, duży, mięsisty nos i wąskie raczej czoło, posypane jakby piegami — inżynier widywał już w swoim życiu brzydsze i bardziej ponure oblicza, a jednak coś go tam w wyglądzie chłopca poruszyło, coś tam odłożyło się w jego pamięci.

Chłopak tymczasem wysiadł z windy na czternastym czy piętnastym piętrze, aby zetknąć się w progu ze starszą panią trzymającą w jednej ręce torebkę, a w drugiej koszyk i kilka siatek, z którymi wybierała się niechybnie do Centralu. Była to więc babka lub nie kochana teściowa przy rodzinie, taki darmowy, familijny stacz zastępujący z powodzeniem lokaja, pokojówkę, damę do towarzystwa, guwernantkę i chłopca na posyłki.

Podstawowe reakcje psa łańcuchowego również nie były obce owej miłej niewieście. Widok nieznajomego młodzieńca wzbudził w niej momentalnie bojowy nastrój. Już, już miała zaszczekać czy nawet wrzasnąć o pomoc, kiedy chłopak wyciągnął zza pazuchy blaszaną puszkę i potrząsnął nią wymownie.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło. Puszka miała wcięcie na datki, a po obydwu jej stronach widniał znak czerwonego krzyża. Nie nazbyt biegłe w sprawach współczesnego świata kobiecisko zostało poinformowane przez wyrostka, iż odbywa się właśnie wielka akcja zbierania pieniędzy na rzecz ofiar głodu w Angoli, i że on, Rycerzyk Czerwonego Krzyża jest emisariuszem tej zacnej charytatywnej organizacji, więc:

— Co łaska, proszę pani — zaśpiewał podsuwając jej puszkę pod nos.

Kobieta ujrzawszy oczami wyobraźni całe stada biednych i głodnych Murzyniątek, wydobyła z westchnieniem pięćdziesiąt złotych.

— Susza — powiedziała domyślnie.

— Susza, straszna susza! — przytaknął ze zgrozą Rycerzyk.

Kobieta spojrzała uważnie na jego czarne, tragicznie skorodowane zęby. Dałaby głowę, iż oddech chłopca zalatywał podejrzanym aromatem papierosów i wina. Ponadto centki na czole, które brała początkowo za piegi, okazały się przy baczniejszych oględzinach stygmatami brudu. Zamierzała uczynić w tej kwestii jakąś uszczypliwą uwagę, ale Rycerzyk, wyczuwając perfidne zapędy niewiasty, odwrócił się na pięcie i zniknął w zaułkach ciasnego korytarza.

Był zadowolony. Miał teraz do dyspozycji cały dom: kilkadziesiąt mieszkań na dwudziestu paru piętrach. Z doświadczenia wiedział, iż najtrudniej sforsować wejściowe drzwi na parterze, w pobliżu których kręci się zazwyczaj ta przeklęta, wścibska dozorczyni — w każdym wietrzy złodzieja i przegania bez przerwy różnych farmazonów — próbujących — jak on — rozpoznać teren. Ale dzisiaj udało mu się uniknąć wątpliwej przyjemności rozmawiania z tą wiedźmą. Poznał już mniej więcej jej nawyki. Wie, o której godzinie sprząta na górze, o której na dole, kiedy idzie do sklepu i tak dalej. Teraz na przykład myje schody na dwudziestym drugim piętrze, zostawiając mu szerokie pole działania. Naprzód!

Zadzwonił delikatnie do pierwszych z brzegu drzwi. Był przygotowany na każdą okoliczność. Gdyby ktoś otworzył, wystawiłby puszkę i oświadczył układnie, iż zbiera pieniądze na ofiary suszy w Angoli. Gdyby drzwi pozostały zamknięte, próbowałby kłamki. Gdyby, co zdarza się najczęściej, zamek nie ustąpił, ruszyłby do innych drzwi nie usiłując włamać się broń Boże, czy też korzystać z wytrycha. Ale... nasz Rycerzyk wyczuwał nieomylnym instynktem złoczyńcy, iż na sto mieszkań przynajmniej jedno będzie puste i otwarte. Ktoś tam wśród stu innych lokatorów miał akurat gorszy dzień, ktoś tam był akurat roztargniony i zdenerwowany, ktoś tam zgubił klucz albo wyszedł tylko na chwilę do sąsiada ze zwodniczym przeświadczeniem, że nikt w tym czasie nie wejdzie do mieszkania.

Rycerzyk zbierał pieniądze do puszki, ale gdyby okazało się nagle, że trafił w to jedno — jedyne ze stu, otwarte i puste mieszkanie, nie zawahałby się wtargnąć do środka.

Trzeba tu od razu powiedzieć, że Manhattan jest nieustannie inwigilowany przez najróżniejszych złodziejaszków o szerokiej gamie zainteresowań i potrzeb, udających — w zależności od postury i wieku — robotników budowlanych, komiwojażerów, techników, którzy przyszli założyć telefon, hydraulików, którym zlecono naprawę zlewu w łazience, ludzi z ogłoszenia w gazecie, przyjaciół nie figurujących w spisie domowników, kolegów szkolnych tego lub owego dziecka, świadków Jehowy, działaczy licznych frontów politycznych, inkasentów gazowych, agentów PZU i przedstawicieli wszelkich innych zawodów.

Nie podejrzewasz zazwyczaj otwierając drzwi i tłumacząc schludnie ubranej kobiecie, że żaden Kowalski tu nie mieszka, iż masz do czynienia z wytrawną złodziejką, której ofiarą padło już niejedno mieszkanie. Nie przychodzi ci nawet do głowy, że dziewczynka pytająca grzecznie o Joasię Wiśniewską z klasy III b, tylko czeka, aby ściągnąć z wieszaka palto lub płaszcz. Przestępstwo ma wiele różnych przeobrażeń i twarzy. Czasami jesteś wprost znokautowany nieszczęsną miną stojącego za progiem człowieka, czasami łzy serdeczne napływają ci do oczu, kiedy słuchasz o niedoli zaniedbanej sieroty, której mamusia zmarła przedwczoraj w szpitalu, a zły ojciec sprzedał na rynku wszystkie ubrania i wszystkie domowe sprzęty. Każdy z tych oszustów opanował do perfekcji sztukę szybkich odpowiedzi i żałosnych grymasów i gdyby tylko miał maturę, mógłby z powodzeniem stanąć do egzaminów konkursowych w szkole filmowej.

Rycerz Czerwonego Krzyża nacisnął klamkę w kolejnych drzwiach korytarza. Były zamknięte na trzy yale'owskie spusty, więc odczuwał potrzebę zadania im bolesnych ran i ciosów. Łup, którego szukał, zszedł w tym momencie na dalszy plan, odezwały się w nim bowiem najpodlejsze instynkty Hunów i Wandali. Niszczyć! Burzyć! Demolować! Te właśnie pragnienia zawładnęły sercem dzielnego chłopca.

2.

Niszczyć, burzyć, demolować! Dużo mówi się ostatnio o kulturze, o inteligencji, o dobrym wychowaniu i o czystości. Zwołuje się w tym zakresie narady i plena, prowadzi wielkie akcje publicystyczne — pryskają strumienie słów, które niestety, mają to do siebie, że są tylko słowami, i nic nie wskazuje na to, aby ta najprostsza, najogólniej pojęta kultura narodu mogła ulec jakimkolwiek pozytywnym przeobrażeniom.

Ślubując więc, że powrócimy jeszcze do przygód rycerza, który zbierał pieniądze na ofiary suszy w Angoli, chcielibyśmy wypowiedzieć przedtem swoją opinię na temat tej najogólniej pojętej kultury, aby zaś nie utonąć w powodzi słów i ogólników, które nie wniosą do tematu żadnych nowych treści, posłużmy się w owej kwestii obrazem.

Oto Manhattan, śródmiejska, reprezentacyjna dzielnica, która podobnie jak warszawski Pałac Kultury, widać już z daleka, na wiele kilometrów przed granicami Łodzi. Z owym imponującym akcentem architektonicznym łodzianie wiązali duże nadzieje. Nawet jeśli ktoś nie doznał szczęścia i zaszczytu mieszkać w jednym z drapaczy chmur na Manhattanie, był dumny, że w ogóle coś takiego powstało.

Stosunkowo młody Manhattan, wzniesiony z solidnego, szlachetniejszego niż zwykle bloki budulca, wydawał się tworem mocnym, wiekopomnym, nie do zniszczenia. Wystarczyło jednak kilka lat, aby złośliwe i wścibskie rączki wandali zamieniły wnętrza manhattańskich wieżowców w wołający o pomstę do nieba śmietnik. Ściany zostały okaleczone, porysowane, skopane, obdarte z tynku i przyozdobione gdzie się da chamskimi napisami, z których dowiadujemy się, a jakże, że Janek kocha Urszulę, że Jadźka chodzi w ciąży z Cześkiem, że Lady Pank jest lepszym zespołem beatowym niż Republika, że ŁKS — chuj; że RTS — król, że Polska nie pojedzie do Meksyku na mistrzostwa świata, że front podziemny czuwa, że najskuteczniejszym środkiem na choroby weneryczne pozostaje szara maść i tasak, że kiła to choroba miła (lepsza kiła niż mogiła), że bohaterka pewnego serialu telewizyjnego i jej filmowy kat (całkiem udane karykatury), to perfidny i występny duet szpiegów, którzy po to przyjechał do Polski, aby doszpiclować parę groszy do swoich głodowych honorariów aktorskich.

Tak jest, szanowni państwo! Wewnętrzne ściany Manhattanu przypominają do złudzenia chińską gazetkę wielkich hieroglifów, które pouczają obywatela, co dobre, a co złe, co modne, a co nie, i wszystko to dzieje się kosztem nieszczęsnych murów, nieszczęsnej windy, która kojarzy się nieuchronnie z szaletem publicznym w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu lub na przystankach tramwajów podmiejskich przy placu Niepodległości. Plafony w tej windzie już dawno zostały skradzione i to razem z żarówkami. Założono nowe i znowu je skradziono, a potem jeszcze raz i jeszcze, więc pomysłowa dozorczyni, aby naznaczyć je jakoś i zohydzić, zaczęła malować szkło wstrętnymi, czarnymi maziugami, co z kolei podrażniło wandali — nie mogąc ich ukraść, rozbijali je przy każdej okazji.

Podobny los spotkał poręcze na klatce schodowej: pozdzierano z nich plastykową okładzinę, powyrywano pręty. Gdzie tylko był kawałek drewna albo aluminium, już go nie ma. Frontony u drzwi wejściowych zostały zdemolowane. Ucierpiały framugi okienne; deski ławek, ustawionych na parterze ku wygodzie mieszkańców i gości, przypominają jako żywo deski ławek na łódzkich skwerkach — są porysowane, poryte scyzorykami; znajdujesz na nich serce przebite strzałą i czułe wyznanie miłosne.

Opublikowałem kiedyś w „Odgłosach" artykuł „Harakiri", w którym postawiłem tezę, iż polskie społeczeństwo dopuszcza się każdego dnia na sobie zamachów samobójczych. Podtrzymuję tę opinię. Niedawno przeczytałem w „Głosie Robotniczym" wstrząsającą notatkę, iż grupa małych, dziesięcio — dwunastoletnich chuliganów zdewastowała i splądrowała piętnaście tramwajowych składów w zajezdni przy ulicy Dąbrowskiego, powodując zakłócenie w ruchu i straty na ponad sto tysięcy złotych. Nieletnim rabusiom o wysoce rozwiniętych instynktach demolacyjnych nie groziły rzecz jasna żadne kary więzienia — otrzymali tylko burę w obecności rodziców. Dziennikarz „Głosu" zanotował:

„W czasie rozmowy przeprowadzonej przez prowadzących postępowanie funkcjonariuszy młodzi wandale wskazali miejsce, gdzie przechowywali skradzione, wymontowane z wagonów przedmioty. Mamy nadzieję, że szanowni rodzice wyciągną jakieś wnioski z tej przykrej dla nich historii i na przyszłość będą się interesować tym, gdzie, jak i w co bawią się ich pociechy!"

No, właśnie! Od tego należałoby zacząć wielką akcję podnoszenia kultury narodu. Seminaria na temat inteligencji, czystości, patriotycznego wychowania i prawidłowego posługiwania się językiem polskim nie mają żadnego sensu, jeśli nie sięgniemy do korzeni, jeśli nie zaczniemy uczyć i kształtować najmłodszych, tych, którzy dopiero wchodzą albo mają wejść w krwiobieg społeczny, a zaniedbania w tym zakresie są doprawdy patologiczne i ogromne.

Ktoś zapyta: czemu zaraz patologiczne?

Otóż: można zrozumieć, aczkolwiek jest to godne najwyższego potępienia, że w Polsce są prostytutki, sutenerzy, złodzieje, chuligani, oszuści, malwersanci i mordercy, ponieważ na wszystkich kontynentach, we wszystkich, ale to we wszystkich krajach świata również są prostytutki, sutenerzy, złodzieje, chuligani, oszuści, malwersanci i mordercy. Można zrozumieć, aczkolwiek należy z tym wojować, że w Polsce zdarzają się (popełniane przez tych ludzi) czyny przestępcze, ponieważ zdarzają się one również we wszystkich innych krajach. Nigdzie jednak, poza naszą, niby to kochaną Ojczyzną, nie popełnia się przestępstw jako sztuka dla sztuki — bez powodu, bez motywu, bez nadziei zysku, bez realnej potrzeby zemsty. Nigdzie nie niszczy się bezinteresownie aparatów telefonicznych, bo często korzystać z nich muszą sami przestępcy, nigdzie nie niszczy się ławek, bo i przestępcy siadają na nich czasami, nigdzie społeczeństwo nie demoluje i nie oszpeca tego, co jest jego bezsporną własnością, a więc pociągów, tramwajów, autobusów, domów prywatnych i gmachów użyteczności publicznej.

Instynkt samozachowawczy nakazuje strzec owych dóbr ogólnych, a w każdym razie; nie czepiać się ich. W Polsce jest odwrotnie. Z bezprzykładnym okrucieństwem burzymy ściany własnego mieszkania. Popełniamy na sobie harakiri, pchamy sobie nóż w serce, bowiem tak idiotycznie zostaliśmy wychowani przez naszych rodziców i tak idiotycznie wychowujemy nasze dzieci.

Więc co tu gadać o kulturze, o inteligencji, o czystości obyczajów i języka?

(DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NUMERZE)

Czy można uciec od tandety?

Tom opowiadań Stanisława Rogali „Ucieczki" jest bardzo spójny. Posiadają one tych samych niezmiennie bohaterów, rozgrywają się w jednym miejscu i dotyczą podobnych spraw. Opisują podmiejskie place i ogrody — miejsca, które nie należą już do wsi, a nie stały się jeszcze miastem. Jest to obszar przejściowy. Pracują na nim spychacze, dźwigi i inne maszyny, przygotowując teren pod budowę wielkiego osiedla. Jednak nie topograficzne realia interesują Rogalę. Obserwuje on grupę młodych ludzi i ich rodziców, którzy nagle znaleźli się w nowej dla siebie sytuacji. Ów stan przejściowy wyzwala zróżnicowane reakcje; poczuciu zagrożenia towarzyszy nadzieja na przygodę, na odmianę życia.

Wbrew pozorom do nowej sytuacji łatwiej dostosowują się dorośli: *„Zamiast wysiadywać pod płotami (...) włączali kolorowy telewizor i oczekiwali cierpliwie, aż potwierdzi ich prawdę o świecie, który zbliżał się do krawędzi. Mieli co następnego dnia komentować, przywoływać słowa zatarte sklerozą, prostować najbardziej zawiłe ścieżki polityki. Telewizor pozwalał im dostrzegać wszystko wyraźnie i każdą prawdę widzieć w kolorowych barwach"*. W doświadczeniu młodych bohaterów opowiadań Rogali barwy te okazują się jednak zdecydowanie szare, monotonne. Ich ulubionym zajęciem pozostaje hodowla gołębi. Co nie znaczy, że autor hołduje motywacjom biologicznym. Wprawdzie bohaterowie powiadań twierdzą: *„Ziemia zawsze ma kołyską, korzenie pokarmem"*, w istocie jednak nie sprawiają wrażenia ludzi zakorzenionych w tradycji ni rodzinnej, ni narodowej. Rogala przedstawia oderwane epizody z życia swych bohaterów. Ich wspólną cechę stanowi niezbyt określona tęsknota za odmianą dotychczasowego sposobu życia, za czymś ważnym, pięknym, dobrym. Owe sentymentalne marzenia są niejako przeciwwagą mało ponętnej codzienności zakurzonego placu budowy. Jednocześnie świadczą o nadziejach pokładanych w wielkomiejskiej cywilizacji. Przede wszystkim jednak świadczą o naiwności bohaterów „Ucieczek".

Warto zwrócić uwagę na technikę narracji zastosowaną w opowiadaniach Stanisława Rogali. Pozwala ona wykreować świat przedstawiony poprzez ukazanie w znacznym zbliżeniu różnych, zmieniających się scen, to znaczy — inaczej mówiąc — polega na pokazaniu określonego zespołu bohaterów, poszczególne zaś sceny zmieniają się wraz z odejściem lub przybyciem któregoś z bohaterów. Cechą tego typu narracji jest stosunkowo nikła spoistość i ciągłość (Anglicy nazywają to showing). W konsekwencji świat przedstawiony poznajemy fragmentarycznie — wszystko „kręci się" wokół osi, jaką stanowi grupa podwórkowych przyjaciół. Ich symboliczne ucieczki pozwalają właśnie na ukazywanie kolejnych scen, na eksponowanie coraz to innego elementu zmieniającego się krajobrazu. Zmiany te zwiastują niebezpieczeństwo. Długo pozostaje ono przyczajone i niewidoczne, pojawia się nagle i zwykle jest już za późno, aby przed nim umknąć. W symbolicznym skrócie o naturalistycznej proweniencji — na przykład w zakończeniu opowiadania „Obcy" — tak to wygląda: *„Stado ledwie zauważyło jastrzębie, rzuciło się w bok i zaczęło pikować w dół. Niewiele zważało na wąskie korytarze, na liny chaotycznie rozpięte między dźwigami (..). Tylko obcy zagubił się w nagłej szybkości. Instynktowana świadomość niebezpieczeństwa dodała mu sił, lecz brakło umiejętności szybowania w kanałach między dźwigami i wieżowcami. Już przy pierwszej próbie przesmyknięcia się między wieżowcami i linami zawadził skrzydłem o metalowy pręt i stracił równowagę. Ratował się gwałtownym trzepaniem skrzydeł, które jednak nie na wiele się zdało"*. Podobnie bezładnie i bezradnie trzepoczą się bohaterowie tych smutnych i sentymentalnych opowiadań, stanowiących coś w rodzaju pożegnania młodzieńczych lat autora (Rogala jako pisarz bardzo jest przywiązany do swego życiorysu).

Zarówno z tego przywiązania, jak i tradycji naturalistycznej wynika szczególny charakter tej prozy — swego rodzaju dokumentaryzm. Widać to zwłaszcza w sferze obyczajowej. Autor „Ucieczek" z upodobaniem rejestruje przemiany obyczajowe. W jego relacji nowe nie zawsze znaczy lepsze. Zwłaszcza jeśli przejmowane są bezkrytycznie modne, powierzchowne, a nawet bezsensowne zachowania. Książka Stanisława Rogali świadczy, iż od tandetnego życia nie ma na ogół ucieczki. Zbyt dużo się tej tandety po prostu nagromadziło w naszym życiu. Smutna to książka.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Stanisław Rogala: „Ucieczki", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984, s. 119, nakład 19 650 + 350 egz., cena zł 50. —

Zapowiadało się tak obiecująco

Zaczęło się wszystko równo ćwierć wieku temu. W 1960 roku, gdy Karol Obidniak — absolwent krakowskiej PWST, aktor o sporym już scenicznym dorobku — zadebiutował jako autor na deskach Teatru Powszechnego „Pokojem pełnym dymu", sztuką obyczajową o „złotej młodzieży", nieco może ryzykowną w dramaturgicznym zamyśle, ale niosącą wiele interesujących obserwacji psychologicznych.

Recenzowałem to przedstawienie budzące żywy odzew na widowni, a i dziś także skłonny byłbym podtrzymywać starą opinię, że znalazło się w nim kilka najładniejszych scen miłosnych, jakie w polskiej sztuce współczesnej kiedykolwiek udało mi się oglądać. Niestety, już wówczas konflikt rozgrywał się nie tylko na scenie, lecz poza sceną również. Przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki — wysuwając zarzuty, delikatnie mówiąc, śmieszne — uznali, że sztuka fałszywie przedstawia obraz młodzieży i po przetargach ze znaczną życzliwiej i rozsądniej nastawioną władzą lokalną doprowadzili do wcześniejszego zdjęcia przedstawienia z afisza.

Ten zgrzytliwy akcent — choć stanowił swoiste memento — nie przeszkadza jednak w uznaniu początku lat sześćdziesiątych za najlepszy okres łódzkiej dramaturgii. W małych odstępach czasu Jarosław Marek Rymkiewicz debituje w Teatrze Nowym „Królem w szafie", a Zbigniew Nienacki w Teatrze im. Jaracza „Termitierą". Tenże teatr wystawia bezpretensjonalną komedię Tadeusza Kożusznika „Kocha, lubi, szanuje..." i kolejną sztukę Karola Obidniaka — mówiącą o groźbie atomowej zagłady — „Dark Glory". Pojawia się też nazwisko Władysława Orłowskiego, autora granej przez Teatr Nowy „Sprawiedliwość w Kioto".

Rychło jednak wiatr się odmienia, życzliwość teatrów wobec lokalnych dramaturgów słabnie, a ci bądź uciekają w stronę prozy, bądź po prostu wyjeżdżają z Łodzi, aby w części — jak Rymkiewicz czy Nienacki — nigdy już do niej nie wrócić...

Karol Obidniak — na pewien czas — wyjeżdża także. W 1964 r. Teatr im. W. Bogusławskiego w Kaliszu wystawia jego sztukę „Człowiek człowiekowi", zaś w rok później — „Pamiętnik matki" według pamiętników Marcjanny Fornalskiej. Za przedstawienie to autor oraz wykonawcy głównych ról otrzymują nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki, sam zaś utwór zostaje w 1967 r. zrealizowany w Tuzli w Jugosławii, a po wielu latach trafia również na deski łódzkiego Teatru im. Juliana Tuwima.

Wcześniej notujemy inne premiery. W 1963 r. Teatr im. A. Fredry w Gnieźnie wystawia „Dziewczynę z manekinem". W 1968 r. łódzki Teatr Powszechny gra „Bereziaków" — spektakl nagrodzony Srebrną Łódką. W 1971 r. Teatr im. Stefana Jaracza — co prawda na niemal zamkniętym pokazie, przeznaczonym głównie dla historyków — prezentuje „Wielką nieznajomą". W 1975 r. Teatr Ludowy w Nowej Hucie występuje z premierą „Gości Hotelu du Parc", nawiasem mówiąc jednej z wcześniejszych sztuk Obidniaka nawiązującej do młodzieńczych doświadczeń autora losami wojny rzuconego na Zachód. Sztukę tę zagrają następnie Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, gdzie zdobędzie nagrodę publiczności, oraz łódzki Teatr im. Juliana Tuwima. Wreszcie — co jest już ewenementem — w 1978 r. na prawykonanie „Tryptyku erotycznego" decyduje się Teatr w Cheb (Czechosłowacja).

Po zsumowaniu daje to dziewięć premier, dzisiejsza jest więc niejako jubileuszowa, dziesiąta. Dużo to i mało równocześnie, choć można także wspomnieć utwory pisane dla radia, opublikowane i jeszcze nie opublikowane powieści, czy kilka dalszych sztuk czekających na realizację, w tym „Ostatni lot Rudolfa Hessa", który nie tak dawno ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Myślę, że nie rozminę się z prawdą twierdząc, że zwracając się w stronę teatru politycznego, interesując historią najnowszą, stawiając pytania trudne i podejmując tematy nie zawsze popularne, Karol Obidniak nigdy nie próbował stać się autorem modnym. Nie pisywał sztuk „lekkich, łatwych i przyjemnych", które z pewnością miałyby łatwiejszą drogę na scenę.

Kilka jego późniejszych utworów — wspomniana już „Wielka nieznajoma", „Ostatni lot Rudolfa Hessa" czy „Druga generalna" — układa się nawet w pewien cykl naznaczony polemicznym zaangażowaniem i publicystyczną pasją, każda z tych sztuk stawia jednak przed teatrem poważne problemy, niosąc zagrożenie w postaci co najmniej kontrowersyjnego odbioru.

„Wielka nieznajoma" — ubrana w formę procesu, gdzie spierając się strony stawiają w zastaw swoje życie — jest w istocie udramatyzowanym sporem o dorobek Drugiej Rzeczypospolitej, kwestionującym niemal wszystkie obiegowe, szeroko rozpropagowane poglądy.

Bardziej teatralny — w tradycyjnym rozumieniu tego określenia — jest z pewnością „Ostatni lot Rudolfa Hessa", sztuka zręcznie łącząca melodramatyczne, czy jak kto woli miłosne wątki, z zuchwałą tezą polityczną. Obidniak powiada bowiem ni mniej ni więcej, że istniały w Anglii siły, które niejako przygotowały przylot Hessa i całkiem serio pragnęły, aby jego misja zaowocowała pokojem, a nawet — wspólną wyprawą przeciwko Krajowi Rad.

Oczywiście istniały takie siły, nawet faszyzujące choć jest raczej wątpliwe, czy pozostawały z Hessem w kontakcie. Bohaterowie sztuki — są to już jednak grymasy niepoprawnego recenzenta — wyposażeni są nadto w pewną „nadświadomość", przewidują bowiem wydarzenia, których wówczas, jeszcze przed inwazją na Związek Radziecki, przewidywać — przynajmniej z taką ścisłością — po prostu nie mogli. Dziwią się mimo to teatrom, które nie zechciały rzeczy sprawdzić na scenie.

Wreszcie „Druga generalna". Tematem sztuki jest Powstanie Warszawskie, czy ściślej — zakulisowane machinacje, które w rezultacie doprowadziły do jego wybuchu. I tu znów autor przeciwstawia się powszechnym, obiegowym sądom, zarówno tym najczęściej prezentowanym w oficjalnej publicystyce, obarczającym całą winą *ówczesne dowództwo Armii* Krajowej, jak i opiniom pokaźnej części Polaków przypuszczających uparcie, że Armia Radziecka mogła jednak powstaniu przyjść z pomocą.

Oczywiście na przestrzeni czterdziestolecia oceny powstania ulegały wielorakiej rewizji. Dawno już oddano pełną sprawiedliwość bohaterstwu walczącej Warszawy. Ukazały się rzetelnie dokumentacyjna praca Jerzego Kirchmayera, jak i książka londyńskiego historyka Jana M. Ciechanowskiego „Powstanie Warszawskie" — pierwsza skupiająca się na militarnej ocenie przebiegu walk, druga poświęcona głównie problemom politycznym, zwłaszcza słynnemu planowi „Burza", który wcześniej próbowano przecież realizować na Wołyniu, w Wilnie czy we Lwowie.

W „Drugiej generalnej" Karol Obidniak idzie o krok dalej, stawia pytania nieomal że obraźliwe dla przeczulonych na punkcie honoru Polaków i uporczywie poszukuje tych, którzy z ukrycia pociągali za sznurki. Nadając sztuce, jako się wyżej rzekło, formę programowo ubogą, ograniczając akcję niemalże tylko do prowadzonej na scenie dyskusji, autor — jeżeli wolno przypuszczać — rzeczywistych partnerów w tej dyskusji szuka przede wszystkim na widowni.

Chce nas zaniepokoić, poruszyć, zmusić do myślenia, może nawet — przestrzec. Przelana krew jest przelaną krwią, *ci, którzy zginęli, zginęli* naprawdę, narodowa tragedia pozostaje narodową tragedią, przerażająca jest jednak myśl, że płacąc cenę najwyższą, być może stanowiliśmy tylko kartę w grze. I to w grze, która trwa do dzisiaj.

JERZY PANASEWICZ

Wiersze grupy poetyckiej CENTAURO

Grupa poetycka Centauro powstała pięć lat temu. Obecnie jej spotkania odbywają się w Dzielnicowym Domu Kultury Łódź — Górna. Centauro nie jest grupą programową. Każdy z jej kilkunastu członków pisze wiersze wedle własnych wyobrażeń o poezji. Przedstawiamy oto kilku młodych autorów, których teksty zdają się wyrastać ponad debiutancką przeciętność.

Barbara Nadgórska

Na motywach Baldwina i codzienności

Kiedy słucham bardzo starej pieśni miłosnej z Hercegowiny
w czwartym programie polskiego radia
myślę o rudowłosym Eryku
początkującym aktorze amerykańskim
i jego ukochanym francuskim chłopcu
Myślę o ich czułości i delikatności
o spłoszonych spojrzeniach na kilka dni przed rozstaniem
i o tej tęsknocie której nie pokonała woda oceanu
ani nocne wizyty pewnej atrakcyjnej mężatki
Pamiętam też o zagubionym wśród dziewcząt Vivaldo
któremu ulgę przyniosły wargi przyjaciela
Myślę także o naszym utrudzeniu kochany
o brutalności wspólnego życia tak wielu mężczyzn i kobiet

Mirosława Marinow

Z Blake'a

W kościołach chłodnych jak łazienek kafle
szukała Lika oczyszczenia
Poeta w komży schylił głowę: biedne dziecko
bezwiednie muskał różowe znamiona
Czytał pieśń nad pieśniami
i gwałcił ją łagodnie
Biegała po skałach Lika
wzywała echo na pomoc

Gdy myła piersi w misce Lika
on przy jej piersiach trzymał straże
śmiała się Lika dźwięcznie czysto
i całowała jego oczy

A spustoszone krajobrazy
snów podpływały krwi zielenią

Dziś w popołudnia ciężkie ciepło
w bramie Lika
leży pijana rozwalona płacze
Odchodzi grupka zażenowanych mężczyzn
wstydząc się myśli o swych żonach.

Urszula Boczek

De Chirico

Tak. Minął jeszcze jeden tydzień. Wygładził uporządkował. Jeszcze kilka dni rozwieszonych między gołymi gałęziami. Stalowoszara kopuła odzyskała się z zamglonego nieba. Raz deszczowa toccata o szyby, ciekawość zieleni, nad którą miałeś władzę. Kolejne dni i wreszcie czas na zniszczenie listu. I potem refleksja, że był to jednak niezły kawałek prozy.

Telefon. Z drugiej strony ktoś, dla kogo minął właśnie kolejny pusty tydzień, komu obraz się zamazywał, a dni wikłały w gołych gałęziach drzew. Stalowoszarą kopułę kościoła wchłonęło zamglone niebo, o szyby deszcz zadzwonił toccatą. Obojętność na zieleń...

Ktoś dojrzał do napisania listu i to mógł być naprawdę niezły kawałek prozy.

Jakie to ma teraz znaczenie.

Barbara Suchecka

☆ ★ ☆

każdy ma swoje dno
głębię w której siebie zatopił
swój chaos — ciemną tajemnicę
której żadna wiwisekcja
nie rozświetli
najświetniejszy nawet
chirurg psychologii

i nawet najdoskonalsze słowa
spuszczane ze smyczy
giną w chaosie
gubią ślad

chaos jest jak ocean
ma przypływy i odpływy
czasem wyrzuca na brzeg
jakąś tajemnicę
odrobinę radości
albo drzazgę bólu

a gdy burza nadchodzi
burzy się chaos człowieka
i rzuca nim o mur czasu
jak wrakiem zatopionym w bezsensie

każdy ma swój chaos
a poezja jest tylko wąską ścieżką
lecz wiedzie najdalej
w twój chaotyczny świat

Bożena Pawełczyk-Piechulska

☆ ★ ☆

Życie Mi dało
układ krwionośny
wbudowany w mapę miejsc
które zabić można
zbyt łatwo
Popatrz
jedna kropla krwi
maluje purpurowy kwiat na pękniętym zwierciadle
życie Mi dało
wapno skostniałe w szkielet
dźwiga Mnie między
Niebem i Ziemią
dotknij moją dłoń
jestem
imię i nazwisko
nie powie nic
o Mnie

Henryk Zasławski

Carl Sandburg

Gdyby żył — byłby stuletnim starcem
Wiedział że kiedyś obróci się w popiół Dlatego
Wiersze jego błyszczą diamentami —
Są rzęsistym deszczem który pada w upalne
Lato stulecia Słońcem którego zachód odkrywa
Tajemne skarby morza I śniegiem zwiastującym
Narodzenie

Nigdy nie pocieszony kochał proch i mgłę
Albowiem wierzył że świat powstał z mgły —
Wierzył w kształt piękna i w to że
Wiersze jego będą wypłowiałymi hieroglifami
A ziemia stanie się prochem i mgłą
Jeśli zabraknie Miłości —

Samotny
Na brzegami jeziora Michigan
Wypatrywał jaskółki wypuszczonej na Martynice
(Tysiące mil od miejsca jej urodzenia)
Wierząc w promienny cud —

Spotkanemu mężczyźnie mówił:
„Nie jest ważne, kim jesteś, mężczyzno,
Wiem, że czeka na ciebie kobieta,
A dusza jej to rozpuszczony włos kukurydzy, który
całuje południowo-zachodni wiatr"

Wierzył że kiedyś spotkamy się w jasny
Poranek Świata w jego domu nad brzegami
Jeziora
I będziemy mówili jednym językiem

Z półki recenzenta

WYSPA PROMINENTÓW

Nowa powieść Jerzego Jesionowskiego zaciekawia ze względu na tematykę. Otóż autor postawił sobie tezę „co by było gdyby..." i stworzył sytuację tyleż nieprawdopodobną co niezwykle interesującą. Na wyimaginowanej wyspie Egzylii umieścił niemal wszystkich byłych prominentów z całego świata, którzy po okresach wielkości i władzy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich krajów. Książka momentami jest wręcz fascynująca, czasami sensacyjna, w sumie jednak zmuszająca do zadumy nad władzą w ogóle a kondycją człowieka u władzy w szczególności.

Jerzy Jesionowski: Egzylia. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 165. Cena 80 zł.

GRZESIUK

Starszym gwoli przypomnienia, młodszym dla nauki pragnę parę słów poświęcić niezwykłej książce niezwykłego człowieka, jakim był Stanisław Grzesiuk. Mówię o „Pięciu latach kacetu", która to powieść ukazuje się na naszym rynku księgarskim po raz dziesiąty. Książka traktuje o obozach koncentracyjnych, ale jakże inaczej widział to i przeżywał człowiek, który życie traktował jak najwspanialszą przygodę, a które to życie płatało mu niewiarygodne figle. Dziś ta książka nie wzbudza już ani sporów, ani sensacji, choć ciągle jeszcze zmusza do wcale niewesołych refleksji.

Stanisław Grzesiuk: Pięć lat kacetu. KiW 1985. Str. 392. Cena 180 zł.

WOZY BOJOWE LWP

Nie omawiałem w tej rubryce albumów, choć czasem warto to czynić. Właśnie ukazał się bogato ilustrowany album poświęcony wozom bojowym Ludowego Wojska Polskiego zawierający historię powstania i rozwoju wojsk pancernych LWP w latach 1943—1983. To zwięzłe kompendium wiedzy nie tylko historycznej posiada cały dział poświęcony charakterystyce typów i rodzajów tej broni, tabele z danymi technicznymi, a także — co nie jest bez znaczenia — przedstawiono wykaz znaków taktycznych i emblematów, jakich używają pancerniacy.

W sumie: książka nie tylko dla fachowców i zbieraczy militariów.

Janusz Magnuski: Wozy bojowe LWP 1943—1983. MON 1985. Str. 342. Cena 1.000 zł.

SZWOLEŻEROWIE GWARDII

Sygnalizowałem Czytelnikom, że Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza rozpoczęła edycję dzieł Wacława Gąsiorowskiego wydając nie tak dawno jego sztandarowe dzieło pt. „Huragan". „Szwoleżerowie" co prawda stanowią ostatnie ogniwo napoleońskiej trylogii (wcześniej jest „Rok 1809"), to przecież książkę czyta się jak dobrą powieść o Polakach służących pod rozkazami Napoleona Bonaparte.

Na marginesie całej tej trylogii, przypominam, że najsłynniejsza markietanka owych czasów Joanna Żubrowa, spoczywa na cmentarzu w Wieluniu, zaledwie ok. 100 km od Łodzi.

Wacław Gąsiorowski: Szwoleżerowie gwardii. LSW 1985. Str. 308. Cena 250 zł.

PONADTO POLECAMY

Roman Wysogląd: Moskwa za trzy dni. Iskry. Str. 252. Cena 80 zł.

Roman Wysogląd: Przekrętka. Iskry. Str. 166. Cena 60 zł.

Helena Kudlacik: Poza otwartym oknem. Iskry. Str. 172. Cena 70 zł.

Zbigniew Kosiorowski: W pętli. Iskry. Str. 166. Cena 60 zł.

Wojciech Czerniawski: Katedra w Kolonii. Iskry. Str. 66. Cena 35 zł.

Elżbieta Juszczak: Pukanie (wiersze). Iskry. Str. 64. Cena 40 zł.

Paweł Kubiak: Nie ma już tego czasu (wiersze). Iskry. Str. 68. Cena 50 zł.

Almanach Literacki „Iskier" Nr 2. Str. 230. Cena 60 zł.

Harry Duda: Godzina światła (wiersze). Wyd. Łódzkie. Str. 93. Cena 40 zł.

Dariusz Wiśniewski: Lazaret (wiersze). Wyd. Łódzkie. Str. 44. Cena 40 zł.

Stanisław Romaniak: Na rozdrożu (wiersze). Wyd. Łódzkie. Str. 42. Cena 40 zł.

Alina Barszczewska—Krupa: Generacja powstańcza 1830—1831 (O przemianach w świadomości Polaków XIX wieku). Wyd. Łódzkie. Str. 376. Cena 350 zł.

Maria Szyszkowska: Twórcze niepokoje codzienności. Wyd. Łódzkie. Str. 236. Cena 90 zł.

Kiryl Andriejew: Potrójne życie Juliusza Verne'a. Wyd. Łódzkie. Str. 250. Cena 180 zł.

E.I.

DARIUSZ WILCZAK

Kamień na Nikifora

Cztery książki Andrzeja i Elli Banachów, w tym jedna pozycja albumowa, ponad siedemdziesiąt artykułów w różnych dziennikach i tygodnikach, kilka filmów dokumentalnych, poetycko-wspomnieniowych, programy telewizyjne, radiowe, piosenki, wiersze, wszystko poświęcone jednemu człowiekowi, krynickiemu mistrzowi akwareli — Nikiforowi. Żaden ze współczesnych Nikiforowi artystów malarzy nie doczekał się równie wielkiej ilości opracowań, jednak dotychczasowe penetracje skupiały się gdzieś na granicy między socjologią, etnografią i historią sztuki, przechodząc często obok spraw z pozoru tylko nieważnych, pozostawiając bez odpowiedzi pytania, na które trzeba odpowiedzieć, by poznać Nikifora, by Nikifora zrozumieć. Dziś, niestety więcej jest o Nikiforze legend, niźli prawdy znajdującej potwierdzenie w jego życiu, pełnym artystycznych sukcesów i egzystencjalnych porażek.

W Krynicy, rzecz jasna, można jeszcze spotkać wiele osób pamiętających Nikifora, znających go dobrze, są to już jednak znajomości powojenne, niewielu jest tych, którzy mieli z nim kontakt przed drugą wojną światową, nie mówiąc już o latach 1900—1918, które w stopniu najwyższym zaważyły na jego osobowości, stosunku do świata, do ludzi, czy wreszcie — co jest sprawą najważniejszą — na późniejszych pracach Nikifora.

Urodził się 6 czerwca 1900 roku, jak podają księgi metrykalne, w Uściu Gorlickim. Na chrzcie dano mu imię Nycephorus (metryka spisana była w języku łacińskim), matka — Eufrozyna z domu Ferencz, córka Teodora Ferencz i Marii z domu Derewniak, spisano również imiona rodziców Marii i chrzestnych Nikifora. A co z ojcem? W księgach metrykalnych nie ma na ten temat informacji. Spekulacje oparte na domysłach, niejasnych do końca przypuszczeniach, nie mogą już dać autorytatywnej odpowiedzi. Niektórzy ojca Nikifora upatrują w Aleksandrze Gierymskim, co jest rozwiązaniem nader wątpliwym. Piotr Zelek, rzeźbiarz z Berestu k. Krynicy — przyjaciel Nikifora — w rozmowie ze mną, dał do zrozumienia, że ojcem Nikifora był pewien francuski malarz przebywający kilkakrotnie w Krynicy na wypoczynku, u którego to Eufrozyna Ferencz pracowała jako pomoc domowa. Ostatecznie jednak dzieckiem i matką zaopiekował się służący jednego z krynickich pensjonatów. Prawdopodobnie po matce odziedziczył Nikifor ułomność mowy i skłonność do częstych chorób.

W wieku 7 lat Nikifor rozpoczyna, trwającą zaledwie kilka miesięcy, naukę w szkole, zakończoną wydaniem przez nauczyciela opinii o jego niedorozwoju psychicznym. Potem zaczyna się krótki okres terminowania u szewca i u fryzjera, ale i tam nie zagrzewa miejsca. Prawdopodobnie już wtedy zaczyna malować. Zawsze sam, opuszczony, wyszydzony za swe ułomności, obcy wśród swoich, zaczyna Nikifor kreować swój własny świat, w nim czuje się najlepiej, najpewniej, tu nic mu nie zagraża. Pierwsze obrazki nie znajdują nabywców, mało tego, Nikifor świadomie naraża siebie na kpiny, pogłębiając jeszcze bardziej istniejącą od dawna niechęć do wiejskiego kaleki i odmieńca. Tylko nieliczni z litości udzielają mu schronienia, karmią, za co Nikifor wynagradza ich swoimi pracami. Nikifor jest człowiekiem niezwykle pracowitym, ale jedyne co potrafi robić, to malować. Jest przekonany o swoim powołaniu i pragnie przekonać o tym innych.

Nadchodzi pierwsza wojna światowa. Pod koniec wojny umiera matka Nikifora. Zostaje zupełnie sam. Jest to na szczęście dla niego okres, w którym malarzy i krytyków odwiedzających górskie uzdrowisko zaczyna interesować bardzo młody i bardzo zaniedbany człowiek „uprawiający" tzw. nieprofesjonalne, naiwne malarstwo, robiące na Zachodzie od kilkunastu już lat oszałamiającą karierę.

W latach 1920—1922 ślad po Nikiforze się urywa. Niektórzy krytycy, zajmujący się malarstwem Nikifora twierdzą, że ten czas spędził u jakiegoś znanego artysty „na nauce". Rzeczywiście, Nikifor wraca do Krynicy po dwóch latach, a jego obrazki stają się dojrzalsze. Nadal jednak nic nie wskazuje na późniejszą eksplozję popularności, artysta coraz bardziej upokarzany, wytykany palcami, zupełnie nie potrafi, a może nie chce w tej sytuacji nawiązywać kontaktów z otoczeniem.

Mniej więcej pod koniec lat dwudziestych, poznaje Nikifor lwowskiego malarza Romana Turyna, który jako pierwszy roztacza nad nim artystyczną opiekę. Na razie Turyn kupuje 150 akwarel krynickiego mistrza, by w 1932 roku wyjechać z nim do Paryża. Z pracami tymi zapoznaje kilku wpływowych marchandów. W dniach od 7 do 10 listopada obrazki są wystawiane w Galerii Leona Marseille przy ulicy Woltera 7 wespół z pracami innych malarzy (Dufy, Marchand, Friesch, Van Dougen). Po wystawie Turyn zastawia wszystkie prace za 3000 franków u polskiego krytyka sztuki Jerzego Wolffa przebywającego akurat w Paryżu. Obrazów tych zresztą nigdy nie odebrał.

Jerzy Wolff spotkał się już wcześniej, bo w 1930 r. z akwarelami Nikifora w pracowni Jana Cybisa, także w Paryżu. W 1938 r. w pierwszym artykule poświęconym Nikiforowi, a opublikowanym w „Arkadach" Jerzy Wolff napisze: *„Obcuję już z tą sztuką od paru lat i nie znużyłem się nią, odkrywam w niej coraz to nowe wartości. Nie nuży tylko to co jest wielkie. Wielkość była w celniku Rousseau, obok śmiesznej jego naiwności, wielkość jest także w Nikiforze, synu głuchoniemej żebraczki".*

W tym samym 1938 r. R. Turyn dorobił się następnej kolekcji „Nikiforów" i te pokazał na wystawie we Lwowie. Organizatorem wystawy był Związek Ukraińskich Artystów Plastyków.

Tak więc do wybuchu drugiej wojny światowej Nikifor miał już dwie wystawy za sobą i jeden artykuł o sobie. Za sobą miał również wiele wypraw, podróży do okolicznych wsi i miasteczek, a nawet do Krakowa i Lwowa. Z wycieczek tych przywoził zwykle szereg nowych obrazów i trochę grosza uzbieranego „na żebrach". Nikifor właściwie żebrał od dziecka, aż tak się do tego przyzwyczaił, że nawet wtedy, gdy miał już pieniądze ze sprzedaży swoich prac, nie porzucił żebractwa.

W 1947 r. Nikifor poznaje małżeństwo Banachów — dziennikarzy z Krakowa — dzięki którym jego życie ulega zmianie, zmianie korzystnej.

W 1949 r. staraniem Andrzeja Banacha obrazy Nikifora pokazywane są na czterech wystawach w kraju m.in. obok Dunikowskiego, Larischa w ramach II Festiwalu Plastyki. Później przychodzą kolejne wystawy w wielu znanych salonach i galeriach sztuki (m.in. w Zachęcie). Mistrz z Krynicy zdobywa coraz większy rozgłos. Sam jednak nie dba o sławę, wystawy przyjmuje ze spokojem, raczej obojętnie. Nie uznaje wydawania pieniędzy, cieszy się nimi, ale do majątku posiada stosunek abstrakcyjny. Wynajmuje pokój u gospodarzy w Krynicy, którzy go żywią i opiekują się nim.

W roku 1947 na kilka miesięcy Nikifor zmuszony jest opuścić Krynicę. Mimo wcześniejszych zapewnień władz administracyjnych miasta i władz województwa krakowskiego, że akcja przesiedleńcza Łemków nie obejmuje Nikifora, zostaje on jednak wraz z całą grupą łemkowską wywieziony prawdopodobnie na Wybrzeże Szczecińskie. Na ten czas ślad po Nikiforze urywa się znowu. Po niespełna pół roku Nikifor sam, pieszo powraca do domu.

Niestety nie wracają z tułaczki wszystkie przedwojenne akwarele artysty. Co się z nimi stało, nie wiadomo.

W 1959 r. Banach organizuje Nikiforowi wystawę w Paryżu, w Galerii Diny Wierne.

Na początku lat sześćdziesiątych Nikifor poważnie podupada na zdrowiu. Częste wizyty w szpitalach (nigdy nie wytrzymał w nich dłużej niż kilka dni) nie dają spodziewanych rezultatów.

W lutym 1963 r. dostaje w końcu wraz z dowodem osobistym nazwisko Krynicki i opiekuna ustawowego, którym zostaje artysta malarz mieszkający w Krynicy, Marian Włosiński. Chociaż Nikifor nigdy nie uznawał oficjalnej opieki, tym razem czuje się dobrze. Razem z Włosińskim wyjeżdżają na fundowane przez Związek Polskich Artystów Plastyków wczasy do Bułgarii.

Nikifor ma już mało czasu, śpieszy się, chce wykonać jak najwięcej rysunków, zanim postępująca choroba uniemożliwi mu pracę.

Na krótko przed śmiercią zostaje przewieziony z Krynicy do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Folusza, ze względu na panujące tam dla jego chorych płuc korzystniejsze warunki klimatyczne.

Umiera w Foluszu 10 października 1968 roku.

I tu zaczyna się Nikifora historia pośmiertna.

Na pogrzebie nie było władz miasta, nie było też nikogo ze Związku Polskich Artystów Plastyków. Do grobu nieśli go prawdziwi przyjaciele, rzeźbiarze ludowi: Józef Citak i Piotr Zelek. Przez kilka lat ciało Nikifora tułało się po obcych, wypożyczonych i opłacanych grobowcach, choć sam Nikifor zostawił po sobie w spadku 318 tys. złotych (do dziś pieniądze te nie zostały wykorzystane na żaden cel).

Po śmierci Nikifora zaczęły napływać do Muzeum w Nowym Sączu listy, których treść świadczy dobitnie o tym, jak ludzka zawiść i głupota brały górę nad zdrowym rozsądkiem i społecznym interesem. Oto fragment jednego z tych listów:

„Do obywatela kustosza Muzeum Nowosądeckiego w Nowym Sączu.

Trzeba do pana napisać, bo gdzie indziej nie wiem do kogo. W gazecie Echu Krakowskim czytałem o obywatelu, a teraz już śp. Nikiforze, ale za każdym razem szlag mnie trafia i dlatego muszę coś napisać o tym szarlatanie Krynickim. A oto nasi Polacy są tacy dobrzy, tacy uczuciowi, taki jest u nich sentyment, że stawiają grobowce, pomniki, a zdaje się, że postawili obywatelowi Nikiforowi ładną willę w Krynicy jako draniowi Lemkowi i Ukraińcowi, a my mamy tylu wybitnych Polaków: malarzy, artystów i nikt im nigdy nie stawiał pomników ani willi. Więc nas Polaków Ukraińcy rżnęli w Bieszczadach, gdzie zastrzelili naszego generała Waltera, to Polacy starają się dziś okropnie o grobowiec Nikifora, a nawet o muzeum sztuki prymitywnej. My jesteśmy jakby obłąkani, razem z panem kustoszem, który widać jak się stara o wszystko dla Nikifora Krynickiego... oto są nasi Polacy zbałamuceni uczuciami dla jednego Ukraińca, czyli Łemki w Krynicy. Stawiajcie, stawiajcie i niech was wszystkich przy tym szlag trafia.

Grono Gniewu".

Szesnaście lat temu podjęto decyzję o budowie muzeum Nikifora w Krynicy. Miano na ten cel zaadaptować jedną z krynickich willi. W końcu wybór padł na „Romanówkę", w której zresztą Nikifor mieszkał przez jakiś czas. Obecnie „Romanówka" nadaje się już tylko do rozbiórki.

Ludzie chcą oglądać „Nikifory", a gdzie jest dla nich najlepsze miejsce, jeśli nie w Krynicy. Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu, posiadające największy zbiór obrazków Nikifora nie jest w stanie organizować ich stałej ekspozycji, ze względu na brak odpowiednich do tego celu pomieszczeń.

W tym miejscu warto przypomnieć tekst jednego z listów proszalnych Nikifora przechowywanych w spadku po artyście:

„Kochani Państwo, nazywam się Nikifor, czyli Matejko z Krynicy.

Z początku byłem zupełnie nieznany, ale gdy napisano o mnie dwie książki i urządzono wystawę w Paryżu wszyscy się mną zainteresowali. Teraz wszystkim podobają się moje obrazki. Kto je kupi, będzie szczęśliwy. A ja za uzbierane pieniądze chcę sobie kupić domek własny dla siebie".

Takie były marzenia Nikifora; czy zostaną spełnione?

LIST Z WYBRZEŻA

Gazeta dla wszystkich

Gdy we wczesnych godzinach popołudniowych przed gdańskimi kioskami ustawiają się kolejki, nieomylny to znak, że wkrótce samochody przywiozą „Wieczór Wybrzeża". Ta popołudniówka jest gazetą najchętniej czytaną przez mieszkańców Trójmiasta. Po godzinie znika z kiosków, a później można ją nabyć praktycznie tylko u sprytnych młodzieńców, którzy oferują „Wieczór" w tunelu dworcowym. Za gazetę, która normalnie kosztuje pięć złotych liczą, niekiedy, aż cztery razy tyle.

Myliłby się jednakże ten, kto przypuszczałby, że „Wieczór" jest ot, taką sobie gazetą popołudniową, która zdobywa czytelników różnymi mrożącymi krew w żyłach sensacyjkami, które zwykle mało mają wspólnego z rzeczywistością. Tak, na szczęście, nie jest. „Wieczór Wybrzeża" przed laty pozyskał czytelników dzięki temu, że potrafił sprawnie i atrakcyjnie informować o tym, co dzieje się we współczesnym świecie. Najważniejsze, rzecz jasna, są sprawy miejscowe, jednak w gazecie znajdziemy także wiadomości o szerszym charakterze (pomijając sam przegląd wydarzeń dnia).

Naczelnym redaktorem „Wieczoru" jest czołowy gdański dziennikarz red. Jerzy Waczyński, który ma dobre rozeznanie w zainteresowaniach swoich czytelników. Wie, że siłą gazety jest jej wszechstronność. Dlatego też w „Wieczorze" znajdziemy informacje z różnych dziedzin życia społecznego.

Szczególne miejsce w „Wieczorze" zajmuje tematyka kulturalna. Znajdziemy tutaj recenzje z wystaw, przedstawień teatralnych czy koncertów. Regularnie są zamieszczane omówienia premier filmowych. „Wieczór" jest przewodnikiem swoich czytelników w gdańskim życiu kulturalnym. Przekonałem się, że recenzje zamieszczane w tej gazecie w istotny sposób mogą wpłynąć na frekwencję na danym przedstawieniu. Bywa, że negatywna ocena tej gazety spowoduje, że teatr będzie świecił pustkami...

Zespół red. Jerzego Waczyńskiego jest stosunkowo skromny. Gazetę „robi" 24 dziennikarzy. Niektórzy z nich, to zaprawieni w licznych bojach wyjadacze, inni rozpoczynają dopiero swoją dziennikarską przygodę. Zaczynają w sposób klasyczny — w południówce, gdzie na nic nie ma czasu, gdzie materiał trzeba przygotować natychmiast. Pod okiem Jerzego Waczyńskiego uczą się zawodowej sprawności. Jest to dobra szkoła. Iluż wybitnych dziennikarzy zaczynało swoje kariery właśnie w popołudniówkach...

Gdy zapytałem red. Jerzego Waczyńskiego czego oczekuje od swojej gazety, to powiedział mi, że pragnie, by „Wieczór" szybko i sprawnie informował czytelników o tym, co dzieje się na Wybrzeżu, w głębi kraju i na świecie. Zakłada, że jego czytelnicy już zdążyli zapoznać się z poranną prasą i nie chce powielać tego, co proponują inne gazety. Stąd w „Wieczorze" więcej ciekawostek, na które nie ma miejsca w innych tutejszych pismach.

Nie można także, pisząc o „Wieczorze Wybrzeża" pominąć tematyki społecznej, która zajmuje ważne miejsce w tej gazecie. Nie jest to sprawa łatwa, gdyż reporterzy „Wieczoru" muszą dotrzeć do owianych złą sławą rejonów Trójmiasta, pojechać gdzieś, na Orunię, czy na Obłuże, gdzie jeszcze dzisiaj dzieją się rzeczy posępne...

„Wieczór Wybrzeża" od lat towarzyszy mieszkańcom Gdańska, Gdyni czy Sopotu w ich codziennym bytowaniu. Trudno sobie wyobrazić pejzaż Trójmiasta bez tej gazety. Codziennie jadąc kolejką z Gdańska do Oliwy obserwuję ludzi, zatopionych w lekturze tego pisma. Dzięki „Wieczorowi" dowiadują się, co przyniósł dzień, co wydarzyło się gdzieś w Palermo czy Madrycie. Czytają reportaż sądowy, z drżeniem serca przeglądają horoskop. Może też, przy okazji przeczytają sprawozdanie z wystawy czy koncertu symfonicznego. Może...

WIESŁAW NOWICKI

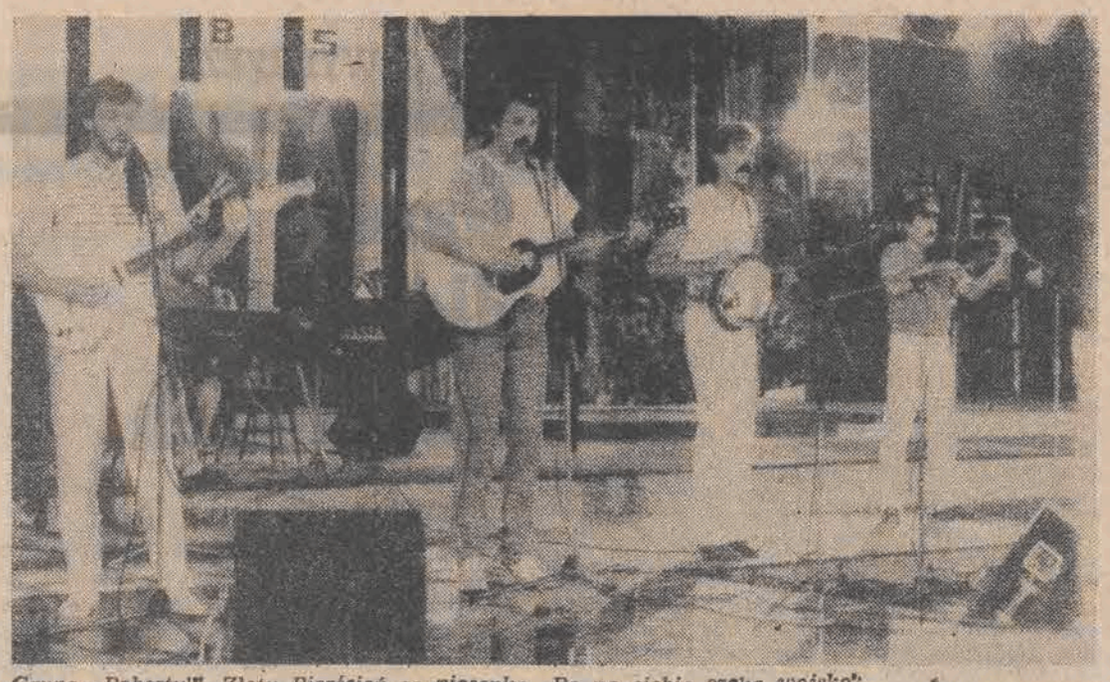

Grupa „Babsztyl". Złoty Pierścień za piosenkę „Bo na ciebie czeka wojsko".

Jedenaście dni w Kołobrzegu

Na festiwale piosenkarskie jeździłem przez ostatnich kilkanaście lat w rozmaitych rolach: obserwatora, zwykłego widza, akredytowanego dziennikarza, jurora, autora zapraszanego przez organizatorów. Tym razem pojechałem do Kołobrzegu jako reżyser jednego z wystawianych tam widowisk estradowych, które notabene — wcześniej napisałem i stąd paromiesięczna przerwa w moich spotkaniach z Czytelnikami „Odgłosów". Będąc w ścisłym kierownictwie artystycznym XIX Festiwalu Piosenki Żołnierskiej mogłem na kołobrzeską imprezę spojrzeć zupełnie z innego punktu niż dotąd — nie tylko od kulis, ale wręcz od kuchni.

Większość festiwalowych koncertów (choć niejednokrotnie w sposób beznadziejny od strony pracy kamer czy też z programowymi cięciami w miejscach najbardziej efektownych) zaprezentowała w trakcie imprezy Telewizja Polska (część poszła także na Interwizję). Każdy mógł na podstawie tych retransmisji z jednodniowym poślizgiem wyrobić sobie jaki taki pogląd o kolejnym kołobrzeskim spotkaniu z nie tylko żołnierską piosenką. Jury obradujące już po raz drugi z rzędu pod przewodnictwem Włodzimierza Pospiecha zebrało się dwukrotnie i w dwóch protokołach zawarło swój werdykt. Wyniki zostały podane przez środki masowego przekazu do publicznej wiadomości. Uważam więc, że nie ma sensu opowiadania raz jeszcze Czytelnikom, co działo się w amfiteatrze i kto wywiózł stamtąd nagrody. Wystarczy chyba tutaj krótki komentarz odnoszący się do całości imprezy, a później w tonacji bezpośredniej i bardzo osobistej, którą coraz więcej ludzi ma mi po prostu za złe, spróbuję przybliżyć Czytelnikom festiwalową tematykę, ale w nieco inny niż zazwyczaj sposób.

XIX Festiwal Piosenki Żołnierskiej był organizacyjnym molochem, jakiego od lat sobie nie przypominam. Trwał dłużej niż zwykle, bo od wtorku do niedzieli. Stało się tak dlatego, że właśnie w tym roku skomasowały się wszystkie elementy składowe poprzednich festiwali (szczególnie zaważyły tu nieobecne przez parę ostatnich lat koncerty: „Melodie bratnich krajów i armii" oraz konkurs amatorów).

Całość ruszyła we wtorek dwoma widowiskami, co uważam za pomysł niezbyt fortunny choćby ze względu na to, iż „Kołobrzeska legenda" z muzyką Janusza Kępskiego i tekstami Janusza Szczepkowskiego przedstawiona w pierwszej części przeznaczona była dla dziecięco-młodzieżowej widowni, zaś wystawiona po przerwie „Rzecz o berlińskiej potrzebie" Benedykta Konowalskiego i Janusza Przymanowskiego miała jako adresata zupełnie inny krąg odbiorców. Dodajmy, że obydwa widowiska reżyserował Józef Grubowski, który stał przed trudnym zadaniem zwłaszcza w drugim wypadku, bowiem — po wycofaniu się innego reżysera — awaryjnie podjął się realizacji „Berlińskiej potrzeby" dosłownie na dziesięć dni przed festiwalem i wyszedł z tego obronną ręką.

Środa to koncert utworów premierowych, który tradycyjnie powinien być najciekawszą pozycją festiwalu. Tym razem jednak nie była nią — poziom prezentowanych piosenek (poza nielicznymi wyjątkami) raczej przeciętny, a interpretacja przez wykonawcę nie zawsze zgodna z intencjami twórców. Szkoda — o czym pisałem już w relacji na gorąco do „Expressu Ilustrowanego" — że z programu wypadły dwie interesujące piosenki, w tym jedna — łódzkich autorów (zaznaczam bynajmniej nie moja).

Następnego dnia czyli w czwartek impreza, na którą zaproszono — obok krajowych ulubieńców kołobrzeskiej publiczności — solistów estrady tak wojskowej, jak i cywilnej, z krajów demokracji ludowej będących członkami Układu Warszawskiego, jako że właśnie w tym roku przypadła 30 rocznica jego podpisania. Koncert wydłużony przez częste bisy mógł się podobać nawet festiwalowym malkontentom, a specjalnie zaproszona z Czechosłowacji (tego jeszcze nie było w historii festiwali) orkiestra kierowana przez Gustava Broma spisała się nie gorzej niż łódzki zespół Henryka Debicha.

Koncert amatorów — solistów i zespołów rozpoczynających dopiero swoją estradową drogę — odbył się przed przerwą w piątek po południu (każdego dnia planowane były dwa koncerty: pierwszy o godzinie 16,30, drugi — o 21,00). Zaraz po jego zakończeniu jurorzy udali się na naradę, by wieczorem na następnym koncercie podać wyniki i zrobić młodym śpiewającym ludziom jakby galówkę. W drugiej części, po koncercie amatorów, miała miejsce premiera widowiska pt. „Z przebojem nad Bałtyk", które wspólnie z kompozytorem i aranżerem — Jackiem Malinowskim określiliśmy mianem „prawie musicalu".

Ponieważ jestem autorem i reżyserem tego programu wstrzymam się od jego oceny, dodając tylko, że tematycznie wiązało się ono ze specyfiką służby w Marynarce Wojennej i Niebieskich Beretach, a całość miała charakter wybitnie rozrywkowy.

Wreszcie w sobotę i niedzielę czterokrotnie powtórzony został koncert galowy, w którym znalazła się poważna większość najciekawszych piosenek prezentowanych na tym festiwalu. Publiczność na wiele z nich reagowała bardzo spontanicznie i można przypuszczać, że wiele z nich nie zakończy swego estradowego czy antenowego żywota równocześnie z ostatnim wyjściem festiwalowych fanfarzystów.

I tak pokrótce wyglądałoby podsumowanie przebiegu XIX Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Jeśli chodzi o mnie i o innych jego realizatorów, to zaczął się on dla nas o wiele wcześniej niż rozległ głos fanfar. Pomijam już sprawę pisania piosenek, poprzedzonego zbieraniem materiału u źródeł, czego wynikiem był na przykład tekst „Zamiast reportażu". Sztab artystyczny i dyrekcja Biura FPŻ z Kołobrzegu już parę miesięcy wstecz odbywali spotkania z przedstawicielami współorganizatora imprezy — Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego w Warszawie w trosce o ostateczny kształt festiwalu. Równocześnie trwały nagrania (w Warszawie i Łodzi) obszernego materiału dźwiękowego: widowiska prezentowane są przecież z playbacku, a ponadto zarejestrowano także kilkanaście piosenek premierowych. To właśnie sprawiło, że otrzymawszy w porę taśmy „Polskie Nagrania" — wzorem lat poprzednich — mogły już w momencie rozpoczęcia festiwalu uruchomić stoisko, w którym oferowano dwie duże płyty i również dwie kasety z tegorocznymi kołobrzeskimi piosenkami.

Na konferencji prasowej 20 czerwca 1985 r. organizatorzy dysponowali już pełnymi informacjami dotyczącymi poszczególnych koncertów. Był gotowy był także plan prób odbywających się w amfiteatrze i w czterech salach poza nim. Wprawdzie ulegał on później zmianom, ale stosunkowo nieznacznym.

1 lipca 1985 r. w Stołecznym Klubie Garnizonowym za Żelazną Bramą miało miejsce pierwsze robocze spotkanie kierownictwa artystycznego z wykonawcami. Było ono szczególnie ważne dla reżyserów widowisk którzy mieli przecież daleko trudniejsze zadanie niż pozostali „ustawiający" koncerty na zasadzie składanek — „pan wyjdzie z prawej, pani z lewej".

W Kołobrzegu zameldowaliśmy się już w piątek, 5 lipca, kiedy w oficjalnych informacjach prasowych podawało się jeszcze, że „festiwal za tydzień". Poza ciągłymi roboczymi kontaktami, przez pierwsze cztery dni (aż do inauguracyjnego koncertu) codziennie rano o godzinie 8,15 spotykaliśmy się wszyscy (a więc: kierownictwo artystyczne, reżyserzy, organizatorzy, szefowie od światła i dźwięku, redaktorzy transmisji, kierownicy produkcji, przedstawiciele orkiestr itd.) na tzw. operatywkach, które służyły „smarowaniu" festiwalowej machiny, by mogła ona działać bez zarzutu. Na dobre próby rozpoczęły się w sobotę, 6 lipca. Priorytet miał oczywiście amfiteatr, a na próbach w innych salach można było korzystać tylko z tych osób, które aktualnie nie były potrzebne na prawdziwej scenie. Dla ciekawskich podam, że próby rozpoczynały się o godzinie 9 rano i trwały (z przerwami na obiad i kolację) często do późnych godzin wieczornych. Było też parę prób nocnych, których wykonawcy niestety za bardzo nie lubią.

Praktycznie grupa ludzi realizujących festiwal miała chwilę wytchnienia dopiero w niedzielę, kiedy do powtórzenia pozostały jedynie dwie galówki nie rejestrowane przez ekipę telewizyjną, która spokojnie mogła — choć w części — udać się do domu.

Zazwyczaj kończąc festiwalowe relacje podaję kilka anegdot z życia towarzyskiego, ale tym razem byłbym w kropce, co wybrać — tak wiele zabawnych historii wydarzyło się w ciągu tych jedenastu dni nad bałtyckim morzem.

Zwykle pisuję też słów parę o konferansjerach. W tym roku klasą dla siebie pozostawała przesympatyczna Krystyna Loska, imponując spokojem, kulturą i dowcipem. Wraz z nią koncerty prowadził kołobrzeski debiutant — Roman Froń, który podczas jednej z galówek miast zapowiedzieć piosenkę pod tytułem „Gdy listonosz minie dom" zaserwował — „Gdy listonosz do domu nie trafi", czym wywołał wesołość zarówno na widowni, jak i na estradzie. Druga dość poprawnie spisująca się para to Hanna Balińska i Stanisław Mikulski, który jest najwierniejszym Festiwalowi Piosenki Żołnierskiej konferansjerem. W koncertach galowych zapowiadała cała czwórka.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Paul Young: oczarowanie soulem

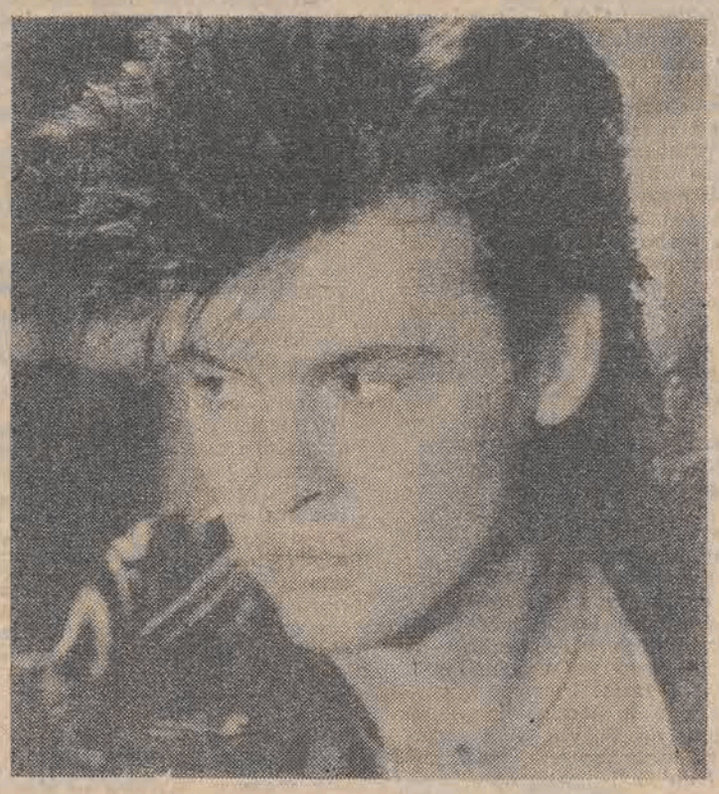

W dyskografii Roda Stewarta znajduje się płyta „Ani chwili nudy", która rzeczywiście — jak sugeruje tytuł — zawiera kompozycje mogące zadowolić wymagania najbardziej wybrednych melomanów. Wydaje mi się, że tak samo mógłby zatytułować swój drugi solowy longplay Paul Young. Znalazło się bowiem na nim jedenaście udanych utworów, doskonale dobranych pod względem dynamiki i klimatu, a do tego perfekcyjnie wykonanych. Jeżeli tytułowa „Tajemnica asocjacji" („The Secret Of Association") odnosi się do kojarzenia dźwięków, to słuchając materiału muzycznego zarejestrowanego na płycie można się przekonać, że Young ją posiadł. Nie tylko umiejętnie ułożył program albumu, na który składa się 5 jego własnych kompozycji napisanych wspólnie z Ianem Kewleyem — członkiem zespołu akompaniującego — oraz 6 piosenek z repertuaru innych wykonawców, ale też zgromadził oryginalny zestaw istrumentów; współbrzmią syntezatory i skrzypce, „odzywają się" stare, dobre organy Hamonda, a na tle elektrycznych gitar można usłyszeć solo na... puzonie. Zadziwiające jest to, że instrumenty te znakomicie się uzupełniają, stanowiąc interesujące tło dla popisów wokalnych solisty. Album „The Secret Of Association" ukazał się na rynku kilka miesięcy temu, jednak pochodzące z niego utwory dopiero teraz zdobywają u nas popularność, chociaż nie tak dużą, na jaką — moim zdaniem — zasługują. Kompozycja „Everything Must Change" w czerwcu kandydowała do telewizyjnej listy przebojów „dwójki".

Yuonga zawsze fascynowała muzyka murzyńska. Gdy jego koledzy zachwycali się modnymi w latach siedemdziesiątych grupami rockowymi, przyszły twórca przebojów doskonalił swój warsztat wokalny, wykonując utwory amerykańskich mistrzów bluesa. Karierę rozpoczął jednak jako basista w zespole, który za wszelką cenę — ale bez powodzenia — starał się kopiować nagrania Led Zeppelin. Dopiero później dostał etat wokalisty w pewnej mało znanej grupie londyńskiej, aby w końcu przenieść się do soulowej formacji The Q-Tips. Mógł nareszcie wykazać się w muzyce, która najbardziej go interesowała. The Q-Tips dali około 700 koncertów i zdobyli nawet sporą popularność wśród bywalców nocnych klubów w Wielkiej Brytanii, chociaż ich nagrań nie spotykało się na czele list bestsellerów płytowych. W 1982 roku Paul Young zdecydował się rozpocząć karierę solową i podpisał kontrakt z firmą CBS Records. Dziś ma 29 lat, jest autorem dwóch przebojowych albumów i posiada tytuł „najlepszego artysty w Wielkiej Brytanii („Best Male Artist"), który nadali mu w lutym przedstawiciele tamtejszego przemysłu fonograficznego.

Płyta „No Parlez" z 1982 roku była entuzjastycznie przyjęta zarówno przez słuchaczy, jak i krytyków. Do dziś sprzedano ponad 4 mln egzemplarzy tego albumu, na którym znalazły się m.in. nowe wersje przebojów Waylona Jennigsa, Jacka Lee oraz Marvina Gaye'a. Można powiedzieć, że Paul Young te piosenki „odkurzył" zadbał o nowoczesną aranżację i rewelacyjnie zaśpiewał swoim ciepłym, lekko „zachrypniętym" głosem. Jego sposób interpretacji przypomina trochę zarówno śpiew słynnego reprezentanta białej muzyki soulowej Joe Cockera, jak i wokalistykę Daryla Halla. Paul Young jest jednym z nielicznych białych wykonawców brytyjskich, którym udaje się w nagraniach odtworzyć klimat charakterystyczny dla twórczości ciemnoskórych piosenkarzy. Nie ogranicza się przy tym jedynie do naśladownictwa, ale próbuje z połączenia dwóch nurtów stworzyć odrębny, niepowtarzalny styl. „Chcę nagrywać albumy, które byłyby inne" — powiedział niedawno w wywiadzie.

Gdy gwiazdy muzyki brytyjskiej pod wodzą Boba Geldofa nagrywały w ubiegłym roku singel „Do They Know It's Christmas?", który zapoczątkował falę pomocy ze strony piosenkarzy dla głodujących mieszkańców Afryki, Paul Young był już jednym z najpopularniejszych wykonawców na Wyspach. Podobno w filmie video nakręconym podczas powstawania tej płyty on i Boy George są postaciami pierwszoplanowymi. Twórczość Younga zainteresowała słuchaczy m.in. swoją odmiennością. Kiedy ukazał się w sprzedaży album „No Parlez", w muzyce brytyjskiej królowały jeszcze syntezatory, które stopniowo zaczynały zastępować wszystko, nawet ludzki głos. Bezdusznym elektronicznym dźwiękom Young przeciwstawił muzykę żywą, pełną ekspresji. Oczywiście posługiwał się też syntezatorami, jednak tworzył dzięki nim jedynie tło dla prawdziwie soulowych popisów wokalnych. Dziś coraz częściej piosenkarze brytyjscy szukają natchnienia w muzyce murzyńskiej. Przykładem niech będzie znakomity nowy album due-Eurythmics. Jeszcze nie tak dawno przedstawiałem Annie Lenox i Dave'a Stewarta jako „szalonych naukowców", tworzących swoje przeboje w elektronicznym laboratorium, a tu pojawia się longplay „Be Yourself Tonight", gdzie powracają autentyczne trąbki, organy, a także harmonijka ustna, na której gra sam Stevie Wonder. Melomani chyba doskonale wiedzą, w jak dużym stopniu ten ciemnoskóry piosenkarz, kompozytor i instrumentalista przyczynił się do popularyzacji czarnej muzyki. Ponadto na płycie „Be Yourself Tonight" śpiewa sławna Aretha Franklin, słychać też typowy dla starszych nagrań amerykańskiej wytwórni Motown żeński chór. Słowem Brytyjczycy zaczynają powracać w muzyce do źródeł, co zresztą wpływa korzystnie na poziom ich twórczości. Paul Young będzie więc wkrótce miał nad Tamizą więcej konkurentów.

Longplay „No Parlez" cieszył się dużym powodzeniem w wielu krajach Europy, a także w Australii, gdzie jego autor należy do najpopularniejszych wykonawców muzyki pop. Z albumem „The Secret Of Association" Paul Young chce dostać się również na amerykańską listę przebojów. Dotąd za Oceanem nie wiodło mu się najlepiej. Rynek amerykański w ogóle niechętnie przyjmuje outsiderów. Żeby zyskać uznanie tamtejszych melomanów trzeba naprawdę dużo umieć. Przed Youngiem stoi więc bardzo trudne zadanie, zwłaszcza, że USA są przecież kolebką muzyki, którą on wykonuje. Oprócz całej plejady ciemnoskórych gwiazd działa za Oceanem wielu białych twórców z powodzeniem przenoszących do swoich kompozycji elementy muzyki soulowej.

Gdy wreszcie w ubiegłym roku rozpoczęło się jego amerykańskie tournee, Paul Young nagle stracił głos. Trzeba było część występów odwołać, a piosenkarz powrócił do rodzinnej Anglii, aby odpocząć i poddać się zabiegom leczniczym. Kiedy wyzdrowiał, dał kilka koncertów w Wielkiej Brytanii oraz zakończył pracę nad nowym longplayem.

Po piosenkach „Everything Must Change" i „Everytime You Go Away" na listach bestsellerów płytowych pojawiło się niedawno nagranie „Tomb Of Memories". Być może będzie to kolejny przebój Paula Younga. Nowoczesny soul — ten w wykonaniu Younga, grupy Eurythimics i innych białych artystów — stanowi atrakcyjną odmianę dla znużonych rockiem melomanów. Tak zwana „muzyka duszy" coraz śmielej wkracza na estrady, a związani z nią twórcy cieszą się ostatnio niebywałą popularnością. Nie każdy biały piosenkarz potrafi interpretować soul. Paul Young należy do wykonawców, którzy robią to najlepiej.

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

„ZAMORDOWAĆ PSA?"

W nawiązaniu do artykułu „Zamordować psa?" pragnę opisać następujące fakty.

Jestem pracownicą zatrudnioną w Przedszkolu nr 44 na etacie woźnej. Nie wiedząc jeszcze nic o tym, że artykuł „Zamordować psa" już się ukazał, poszłam do przedszkola zanieść zwolnienie lekarskie. Pani dyrektor nadal usiłowała mi wmówić, że fakt zabicia psa został wymyślony przeze mnie. Twierdziła również, że nauczycielka Zarzycka mówiła prawdę, że pies nie został zabity, tylko uciekł z przedszkola. Przy rozmowie była obecna pani wizytator Piotrowska, która poprosiła mnie o ponowne przeczytanie oświadczenia napisanego przeze mnie. Pytała, czy w dalszym ciągu podtrzymuję to zeznanie. Skłoniono mnie wtedy do dopisania pod moim oświadczeniem zdania, że *„potwierdzam swoje dotychczas złożone zeznanie w obecności pani wizytator Hanny Piotrowskiej"* i do ponownego potwierdzenia własnoręcznym podpisem. Pani wizytator i pani dyrektor oskarżały mnie, że całe zamieszanie, że o przedszkolu pisze się w gazetach, to wszystko przeze mnie. Po co ja to zrobiłam, że wszystkiemu jestem tylko ja winna.

A przecież ja tylko powiedziałam prawdę. Nie dość, że ja sama musiałam być świadkiem tego bestialstwa, to jeszcze była obecna przy tym moja 13-letnia córka. Przyszła do mnie i przypadkiem zobaczyła psa, który dogorywał w szatni. Dziecko było przerażone i krzyczało: *„mamusiu ten pies już ledwo się rusza, a tam jest pełno krwi"*. Widziała również, jak pani wychowawczyni z innymi zmywała krew z podłogi. Jak wobec tego mogę powiedzieć, że to nieprawda i odwołać wszystko?

Gdy wyszłam z przedszkola, pożyczyłam od znajomej „Odgłosy", przeczytałam od razu i ten artykuł, o którym wspominała pani wizytator. Byłam bardzo oburzona, że pani dyrektor zrobiła ze mnie alkoholiczkę. Nigdy nie przyszłam do pracy po wypiciu alkoholu, w pracy również nie piłam. W domu mam porządek, wychowuję dwoje dzieci. Stwierdzenie, że jestem alkoholiczką jest zwykłym oszczerstwem. W przedszkolu natomiast tolerowano picie alkoholu przez pana Guziaka i Kurasika. Dzieci widziały często dużą ilość pełnych butelek (i pustych) piwa w szatni.

W tej chwili praca w tym przedszkolu jest dla mnie bardzo przykra. Atmosferę jaką wytwarza pani dyrektor wokół mnie, drobne złośliwości, dogadywanie, odczuwam osobiście jako prześladowanie mnie za to, że powiedziałam tylko prawdę. Dziękuję red. Edwardowi Brylowi, że napisał o tym wszystkim i że ujął się za mną, bo w ciągu mojej 4-letniej pracy w przedszkolu nie było żadnych zastrzeżeń odnośnie mojej pracy i mojego postępowania.

ZOFIA SZYMAŃSKA
(adres do wiadomości redakcji)

* * *

Po przeczytaniu artykułu red. Edwarda Bryla w „Odgłosach" o losach niektórych zwierząt, aż włosy jeżą się na głowie, że w naszym cywilizowanym społeczeństwie mogą mieć miejsce takie niecne wydarzenia, wręcz karygodne zachowanie ludzi do naszych czworonożnych milusińskich. Jak w przypadku nieszczęsnego psa Hektora (...).

Rzekomo pogryziona nie skorzystała z pomocy lekarskiej, nie otrzymała serii bolesnych zastrzyków, czyżby obrażenia były zadane niewidzialnymi zębami! A jeżeli nawet pies zaatakował, przecież pozwolił na założenie kagańca, to w najgorszym układzie można było doprowadzić go do lecznicy weterynaryjnej przy ulicy Głuchej (z ulicy Sędziowskiej to bardzo blisko) i zwyczajnie uśpić (...)

Często słyszy się, iż właściciel wywozi psa do lasu, wiąże do drzewa i odjeżdża. Los psa wiejskiego również nie należy do najciekawszych. Mieszka taki rolnik w murowanym, domu piętrowym, a często w luksusowej willi, woda ciepła z kranów leci, na podwórku parkuje dwa ciągniki, a w garażach dwie luksusowe limuzyny, a biedny piesek uwiązany na metrowym zardzewiałym łańcuchu stoi przy walącej się budzie, bądź pod marnym okapem i pilnuje dobytku swego pana. Jak ów gospodarz łaskawie przypomni sobie to raz dziennie tę łyżkę strawy da psu stróżowi — ziemniaki w łupinach polane wodą, a jeżeli nie to też się obejdzie (...).

Jestem ogromnym miłośnikiem zwierząt, mam w posiadaniu czarnego cocker-spaniela, wabi się Hektor. Doprawdy jest uroczy. Zapewniłam mu odpowiednią egzystencję, traktuję go jak członka rodziny, bo nie wyobrażam sobie, że może być inaczej. On odwzajemnia się w serdeczny, przyjacielski sposób.

Mam również w domu świnkę morską, na imię jej Diana. Jest biała w czarne łatki i całą dobę konsumuje na okrągło. Hektor i Diana są bardzo zaprzyjaźnieni. Toleruję ludzi, którzy zwierząt nie lubią, ale nie wyrządzają im krzywdy. Natomiast nie akceptuję ludzi podłych, okrutnych, bezdusznych, obojętnych na krzywdę biednych bezbronnych zwierząt, takich których ujawnił w swoim artykule red. E. Bryl — oni i im podobni powinni być konsekwentnie i surowo ukarani, żeby w przyszłości zapobiec takim drastycznym sytuacjom, bo inaczej nie wyeliminujemy z naszego społeczeństwa takich osobników.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

* * *

Wyrażam pełne uznanie za artykuł w „Odgłosach" 6.VII. br. Pies przyjaciel człowiek, stróż, przewodnik, sanitariusz, pomoc milicyjna, niejednokrotnie opiekun dzieci. Ratujący w górach zasypanych lawiną ludzi. Tyle funkcji spełnia pies. Czuję tak samo ból, krzywdę mu wyrządzoną. Dlaczego nie ceni się jego życia? Zwyrodniały czyn musi być surowo ukarany.

J. KRAWCZYŃSKA (Łódź)

* * *

Z całą świadomością popieram artykuł z „Odgłosów" z 6.VII. br. o napiętnowaniu sprawy zabicia w barbarzyński sposób psa w Przedszkolu nr 44 przez personel tegoż przedszkola. W ten sposób został uświęcony „Dzień Dziecka".

W społeczeństwie musimy mieć zdrowych i mądrych wychowawców, którzy powinni wychowywać właściwie nasze młode pokolenie.

Uważam, że kara powinna być wysoka i surowa, bez względu na stanowiska danych osób, aby podobne barbarzyństwa nie miały miejsca. Nie należy usprawiedliwiać swoich czynów wypowiedziami: *„Przecież to był tylko pies"*.

JANINA GĄSKA

„TYLKO PIES"

Mówi się, że „śmierć pojedynczego człowieka jest tragedią, śmierć tysięcy — statystyką". Chcąc wyrokować o kondycji moralnej całego społeczeństwa, trzeba opierać się na statystyce — nie zaś pojedynczych, choćby najbardziej ponurych, incydentach. Zapomniała była o tej zasadzie Jolanta Wrońska, rozpaczając nad upadkiem obyczajów, powszechnym dziczeniu i degrengoladzie i niczym Kasandra przewidując wejście na drzewa całego rodzaju ludzkiego, wstrząśnięta ponurym zdarzeniem, jakie miało miejsce w jednym z łódzkich przedszkoli („Odgłosy" nr 27/85).

Życie codziennie przynosi takie niezwykłe i „nie mieszczące się w pale" zdarzenia. Nie tylko w Polsce, lecz na całym świecie. Nie mogą one stanowić powodu do odsądzania od czci i wiary całego społeczeństwa. Mogłoby to prowadzić do defetyzmu, czyli tylko załamywania rąk. Z wyważonego artykułu E. Bryla „Zamordować psa" można i trzeba wyciągnąć wnioski także optymistyczne. Że jednak ktoś powiadomił inspektora TOZ, że już w niecały miesiąc od zdarzenia ukazał się artykuł, który z pewnością wywoła lawinę głosów potępiających biednych niegodziwców... Biednych, bo prawdopodobnie zdefektowanych psychicznie lub niedoceniających podstępnego działania alkoholu pitego nawet w dawkach tzw. kulturalnych... Że społeczeństwo dysponuje środkami obrony i odstraszania — wszak trzy miesiące aresztu za bicie konia, to nie jest mało.

Gdy tysiące dzieci ginie lub jest okaleczane na całe życie przez własnych rodziców (np. RFN), nie czas ku temu, aby na serio uważać, że miara kultury człowieka jest jego stosunek do zwierząt. Nie ma bowiem prostej korelacji między stosunkiem człowieka do zwierzęcia a stosunkiem człowieka do człowieka. Dowodem nie tylko fakt, że krwawi dyktatorzy na ogół lubili otaczać się psami. Znamy nawet cesarza, który dzielił łoże z koniem (Kaligula)...

E.T.K. (Oświęcim)

* * *

Zarząd Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Łodzi składa gorące podziękowanie za zamieszczenie na łamach tygodnika „Odgłosy" artykułu Edwarda Bryla pt. „Zamordować psa?".

Opisany przypadek nie jest wyjątkowym o czym autor w swoim artykule wspomina. Prawie każdego dnia wpływają meldunki o bestialskim traktowaniu zwierząt. Publiczne ujawnianie tych spraw napawa nadzieją, że być może uda się w końcu przełamać brak reakcji społeczeństwa na sadystyczne postępowanie ze zwierzętami. Rzecz w tym, by uświadomić ludziom, że ból, strach i śmierć są dla każdego stworzenia jednakie a bywają wśród ludzi tacy, którzy o tej najprostszej prawdzie nie chcą pamiętać.

Liczymy, że przy pomocy redakcji uda nam się osiągnąć większe zrozumienie społeczeństwa.

ALEKSANDRA STĘPCZYŃSKA
Prezes O/W TOZ w Łodzi

„NIEWIERNY KOCHANEK MUZ"

Panie Redaktorze!

Proszę o zamieszczenie sprostowania błędu, który się zakradł do podpisu pod fotografią w wywiadzie ze mną w numerze z 20 lipca br. pt. „Niewierny kochanek muz". Jestem tam widoczny w mundurze studenckim, gdyż grałem studenta nie zaś tytułowego sztabskapitana Gubaniewa, którego na zdjęciu nie ma, figuruje natomiast, znany aktor Paweł Owerło, jako polski ziemianin i Lili Lyana jako jego córka. Z poważaniem.

WACŁAW SZMIGIELSKI

Redakcja — Czytelnicy

Czytelnicy zwrócili nam słusznie zresztą uwagę, że Redaktor Dyżurny zapowiadając listy w sprawie «„M" dla córeczki» popełnił poważny błąd. Rzecz bowiem dotyczy SM „Zarzew", a nie RSM „Bawełna". Przepraszamy za ten błąd.

P.J. Informacje o książkach „Z półki recenzenta" możemy wtedy publikować, kiedy otrzymamy książki z wydawnictwa lub sami je kupimy. Wydawnictwa dziś niechętnie wysyłają książki. Książki reklamy nie potrzebują i szybko bez tego znikają z księgarń. Ale my uważamy, że obowiązkiem redakcji jest informowanie czytelników o tym, co się ukazuje na rynku księgarskim. Nie jesteśmy w stanie robić tego szybciej, jako że często informujemy dopiero po kupnie książki w księgarni. Nic więc dziwnego, że nasze informacje są spóźnione i często informują o tym, czego już nie ma na rynku księgarskim. Ale doprawdy to nie nasza wina. Sytuacja ta zmieni się, gdy wydawnictwa będą miały więcej papieru i będą mogły wydawać książki w większych nakładach. Ale na to przyjdzie poczekać. Dziękujemy za pozdrowienia.

CZŁOWIEKU, DAJ NAM SZANSĘ!

Otrzymaliśmy kartkę pocztową (widokówkę) z Warszawy, pisaną 6 lipca 1985 roku. Adresowaną: Redakcja Tygodnika „Odgłosy", ul. Mickiewicza 11, co jest błędnym adresem, gdyż nasza redakcja już od stycznia 1985 roku mieści się w wieżowcu RSW „Prasa — Książka — Ruch" przy ul. Henryka Sienkiewicza 3/5 na XII i XIII piętrze. Ale kartka doszła. Za co należą się podziękowania dla poczty! Zaintrygowała nas natomiast jej treść. Oto ona:

„Dziś dopiero wracam do domu. Cały lipiec mam urlop. Zadzwoń do mnie we wrześniu albo napisz. Pozdrawiam H."

I nic więcej. Kartkę czytał cały zespół. Nikt nie poczuł się adresatem. Kilka osób chciałoby się nawet poświęcić i napisać lub zadzwonić. Ale do kogo? Może po przeczytaniu tego tajemniczy nadawca odezwie się i da nam szansę. Napiszemy lub zadzwonimy we wrześniu. Nawet zbiorowo. Do kogo?

„PORTRET MĘŻCZYZNY Z BRODĄ NA TLE GRACIARNI"

Autor tekstu pod tym tytułem, opublikowanego w 21 numerze „Odgłosów" (85.05.25) — niejaki H. Poirot — zamieścił w swym dziele przyrzeczenie publiczne, iż odpowiednio nagrodzi zwycięzcę prywatnego konkursu, polegającego na rozszyfrowaniu, kto też jest bohaterem tej parakryminalnej zagadki...

Po żmudnych poszukiwaniach, wśród sterty odpowiedzi, znaleźliśmy tylko jedną prawidłową! Tak jest... Udzieliła jej pani **IRENA FROŃ z Jeleni w woj. kaliskim**

Ma pani rację — człowiek z brodą opisany w zagadce i sportretowany na tajemniczym zdjęciu to rzeczywiście **Antoni Szram** — dyrektor Muzeum Historii Miasta Łodzi. Przy okazji przekazujemy Pani i innym wielbicielkom naszego przyjaciela, że znów — nie wiedzieć czemu — zgolił brodę...

Nagrodę, ufundowaną przy wybitnym udziale samego bohatera konkursu, przesyłamy na Pani ręce za pośrednictwem Poczty Polskiej naszej ukochanej, licząc, że na pewno dojdzie. Gratulujemy umiejętności i z niejaką obawą czekamy, czy Pani detektywistyczne talenta się rozwiną. Sądzimy, że tak, a wtedy biada wszystkim, którzy mają coś na sumieniu.

REDAKTOR DYŻURNY

O ZŁOTĄ LAMPKĘ GÓRNICZĄ

Wałbrzyskie Towarzystwo Kultury ogłasza XVII Ogólnopolski Turniej Poetycki i Plastyczny o „Złotą Lampkę Górniczą". I tak na turniej poetycki, który ma charakter otwarty, należy nadsyłać dwa utwory nigdzie dotąd nie publikowane w sześciu egzemplarzach maszynopisu. Do tekstów trzeba załączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem co wiersze, zawierającą imię, nazwisko, wiek, wykształcenie oraz informacje o aktualnym dorobku twórczym i dokładny adres. Prace należy nadsyłać do 30 września 1985 r. pod adresem: Górniczy Dom Kultury, Al. Wyzwolenia 21/23, 59-300 WAŁBRZYCH. Dla laureatów oprócz nagród pieniężnych (od 10 do 3 tysięcy złotych) przewidziano Złotą, Srebrną i Brązową Lampkę Górniczą.

Turniej malarski będzie rozegrany w dwóch kategoriach — dla amatorów i profesjonalistów. Ci pierwsi winni nadesłać pod wyżej podanym adresem dwie, nie eksponowane dotąd, prace malarskie opatrzone godłem wraz z kopertą o tym samym godle, w której zalakowane będą informacje o autorze (jak przy konkursie poetyckim; patrz wyżej). Na przesyłce (termin nadsyłania prac: 25 października 1985 r.) jako nadawcę trzeba podać dane zaufanej osoby, a nie autora. Prace nagrodzone pozostają własnością autorów. Nagrody pieniężne (od 15 do 4 tysięcy) i możliwość sprzedaży dzieł organizatorom. Takie same zasady obowiązują malarzy profesjonalistów (pośród informacji o autorze trzeba dodatkowo podać nazwę ukończonej uczelni, rok ukończenia studiów i numer dyplomu, względnie inny dowód uprawnień zawodowych) tyle tylko, że nie ogranicza się liczby nadesłanych prac, a nagrody są nieco wyższe: od 25 do 8 tysięcy złotych.

Wszelkich dodatkowych informacji na ten temat udziela sekretariat Górniczego Domu Kultury tel. 241-01.

(GRZG.)

MUSIAŁEM TO NAPISAĆ

To nie o to chodzi, abym Bogdzie Madej życzył długiego okresu rekonwalescencji lub wykorzystywał okazję, że „Rezerwowa II" (a gdzie Rezerwowa I?) pisze „Bogda — wróć", czyli że nie chce robić „za specjalistę" od sportu.

Ale m u s z ę.

Dariusz Szpakowski znów komentował mecz Widzew — GKS Katowice o Puchar Polski. Po trzydziestym chyba powtórzeniu, że jest to „żenujące widowisko" przestałem liczyć. Zresztą — mecz był rzeczywiście kiepski i gdyby nie końcówka, pełna dramaturgii, której nie wymyśliliby nawet autorzy scenariusza „Jarmarku" odbywającego się niedawno na stadionie ŁKS pod patronatem TV — miałbym również niesmak. Henryk Bolesta jednak zadziałał jak balsam, a skoro na 75-lecie Widzew ma Puchar, no to o czym jeszcze mówić?

O Dariuszu Szpakowskim, który jest wyższy ponad odczucia przeciętnego widza i raz przyjętych zasad nie zmienia. Chwalebna to stałość! A polega ona nadal na nieprzyjmowaniu do wiadomości, że zdarzeniami losu okrutnego, na który ani ludzie, ani instytucje nie mają oczywiście wpływu — drużyna Widzewa jest w drugiej linii właściwie zlikwidowana. Pięciu graczy z podstawowego składu „wyłączono" pod koniec sezonu. Choć kibice „Przeglądu Sportowego" przed kilku dniami wykpiwali, że „poborowy Wijas" powinien być wcielony raczej na jesieni. Choć czytałem o karzącej ręce PZPN, która dosięgła Romkego (nie bronię go co do samego faktu!) nader skutecznie na pół chyba roku, a dla innych kończy się to jednym lub dwoma meczami.

I słusznie Dariusz Szpakowski tego wszystkiego nie widzi! Bo co tu widzieć? 75-letni klub z peryferii prowincjonalnej Łodzi, z którym tylko same kłopoty (mają inni!)?

Gdyby tak jeszcze jakoś „usadzić" prezesa Ludwika Sobolewskiego, to by była frajda...

Czy bronię Widzew do końca, czy wszystkie potknięcia zrzucam na nieprzychylny los (kontuzje) i instytucje? Nie, oczywiście że nie. Tylko śmieszy mnie ta podwójna miarka, ta filozofia Kalego.

I dlatego m u s i a ł e m napisać.

W. AFELT

OD REDAKCJI: Dlaczego „Rezerwowa II" a nie „Rezerwowa I"? — pyta W. Afelt. Odpowiadamy.

Po pierwsze — dlatego, że mamy długą ławkę rezerwowych. Chętnych nie zabraknie.

Po drugie — że dobry trener powinien wszystkich wypróbować w „pierwszym zespole" — jak to bywa w drużynach I ligi.

Po trzecie — że „Rezerwowa I" była akurat nad morzem, gdzie z trudem szukała słońca, aby się opalić, co jej się zresztą nie udało.

Po czwarte...

Ale, chyba już wystarczy.

TRENER I

ŹLE Z HANDLEM NA RETKINI

Po ukazaniu się Zarządzenia Ministra Handlu i Usług, regulującego sprawy otwarcia sklepów w soboty oraz w wolne soboty, o czym donosił „Dziennik Łódzki" (Nr 127 z 1/2.06.85 r.), myśleliśmy, że problem zostanie załatwiony w myśl wymienionego zarządzenia, ale my, na Retkini, wielce omyliliśmy się. O nieczynnych sklepach w sobotę — 9.VI.1985 r. napisaliśmy do prezydenta Miasta i do redakcji „DŁ".

W sobotę 15.VI.1985 r. sprawa powtórzyła się. A nawet można powiedzieć, że zaistniała jeszcze gorsza sytuacja a mianowicie:

1) „Sam" przy ul. Kusocińskiego 124 jest w remoncie. Kartka na drzwiach — odsyłacz do „Samu", przy ul. Dzierżyńskiego 42, który jest z a m k n i ę t y, bo ma wolne!

2) Sklep spożywczy, przy ul. Tomaszewicza 4 — z kartki na drzwiach wynika, że powinien pracować, jednak zamknięty, z powodu wolnego...

3) „Sam" przy ul. Dzierżyńskiego 32, pracował tylko do 13.00. Sklep swoją kubaturą nieduży, ale personel duży i powinien w soboty pracować do 17.00. Obsługuje dużą liczbę mieszkańców.

4) „Sam" przy ul. Maratońskiej 93 — nieczynny z powodu inwentaryzacji...

5) „Sam" przy ul. Retkińskiej 106 — czynny, ale przez cały dzień tak oblężony przez ludzi, że nawet wejść do środka nie sposób.

6) Sklep przy Bratysławskiej 10, czynny, ale oblężony przez klientów. Dostać się nie można!

A Zarządzenie mówi, co było podane w prasie, że w nowych osiedlach, gdzie brak jest dostatecznej ilości sklepów istniejące sklepy spożywcze, w soboty w tym i wolne soboty — muszą być otwarte. I co z tego? Nic! Zarządzenie sobie, a decydenci z Wydziału Handlu Urzędu Miasta i dyrektorzy „Społem" sobie. Są ważniejsi od ministra, prezydenta miasta, a prasę to w ogóle mają już za nic...

Był czas, że były kolejki, bo nie było produktów, ludzie stali i wyczekiwali na towary. Teraz gdy towar pojawił się, wyłonił się problem organizacji pracy handlu i za wszelką cenę utrzymanie nielogicznych i szkodliwych wolnych sobót w handlu. A przecież dni wolne można oddać pracownikom w tygodniu, według ściśle opracowanego harmonogramu i przestrzegania go. Ale tu trzeba trochę pracy, inwencji i pomysłowości.

PIOTR KOWALSKI

Najważniejsze jest przejście przez lustro

Rozmowa z JAYA NARAYAN KOIRALA — Nepalczykiem studiującym na jednej z łódzkich wyższych uczelni. Pierwsza rozmowa z Jaya Narayan Koirala ukazała się w „Odgłosach" nr 26 pt. „Tygrys bez zębów przywiązuje się do człowieka".

— Czy smakuje ci polskie jedzenie?

— Tak. Przyzwyczaiłem się. Kuchnia nepalska jest trochę inna, ale nie tak znowu bardzo.

— Jak wygląda posiłek Nepalczyka?

— Na śniadanie jajka gotowane, placki ryżowe, a dzień zaczyna się od herbaty.

— Czy jest jakiś specjalny sposób parzenia herbaty?

— Parzymy herbatę podobnie jak w Sri Lance. Do gotującej się wody wsypujemy czarną herbatę, zalewamy mlekiem, wszystko jedno czy zimnym czy ciepłym, ale przegotowanym, kto chce dodaje cukru i gotujemy przez 5 do 10 minut. Kuchnia nepalska jest oparta na ryżu. Do ryżu — „otzar" — to taka pasta, miesza się natkę pietruszki, świeżo zerwany pieprz, dodaje paprykę. Jest to bardzo ostre. Do tego jemy gotowane kurczaki podawane w sosie albo mięso kozła z sosem. Popijamy wodą lub mlekiem krowim, bawolim czy jaka. Czasem pijemy „raksi". Jest to wino ryżowe. Bardzo słabe. Gdzieś 12 proc. Białe. Słodkie.

— Co jest twoją ulubioną potrawą?

— Smażone mięso kozła w pikantnym sosie.

— Kolacja.

— Albo w domu, albo częściej w restauracji. W Katmandu jest dużo kawiarni, restauracji i barów. Są restauracje chińskie, gdzie podaje się potrawy trochę podobne do podawanych w restauracjach chińskich w Londynie czy Paryżu. Schab po seczuańsku, krojony w wąziutkie pasemka razem z pędami młodego bambusa, grzyby. Mu, trepangi, kraby i krewetki.

— Nie podaje się psów chow-chow?

— Nie. To nie Hong-Kong. Można iść do knajpy tybetańskiej. Tam natychmiast dostaniesz wino Chang. Dopiero potem przyjmują zamówienie. Placki z ryżu, żyta i pszenicy. Mogą być z kukurydzy. Bardzo smaczne są kulki z mięsa bawolego obtaczane w mące i wrzucane na parę. Do tego różne sosy. Do wyboru. Jest taki, który trochę przypomina sos „roti" z hinduskich restauracji.

— Hinduska kuchnia jest oparta na curry i rybach?

— Tak. Ryby to podstawa także naszej kuchni. Ryby słodkowodne. Smażymy je na oleju rzepakowym. Tak jest w restauracjach, w których podaje się mięso. W „bezmięsnych" można dostać „tarkari". To tak jak wasza zupa warzywna. Kroi się kalafiory, pomidory, inne warzywa, gotuje, ale w bardzo małej ilości wody, do tego „dal" — rodzaj drobniutkiego groszku, jakiego w Europie nie ma.

— Tak jest w Katmandu, a w innych rejonach kraju?

— Kuchnia nepalska jest różna w różnych częściach Nepalu. Zależy od grupy etnicznej. Szerpowie na przykład na kolację smażą ziarna kukurydzy. Wrzucają je do gorącego, glinianego garnka stojącego na palenisku. A do tego zsiadłe mleko.

— Czy ta różnica pomiędzy grupami etnicznymi rozciąga się także na obyczaje i obrzędy?

— Oczywiście. Na przykład ślub. U nas, braminów, odbywa się inaczej, u Newarów inaczej, u Szerpów jeszcze inaczej.

— Jak wygląda ślub w twojej kaście?

— Trwa dwa dni. Pierwszy dzień u panny młodej, drugi u pana młodego. Bez alkoholu. Pije się lemoniadę. Cały czas gra wynajęta orkiestra. Gra naszą jękliwą muzykę. Ktoś gra na gitarze, ktoś na takiej dużej trąbie, zakrzywionej, ktoś na specjalnym flecie — „szahana". Jeżeli od domu panny młodej do domu pana młodego jest daleko, to po drodze zatrzymują się gdzieś na posiłki, cały czas tańczą, bawią się. Jeżeli jest blisko, to i tak znajdują knajpę po drodze. Ale nie piją alkoholu. Je się głównie warzywa i słodycze — „pulał", ciastka z kremem i wiórkami kokosowymi. Jest ich 50 rodzajów.

— Jak jest ubrana panna młoda?

— Ma na sobie kolorowe sari, najczęściej w ogromne kwiaty. Najmodniejszy kolor czerwony. Na głowie nosi chusteczkę. Czerwoną. Pan młody na biało. Na głowie nosi specjalny rodzaj ślubnego turbanu. Też biały.

— Biały to kolor żałoby.

— Tak, to prawda, ale także kolor podniosłego święta, jakim jest ślub. Oni muszą się modlić, a więc dla pana młodego kolor biały jest najbardziej odpowiedni. Kapłan modli się z młodymi. Składają przyrzeczenia, czytają modlitwy i tak przez całą noc.

— A reszta gości?

— Reszta hula. Śpiewają, tańczą. Śpią. Rano wszyscy idą kąpać się do rzeki. Obmywają się i jedzą śniadanie. Ojciec i matka panny młodej żegnają gości i córkę. Zabawa przenosi się do domu pana młodego. Tam około 10 wieczorem koniec balu. Zostaje najbliższa rodzina. Wszyscy ci, którzy będą mieszkali razem z młodymi.

— Młodzi nie mają swoich domów?

— Nie bardzo ich na to stać. To raz. Tradycja życia rodzinnego, to dwa. Wreszcie są tacy, którzy mają ogromne domy i to jest większość, a więc nie ma problemu z dodatkowymi mieszkańcami. Niektórzy mają także po kilka domów.

— Łatwo poznać się z dziewczyną z Katmandu?

— Bardzo trudno. One są bardzo nieśmiałe. Nawet jak dziewczyna przyjdzie sama, bez eskorty, do kawiarni, to siedzi jak trusia i ani mru-mru. A już do obcego to w ogóle usta nie otworzy.

— A gdzie indziej?

— W dolinach jest to samo. Tylko góralki są dzielne i bezpośrednie. One trochę zachowują się jak chłopaki. No i same mogą nawiązać kontakt z chłopakami. Nie muszą czekać.

— Jak się ubierają Nepalki?

— Po europejsku. Noszą mini i są dość modne. Ale to znowu w Katmandu. Na prowincji obowiązuje moda tradycyjna. Zresztą po ślubie po europejsku ubrane dziewczyny natychmiast przebierają się i wtedy paradują już tylko w sari.

— W Indiach są świątynie, na których przedstawiono sceny z życia erotycznego, czy podobne znajdują się w Nepalu?

— Tak jest ich kilka. Tłumnie odwiedzane przez turystów. Widziałem te sceny. W końcu to w Nepalu Watshahana napisał „Kamasutrę".

— W herbie Nepalu też widać świątynie.

— Ooo! W herbie Nepalu jest dużo elementów. Na samym szczycie jest korona króla, poniżej dwie skrzyżowane flagi Nepalu. Dwie stopy — to stopy bogini Parvati, żony Sziwy. Dalej dwa średniowieczne miecze Ghurków — symbol wojowniczości i siły. W tle muszą być szczyty Himalajów, jako że całe nasze życie upływa w cieniu najwyższych gór świata. Z jednej strony słońce, z drugiej księżyc. Tutaj siedzi na skale ptak Myna, który pięknie śpiewa. Źródła Gangesu. Z obu stron stoją Ghurkowie w strojach ze wschodniego i zachodniego regionu kraju. Świątynia. Święta biała krowa i na samym spodzie napis: „Matka i ojczyzna — ważniejsze niż niebo".

— Ten napis nie odzwierciedla zbytnio prawdziwego nastawienia Nepalczyków do życia doczesnego i życia po śmierci.

— To prawda. W naszym kraju jest kilka religii, ale buddyzm i hinduizm są najsilniejsze. Największe święto przypada w kwietniu według waszego kalendarza. To urodziny księcia Siddharta, który później stał się Buddą.

— Jaki jest wasz kalendarz?

— Wy macie teraz 1985 rok, a my według kalendarza nepalskiego — 2042. Rok się zaczyna w kwietniu. Wyobrażasz sobie jakie było zamieszanie, jak przyniosłem świadectwa maturalne z datą 2038.

— Skąd się wzięła nazwa Nepal?

— To skrót. Kiedyś były cztery księstewka nepalskie. W jednym z nich mówiono językiem pali. To grupa indo-aryjska. Jeden z głównych ludów zamieszkujących Nepal to Newarowie. „Ne" wzięto z Newarów i dodano „pali". — Razem: Nepal. W języku pali odbywają się obrzędy buddyjskie.

— Bez względu na to, czy to jest buddyzm lamajski, tybetański czy też nepalski?

— Bez względu.

— Jaka jest różnica pomiędzy buddyzmem lamajskim a nepalskim?

— W dogmatach wiary nie ma żadnej. Różnica jest w przestrzeganiu reguł. W buddyzmie jest powiedziane, że nie wolno nikogo zabijać, czy to człowiek czy mucha, bo każde żywe stworzenie ma swoją duszę. To filozofia oparta na reinkarnacji. Ciało się nie liczy. To tylko przejściowa powłoka, która i tak zgnije pewnego dnia. Najważniejsza jest dusza, która przechodzi z ciała do ciała. Dlatego nie wolno zabijać żywych istot. Tybetańczycy omijają zakaz i jedzą mięso ze zwierząt zabitych przez innych. Nie wszyscy ten zakaz przestrzegają. Ja też lubię jeść mięso. Buddyzm to filozofia. Każdy może osiągnąć stan nirwany, który dotychczas osiągnął tylko Budda. Trzeba próbować. Dąży się do tego głównie przez medytację.

— Jakie są zasady, według których buddysta zbliża się do nirwany?

— Trzeba zrezygnować z dóbr materialnych, pamiętać o tym, że ciało, to forma przejściowa. Trzeba przestać się bać śmierci, cierpień i choroby. Człowiek niewierzący boi się zachorować, przejmuje się swoim zdrowiem. Buddysta wie, że to, co na ziemi, to przejściowe, więc całe życie przygotowuje się do odejścia i nie czuje przed nim strachu. Jesteśmy przygotowani na najgorsze, dlatego chyba w Nepalu nie ma chorych psychicznie.

— Nie ma psychiatrów i psychologów?

— Nie ma. Szpitali psychiatrycznych też nie ma. Raz widziałem chorego umysłowo. Ale nie był buddystą. Chodził, gadał do siebie i nie był niebezpieczny dla otoczenia.

— W Nepalu jest 2500 świątyń buddyjskich, kto stoi na czele duchowieństwa buddyjskiego?

— Przywódcami religijnymi są „arnapowie". Może być jeden w kraju, a może ich nie być w ogóle. To są kardynałowie kościoła buddyjskiego. Przywódcą politycznym buddystów lamajskich jest Dali Lama, który od czasu aneksji Tybetu przez Chiny przebywa w Indiach. „Arnapowie" wraz z „barnapami" — mnichami nauczycielami, podróżują po kraju. Jeden jest odpowiedzialny za modlitwy, drugi za nauki. Także przy wyświęcaniu na buddystę obydwaj są obecni.

— Czy każdy może być wyświęcony?

— Każdy. A co więcej, nie musi wyrzekać się swojej wiary. Także ateiści, agnostycy — mogą zostać wyświęceni.

— Czy można zostać buddystą tylko na czas studiów filozofii buddyzmu?

— Są dwa rodzaje wyświęceń. Stałe i tymczasowe. Mnisi chcą, aby kandydat do wyświęcenia stałego był dobrze przygotowany do przyszłej roli, aby wiedział, co go czeka i jakie są założenia wiary. Przede wszystkim chodzi jednak o to, aby kandydat wyrobił w sobie dosyć siły, by móc zrezygnować z dóbr materialnych, a także z rodziny. Trzeba zrezygnować z miłości do żony, do dzieci. Dlatego można być wyświęconym na rok, dwa. Bierze się wtedy udział w wykładach, seminariach prowadzonych nie tylko przez „barnapów", ale także przez profesorów filozofii zapraszanych z całego świata.

— Czy można być wyświęconym na stałe bez etapu wstępnego?

— Można. To zależy od „arnapy" i „barnapy". Decydują, czy człowiek osiągnął stan głębokiej medytacji i zbliżenia się do nirwany.

— Jak się odbywa uroczystość wyświęcenia?

— Najpierw goli się głowę. Mężczyznom najczęściej całkowicie. Mnie zostawiono jeden kosmyk. Dziewczynom obcina się tylko jeden kosmyk. Następnie włosy pali się w specjalnym naczyniu. Potem kapłani posypują wyświęconego ryżem. To na szczęście. Coś w rodzaju święcenia wodą i kropidłem. Nadają imię. To znak, że narodziłeś się po raz drugi i masz szansę stać się lepszym człowiekiem. Wreszcie dają magiczne sznurki specjalnie plecione, które mają zapewnić opiekę w czasie podróży i zwiększyć intuicję. Jeżeli ma się coś przykrego zdarzyć, to prawdopodobnie przyśni się to wcześniej i dzięki zwiększonej intuicji można to odczytać.

— Czy tobie zdarzyło się mieć taki sen?

— Tak. Ile razy przed egzaminem śni mi się wąż, to żebym nie wiem co robił, jak się przygotował, to i tak go oblewam. Wąż — to dla mnie zawsze uniemożliwienie osiągnięcia celu. Jeśli ma się coś udać, to śni mi się, że fruwam.

— Gdzie się nosi takie plecione sznurki?

— Na szyi albo na przegubach dłoni. Ale to nie koniec uroczystości. Potem modlitwy, no i przyjęcie. Mnisi częstują bardzo dobrym jedzeniem. Wspaniałe sery, mleko, doskonałe napoje z owoców.

— Buddyzm lamajski znalazł swoje odzwierciedlenie w sztuce.

— Buddyzm i lamajski, i nepalski zaowocował we wspaniałych świątyniach. Druga co do znaczenia po świątyni w Lumbini, świątynia w Katmandu jest pięknym zabytkiem architektury. Buddyzm lamajski szczyci się swoimi grafikami.

— Jakie były założenia sztuki lamajskiej?

— Podstawowy cel sztuki to nauczanie ludzi dobroci i mądrości. Dzieła uznane za piękne i święte, to takie, które odpowiadają zasadom harmonii formy, celu i idei. Żeby temu sprostać artysta musiał osiągnąć stan czystości duchowej i fizycznej.

— Sztuka lamajska jest oparta na symetrii.

— Symetria lustrzana jest symbolem mądrości buddyjskiej. Życie człowieka jest odbite jak w lustrze, a najważniejsze jest przejście przez lustro, przejście od życia w stan nirwany.

— Jak Alicja w krainie czarów.

— Ta kraina to stan doskonałości wewnętrznej, oderwania się od spraw ziemskich, zbliżenie do boga. Odczuwalna bliskość boga, przy której wszystko co ziemskie jest nieważne.

— Wygląda na to, że bogów w buddyzmie jest bardzo dużo.

— Bardzo. Jest kilka głównych grup bogów. Najwyżsi w hierarchii to lamowie, uczniowie Buddy, dalej boskie istoty, bóstwa opiekuńcze, które bronią przed wszelkim złem, potem bogowie łagodni, też sprawujący funkcje opiekuńcze. Boskie istoty okazujące pomoc wszelkim żywym stworzeniom to bodhisattwowie. Następna grupa to boginie, czyli bóstwa żeńskie. Niektóre mają ludzkie twarze, inne przyjmują postać zwierząt: tygrysów, niedźwiedzi. Obrońcy religii to następny szczebel. Lokalne bóstwa — tych jest bardzo dużo. Wreszcie ostatnia grupa to bóstwa gór, jezior, lasów, stron świata.

— Nepal jest nie tylko świętym miejscem dla buddystów, ale tutaj, zgodnie z mitologią hinduską, na jednym z himalajskich szczytów zasiada sam Sziwa.

— Na górze Kajlas. Sziwa to jeden z wielkich w „gabinecie rządowym" bogów hinduizmu. Ma on uratować świat przed zagładą. To on jest zbawicielem. To na jego powrót czekają wyznawcy hinduizmu. Tak jak na kolejne wcielenie Buddy czekają buddyści lamajscy. Oprócz Sziwy w hinduizmie czołową rolę spełniają Wisznu, Brahma i Bishokarma. Wisznu jest stwórcą całego świata. Stworzył Ziemię. Stworzył wszechświat, czyli „Bermandę". Oprócz naszej planety, w „Bermandzie" istnieją setki tysięcy podobnych światów, także stworzone przez Wisznu. On też ma go kiedyś zniszczyć, gdy przyjdzie na Ziemię przybierając postać człowieka. Brahma, Sziwa i Bishokarma są prorokami, czyli „Mahadev". Brahma stworzył różne istoty żyjące na Ziemi, a Bishokarma jest odpowiedzialny za mechanikę Wszechświata. Dlatego jak Hindusowi zepsuje się samochód, to modli się do Bishokarmy.

— Coraz większą popularność nie tylko w Azji, ale i w Zachodniej Europie, w USA zdobywa sobie Krisna. Młodzi ludzie przebrani w długie luźne szaty, z ogolonymi głowami, żółtą plamą farby nad nosem, rytmicznie tańczą, powtarzając „Hare Krisna, O Krisna Hare".

— To gloryfikacja Hare Krisny przez taniec i śpiew. Hare ot jedno z imion Krisny. Jest on uważany za kolejne wcielenie boga, które musiało objawić się na Ziemi, gdy około 7—8 tysięcy lat temu weszła ona we władanie złych demonów Krisna stoczył z nimi zwycięską bitwę. Jego przyjście zostało wybłagane przez jogów. Mędrców, którzy widząc cierpienie ludzi modlili się o przyjście Pana. Jogin — to w sanskrycie pustelnik. To ludzie, którzy gardzą doczesnością, a przez głęboką medytację i modlitwę zbliżają się do doskonałości.

— Czy w Nepalu dużo ludzi rezygnuje z dóbr materialnych?

— Jest wielu wyznawców buddyzmu, ale niewielu rezygnuje z miłości ziemskiej i z ziemskich dóbr. Myślę, że to jest piętno naszych czasów.

— Czy tobie medytacja przynosi jakieś wytchnienie od spraw życia codziennego?

— O tak, pomaga mi bardzo. Nie jestem mistrzem medytacji. Nie potrafię tak zagłębić się w siebie, by nie słyszeć odgłosów świata zewnętrznego, ale jeśli mam problem, albo zmartwienie, to najpierw tłumię wszystkie związane z tym myśli, potem wyciszam się wewnętrznie, pozwalam mózgowi odpocząć, koncentruję się na jakiejś błahostce. Tak przez piętnaście minut, pół godziny, a potem to już jestem gotów do pokonania trudności. Medytacja jest bardzo dobrym środkiem na relaks psychiczny w ciągu codziennej bieganiny i pozwala zachować zdrowie psychiczne.

Rozmawiał:
ANDRZEJ BETULSKI

PRAHA

Foto: TOMASZ ZARZYCKI

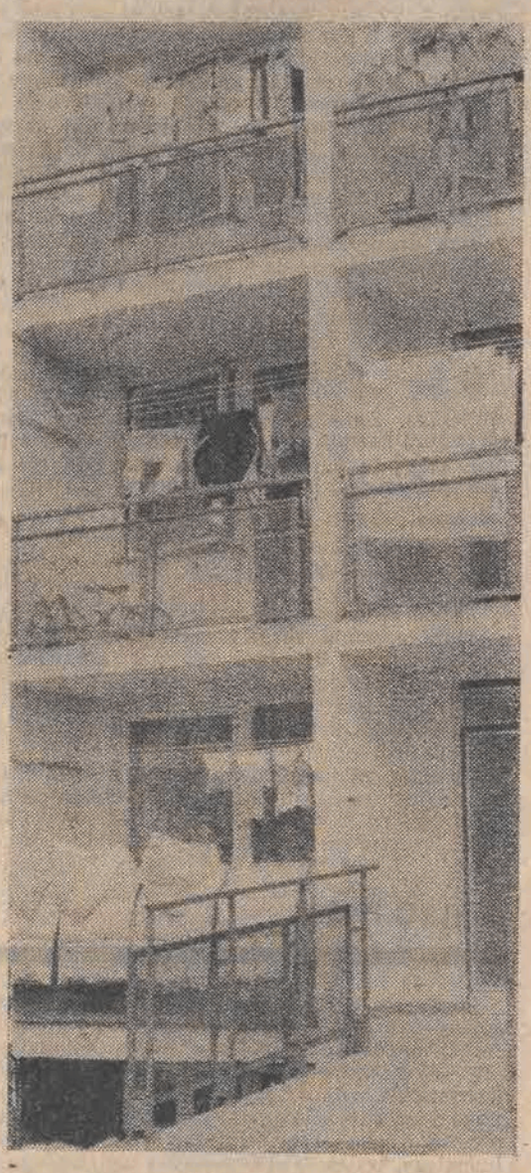

Utracony honor Anglii

„Liverpool, symbol hańby narodu, lecz również miasto trawione przez bezrobocie. Kim są ci chuligani, którzy posiali śmierć na stadionie? Ghislaine Ottenheimer poszukiwała odpowiedzi na to pytanie bezpośrednio w Liverpoolu, mieście żyjącym dziś w szoku". Tak pisze tygodnik L'EXPRESS we wstępie do artykułu (pod powyższym tytułem), w którym przedstawiono dzisiejszy wizerunek Liverpoolu i podjęto na tym tle próbę wyjaśnienia przyczyn niedawnej tragedii na stadionie w Brukseli.

W Liverpoolu na znak żałoby opuszczono flagi. Nigdy dotąd miasto nie było tak przygnębione. Nigdy nie zapomną tu owego wieczoru, 29 maja, w Brukseli, który przyniósł 38 ofiar śmiertelnych.

Liverpool nie ma szczęścia. Od lat miasto jest synonimem upadłości, biedy, bezrobocia i przestępczości. Sauthampton i Rotterdam już dawno temu zajęły pozycję Liverpoolu, który był swego czasu drugim pod względem znaczenia portem na świecie, po Nowym Jorku. Liczące 18 km długości nabrzeża portowe popadają w ruinę. Fabryki zamykane są jedna za drugą. Bawełna, tytoń, samochody... niczego już nie ma. Powoli mieszkańcy uciekali z miasta, które straciło w ten sposób jedną trzecią ludności. Ci, którzy pozostali, skazani są na bezrobocie. W Kirkby, w Toxteth, a więc w dzielnicach biednych, 80 procent młodzieży nie ma pracy. Już dawniej opinia, jaką cieszyło się miasto sprawiała, iż drzwi pracodawców zamykały się przed młodymi ludźmi rodem z Liverpoolu. Obecnie sprawa ma się jeszcze gorzej.

Wszelako, Liverpool, który o mało nie został w XIX wieku stolicą Anglii, w minionych kilkunastu latach czynił wszystko, aby zatrzeć ten negatywny wizerunek. Rada Miejska zorganizowała międzynarodowe wystawy kwiatów, wyremontowała magazyny portowe, przywróciła mieszkania socjalne. Nic to jednak nie dało. A dzisiaj... cała ta krew przelana z powodu meczu FC Liverpool, drużyny w czerwonych kostiumach, „Czerwonych", czterokrotnego mistrza Europy i 15-krotnego mistrza Anglii. Ten klub był dumą miasta: Liverpool nie potrzebował takiej niegodziwości.

Hope Street — jedna z ulic centrum miasta, widać zaniedbanie. O północy jest tu pusto, z wyjątkiem kilku młodych ludzi włóczących się bez celu. Walą w drzwi niewielkiego domu z cegły z pozoru tylko pustego. Żadnego szyldu ani tablicy. Miejsce jest jednak znane. To Casablanka, jeden z tych klubów w podziemiu, gdzie można pójść się napić, od godziny 22.30, kiedy to puby są już zamknięte.

W środku — tłum. Około setki młodych ludzi — studenci bądź bezrobotni, którzy popijają nieustannie piwo. Wśród nich Dary i Mark, 20-latki, dziwaczne dżinsy i koszulki, ogolone skronie, zaś na karku pęk długich włosów. Są trochę ociężali i bezbarwni w tej nocnej godzinie.

„To, co wydarzyło się w Brukseli było nikczemne i podłe. Lecz nie łączcie Liverpoolu z tą tragedią! Liverpool jest może biednym miastem, lecz ma swoją godność i odwagę. Odpowiedzialność jest wspólna Organizacja meczu przez Belgów, rozumiesz... to pomieszanie na trybunach kibiców włoskich i angielskich. A potem te narodowe flagi brytyjskie. Frout Narodowy — skrajnie prawicowy — był również obecny. Kiedy się kibicuje „Czerwonym", to jest to poparcie dla klubu a nie kraju".

To „chuligani' okryli miasto hańbą. I za to właśnie Liverpool żywi do nich śmiertelną nienawiść. Jerzy Wilson i Steve McDonald znajdowali się wówczas na Heysel, na trybunie Y, kiedy to 38 widzów, prawie wszyscy — kibice Turynu, poniosło śmierć w wyniku zgniecenia przez tłum uciekających przed przemocą Anglików. Obaj uczestniczyli w rozróbie, czym chełpili się przed prasą. Woleli jednak później oddać się w ręce policji, ponieważ mieli stracha — obawiali się zemsty ze strony mieszkańców Liverpoolu, którzy napastowali ich złowrogimi telefonami grożąc śmiercią.

Chuligaństwo jest zjawiskiem bardzo szczególnym, właściwym Anglii. Ta niezwykła i dziwaczna nazwa pochodzi od nazwiska niejakiego Patrica Hooligana, irlandzkiego zbrodniarza, skazanego na śmierć w Londynie, w roku 1898. Od tego czasu, owo nazwisko stało się żargonowym synonimem „łobuza". I bardzo szybko też zaczęto określać tym mianem, dokładnie, stadionowych „junaków".

Mówiąc o chuligaństwie na stadionach... w minionych 15 latach pojawiły się dziwaczne dość plemiona angielskie, których nazwy: Mods, Rockers, Skinheads, Teddy Boys, Punks, Aggro — na trwałe weszły do piłkarskiego słownika w Anglii. Ile grup, tyle subkultur stworzonych przez młodzież z klasy robotniczej dla potwierdzenia swojej tożsamości.

Według socjologa, Johna Williamsa, który przez cztery lata żył wśród piłkarskich gangów, chuligani przebywają zazwyczaj w gromadzie, ubierają się wszyscy w ten sam sposób: dżinsy, kurtki: są wytatuowani jak ich morscy przodkowie czy dokerzy. Bardzo duży wpływ wywarli na nich Skinheads, albowiem styl tych ostatnich symbolizuje do przesady wartości cenione przez młodzieżową biedotę z przedmieścia: męskość, surowość, bitność.

Chuligaństwo zawsze istniało w Anglii. Nawet przed pierwszą wojną światową. Wymownym tego faktem niech będzie książka angielskiego pisarza, T. Masona, zatytułowana „Piłkarskie chuligaństwo — brytyjską tradycją?".

David Mulholland, 21-letni student Politechniki w Liverpoolu, dopiero co zakończył pisać rozprawę na ten temat. Wyjaśnia w niej, dlaczego stadiony piłkarskie są wciąż miejscem burzliwego wyzwalania się zahamowań i frustracji. Dlaczego każdy z kibiców chce na stadionie objawić swoją tożsamość i lojalne przywiązanie do własnego klubu. Mamy tu do czynienia z układem „oni" przeciwko „nam". Panuje zatem atmosfera wojny, której towarzyszy „przerost tożsamości grupy do której się należy oraz równoczesny zanik własnego ja".

Mulholland określa chuligaństwo jako swego rodzaju subkulturalne odchylenie powiązane z wandalizmem, pisaniem na murach, niszczeniem miejsc publicznych — przez klasę społeczną, która utraciła swoją siłę i pozycję. Przez klasę, która buntuje się przeciwko umiędzynarodowieniu piłki nożnej i nabraniu przez nią burżuazyjnego charakteru, usiłując w konsekwencji odzyskać kontrolę nad sportem jej — historycznie — przynależnym.

Młodzi, bez pracy, bez nadziei na awans społeczny mają jeden sposób okazania swojej siły i dominacji — broniąc swojej dzielnicy, swojego terytorium. Każda grupa, każdy gang popiera jeden, swój, klub piłkarski. I każdy mecz jest pretekstem do rozróby w celu obrony reputacji twardych ludzi. Jest to punkt honoru. Nie ma mowy, przykładowo, aby nieprzyjaciel wtargnął do sektora, który jest zarezerwowany wyłącznie dla nich. Nie wolno do tego dopuścić, byłoby to bowiem pogwałcenie „naszego terytorium". W tym kontekście można zrozumieć, jakim afrontem była dla „Czerwonych" obecność „czarno-białych" z Turynu na ich trybunie.

Rywalizujące ze sobą na co dzień gangi z tego samego miasta, jednoczą się, kiedy chodzi o obronę honoru ich miasta wobec gości — piłkarzy i kibiców innych klubów angielskich. Z kolei miasta rywalizujące ze sobą w obrębie Anglii stają ramię przy ramieniu, aby stawić solidarnie czoło klubom zagranicznym. Reasumując: na Wyspach Brytyjskich mamy do czynienia z prawdziwą, krajową siatką piłkarskich gangów.

Każdy gang ma swój styl. Członkowie „Servis Crew" z Leeds znani są z aktów wandalizmu. Są to „niszczyciele". Ich specjalnością jest rozbijanie, rzucanie różnego rodzaju przedmiotów, plądrowanie. Ci z Chelsea, Newcastle, Manchesteru są również bardzo niebezpieczni. Kibice Liverpoolu mają natomiast opinię rozrabiąków i noszą za pazuchą noże.

Przemoc istniała zawsze. Dawniej piłkarskie bandy ścierały się między sobą. Burżuje nie pojawiali się w ogóle na stadionach. Jednakże powoli organizatorzy zawodowego piłkarstwa starali się przyciągnąć na mecze środowiska bardziej majętne, mogące płacić drożej za miejsca siedzące (skądinąd mówi się obecnie o wyposażeniu wszystkich stadionów angielskich wyłącznie w siedzenia indywidualne). Trybuny przekształciły się w miejsca, gdzie również obecne zaczęły być rozróżnienia i sprzeczności klasowe. Członkowie klubowych gangów odnosili wrażenie, iż ktoś obcy chce im ukraść ich sport. Stawali się coraz bardziej agresywni. Oddzielenie miejsc siedzących od stojących, wzniesienie barier odgradzających przyniosło jedynie pogłębienie ich frustracji i uczyniło groźniejszymi. Telewizyjne transmisje z meczów oraz narzucenie gangom pewnych rygorów jeszcze bardziej rozniecały pragnienie chuliganów zwrócenia na siebie uwagi. Budzą w ludziach strach i bardzo to lubią.

Naprzeciwko klubu zwolenników „Czerwonych", Billy, 18-letni blondyn, w szortach, z gołym torsem, leżący na trawniku popija z kumplami piwo. Ot, zabijanie czasu. Zgrywają ważniaków, przechwalają się, który palił haszysz, który wąchał kokainę. Nie mają nic do roboty. Dzień mija im na włóczeniu się między stadionem, pubami. Billy był także na stadionie Heysel. Obok niego na trybunie było wielu kibiców, którzy mówili z silnym akcentem „cockney'owskim" (Londyn) i wymachiwali brytyjską flagą narodową. Billy zapewnia, iż byli to zwolennicy Chelsea, podlondyńskiego klubu, który jest, jak powszechnie wiadomo, infiltrowany przez Front Narodowy. Wychodząc po meczu, sześciu młodych ludzi otwarcie przyznało, iż są członkami Frontu.

Właśnie w świecie piłki nożnej oraz w środowisku muzyki rockowej, inny element masowej kultury, to skrajnie prawicowe ugrupowanie werbuje nowych członków i pozyskuje sympatyków. W wyborach w roku 1973 kandydaci Frontu uzyskali, w niektórych obwodach, do 16 procent głosów. Prawie tak samo było w roku 1979, kiedy to zwyciężyła Margaret Thatcher. Obecnie Front Narodowy w coraz większym stopniu wychodzi na ulicę. Stawia na nostalgię za dawną wielkością, za Anglią silną i mężną. Mit, który oczarowuje chuliganów, przyciąga zwolenników swastyki i prowokacji. Przywódca Frontu Narodowego, Martin Wingfield przyznaje zresztą: „Tak, to prawda. Werbujemy nowych członków na stadionach, aktywizujemy naszą działalność tam, gdzie spotkać można najwięcej bezrobotnej młodzieży, która ma po dziurki w nosie wyróżniającego traktowania czarnych". Dla skrajnej prawicy piłka nożna jest z pewnością wspaniałym pretekstem do prowokacji.

Bary nie jest ani chuliganem, ani narodowym frontowcem. Ma 30 lat; w starym opuszczonym składzie, w pobliżu portu, urządził chałupniczym sposobem kilka niewielkich studiów muzycznych. W tych dziwacznych pomieszczeniach młodzież uczy się tańczyć rock n'rolla, bądź nagrywa sobie muzykę rockową. „Liverpool był onegdaj światowym ośrodkiem — żartuje Barry; miasto utrzymywało handlowe kontakty z Nowym Jorkiem, z Indiami Wschodnimi i Zachodnimi. Odkąd jednak Wielka Brytania przystąpiła do Wspólnego Rynku, miasto zostało zepchnięte na obrzeża Europy. Jak tylko trzeba zamknąć jakąś fabrykę, poświęca się wówczas tę, która jest w Liverpoolu, jako zbyt oddaloną od głównych centrów. Tam, na kontynencie postawiono na nas krzyżyk, czyż można się w tej sytuacji dziwić, że nasza młodzież tak się buntuje? Tak, tak nacjonalizm wciąż żyje.

Chuligani zbrukali nie tylko piłkę nożną, czynią to również coraz częściej w odniesieniu do innych sportów angielskich, takich jak rugby czy krykiet, szczególnie podczas większych meczów. Wszystko won! „Ujęcie w karby chuligaństwa będzie dla pani Margaret Thatcher o wiele trudniejsze niż zwycięstwo w wojnie o Falklandy" — pisał niedawno dziennik THE GUARDIAN. W grę wchodzi reputacja „damy z żelaza". Od kilku lat walka z plagą chuligaństwa jest polityczną stawką. O honor Anglii chodziło jeszcze na długo przed tragedią na stadionie Heysel.

Już bowiem w roku 1974 kibice Tottenham sprowokowali zamieszki w Rotterdamie. W r. 1975, Leeds United ukarany został 4-letnią przerwą w rozgrywkach europejskich w następstwie rozróby, do jakiej doszło podczas meczu w Paryżu. W r. 1977 ta sama kara spotkała z kolei drużynę Manchester United. W 1980 r. drużyna narodowa Anglii skazana została na karę grzywny w wysokości 8 tys. funtów za incydenty w Turynie. Rok 1981 — policja szwajcarska aresztowała kibiców angielskich w Bazylei, w następnym roku — zamieszki w Anderlecht, potem była Walencja w Hiszpanii — wszędzie prowokatorami niepokojów byli Anglicy. W roku 1983 kibice Tottenhamu dali znać o sobie ponownie, tym razem w Luksemburgu, podczas gdy kibice z Liverpoolu „zadziałali" w Lizbonie... Nie licząc oczywiście niezliczonych incydentów podczas meczów między drużynami angielskimi, które kończyły się starciami, i w trakcie których uciekano się do takich „argumentów" jak noże czy barbarzyńska broń w postaci, przykładowo, golfowych piłek nabitych gwoździami.

Sytuacja dojrzała już do tego stopnia, że Margaret Thatcher zdecydowała się powołać do życia, 15 marca br., kryzysowy sztab „antychuligański". Działacze zawodowego futbolu i kierownictwo Football Trust (organizator zakładów piłkarskich) podjęli odpowiednie kroki: specjalne pociągi, nadzór policji, rygorystyczne rozdzielenie na stadionie i w okolicy kibiców obu drużyn, zabezpieczenia i właściwe urządzenia stadionów.

Po dramacie w Brukseli, Anglicy zostali wykluczeni z piłkarskich rozgrywek europejskich na czas nieokreślony. Mało tego, rząd brytyjski, a właściwie osobiście sama pani Thatcher, zarządził podjęcie dalszych zaostrzonych środków: zakaz sprzedaży napojów alkoholowych na stadionach i w okolicy, zwiększenie uprawnień policji, nadzór trybun za pomocą wideokamer, wprowadzenie kart identyfikacyjnych dla kibiców, obowiązkowych przy wchodzeniu na stadion. W kraju, gdzie nie istnieje takie coś jak dowód osobisty, była to decyzja historyczna!

„Jesteśmy w stanie kryzysu narodowego" — stwierdza pewien sprzedawca gazet. Stare pokolenie, wychowane surowo w prowincjonalnych szkołach, domaga się dziś przywrócenia kary cielesnej. Konserwatywny deputowany, Terry Dicks twierdzi, iż „jest to jedyna metoda skutecznego przemawiania do tych „podistot" ludzkich". Z kolei przywódca labourzystów, Neil Kinnock, uważa, iż „wykluczenie klubów angielskich z rozgrywek jest zwycięstwem chuliganów. Działania represyjne nie wystarczą. Należy zająć się przyczynami".

To właśnie o tej Anglii, głęboko podzielonej społecznie, myślał Marks pisząc swój „Kapitał". Komunizm nie odniósł jednak sukcesu. Za to teraz następuje era chuligaństwa, które wstrząsa klasą robotniczą: proces zwyrodnienia, stan upadku, które prowokują wzburzenie. ■

Sonia Gandhi

Hindusi nawet nie bardzo wiedzą, jak nazwać Sonię Gandhi. Na ogół nazywają ją „pierwsza dama", chociaż im się to wcale nie podoba, bo brzmi zbyt po amerykańsku. Trudności te łatwo zrozumieć. Po raz pierwszy bowiem w całej historii dynastii Nehru, która panowała w Indiach przez 38 lat od czasu uzyskania niepodległości, premier ma obecnie żonę.

Jawaharlal Nehru był wdowcem, wdowa była też jego córka Indira Gandhi. Ale gdy syn jej Rajiv obejmował władze był już żonaty i w dodatku z cudzoziemką, 38-letnią Włoszką i katoliczką, która poznał w greckiej restauracji, gdy był studentem w Cambridge w Anglii. Sonia Gandhi, z domu Sonia Maino, wywodząca się z solidnej burżuazyjnej rodziny turyńskiej — najczęściej nazywana po prostu Sonią — jest bardzo tradycyjną żoną, a zarazem uchodzi za jedną z najbardziej wpływowych osób w Indiach.

W czasie oficjalnej wizyty z mężem w Stanach Zjednoczonych była elegancka kobieta noszaca swe sari tak doskonale, że zrobiło to wrażenie nawet na hinduskich paniach, tak chętnie krytykujących każdego przybysza z Zachodu, przywdziewającego strój, który wymaga specjalnego sposobu chodzenia i ogromnej praktyki.

Sonia Gandhi włada biegle językiem hindi, a w Delhi krążą plotki, że nawet lepiej włada tym językiem niż jej małżonek. Od czasu swego zamążpójścia w 1968 roku sprawnie zarządzała domem teściowej na Safdarjang Road nr 1, gdzie nadzorowała kuchnię, dyrygowała licznym personelem, a także własnymi dziećmi, synem Rahulem i córką Priyanką.

Sonia jest uosobieniem oddanej hinduskiej żony i była także posłuszna, kochająca synowa, niezwykle lojalna wobec Indiry Gandhi, czyli „Mummy" jak ją zawsze nazywała.

To właśnie Sonia Gandhi wybiegła do ogrodu usłyszawszy strzały, które zabiły Indirę Gandhi 31 października 1984 roku i ona na własnych rękach wniosła broczącą krwią teściową do samochodu, aby jak najszybciej zawieźć ją do szpitala. Rajiv Gandhi przebywał wówczas w Zachodnim Bengalu i dowiedział się o morderstwie z radia BBC. Przez cały czas trwania operacji Sonia szlochała w poczekalni, a potem cała noc czuwała przy zwłokach wystawionych na widok publiczny.

W siedem miesięcy później, mimo swej nowej władzy, Sonia nie miała jeszcze okazji wywrzeć poważniejszego wpływu na życie swego kraju. Pokazuje się publicznie tylko podczas wielkich bankietów lub imprez politycznych, w których decyduje się uczestniczyć razem z mężem. Pierwszego i jedynego wywiadu jako żona premiera udzieliła tygodnikowi DHARMAYUG odrzucając wszystkie inne prośby o wywiad. Przyjaciele twierdzą, że Sonia nigdy nie chciała, aby jej mąż zajmował się polityką i jeszcze się nie pogodziła ze swym nowym życiem. Gdy zabierałam się do tego artykułu, zgodziła się odpowiedzieć na niektóre pisemne pytania, przedłożone jej przez doradcę prasowego premiera, Sharada Prasada.

„Nie interesuje mnie rola pierwszej damy — powiedziała Sonia Gandhi. — W istocie mam niewiele czasu. Mam w domu jeszcze małe dzieci, ale gdy tylko może być z mężem, towarzyszę mu podczas wielu publicznych imprez i obiadów. Obowiązkiem mego męża jest służyć krajowi, a moim obowiązkiem jest służyć rodzinie".

Przyjaciele, zastrzegający sobie anonimowość, określają ją jako poważną, myślącą i nieśmiałą kobietę, wywierającą wpływ moralny na męża, który przywiązuje dużą wagę do jej opinii. Z tego właśnie względu, IMPRINT, szanowany indyjski tygodnik informacyjny, nazwał ją siódmą z kolei najpotężniejszą osobą w Indiach — wyprzedzającą prezydenta Zaila Singhaha również wpływowych przemysłowców K. K. Birle i J. R. D. Tatę.

Sonia twierdzi jednak, że nie ma wielkiego wpływu na męża w określonych sprawach politycznych. „Interesuje się tym co się dzieje, ale nie jestem osobą ingerującą w politykę — powiedziała za pośrednictwem Prasada. — Mój mąż cały dzień zajmuje się polityką. Ja postanowiłam, że nie będę z nim rozmawiać o polityce, gdy wraca do domu".

Po zamordowaniu Indiry Gandhi Sonia i Rajiv przeprowadzili się do przypominającego twierdzę domu na Racecourse Road, obwarowanego wysokim murem z betonu, drutami kolczastymi i posterunkami sił bezpieczeństwa. Dzieci odebrano ze szkoły i obecnie uczą się w domu pod kierunkiem wychowawcy. Podczas publicznych wystąpień Rajiv nosi zazwyczaj kamizelkę kuloodporną.

Sonia Gandhi jest jaskrawym przeciwieństwem swej szwagierki, Maneki Gandhi, wdowy po młodszym bracie Rajiva Sanjayu, który zgodnie z życzeniem Indiry Gandhi miał być jej następcą w dynastii rodzinnej. Po śmierci Sanjaya w katastrofie samolotu w 1981 roku, Maneka usiłowała stać się osobistością polityczną działającą na własną rękę; Indira Gandhi wypędziła ją z domu, ale Maneka utworzyła własną partię polityczną. W ubiegłym roku kandydowała do parlamentu w okręgu Rajiva, sromotnie przegrywając.

Sonia nigdy nie dawała się porwać namiętnościom polityki indyjskiej. Gdy Indira Gandhi przegrała wybory w 1977 roku, Sonia podobno wpadła w panikę i gotowa była wracać do Włoch samolotem, wraz z dwojgiem dzieci i mężem, który był wtedy pilotem cywilnym. Jak pisał tygodnik ASIAWEEK w 1982 roku, w liście do Indiry Maneka skarżyła się, że ona i Sanjay „walczyli zaciekle" w obronie teściowej w okresie rządów partii Janata", podczas gdy reszta rodziny spakowała się i gotowa była do wyjazdu za granicę".

Obecnie Sonia gorliwie zajmuje się dziećmi i sztuką konserwacji zabytków. Oprócz angielskiego, języka hindi i oczywiście włoskiego zna również francuski i hiszpański, a także mówi trochę po rosyjsku. Przed wprowadzeniem nowych przepisów bezpieczeństwa często jeździła do Amethi, okręgu wyborczego Rajiva w stanie Utar Pradesz, gdzie rozdawała wieśniakom lekarstwa, koce i żywność. Na pytanie co najbardziej uderzyło ją w Indiach gdy przybyła tam po raz pierwszy, odpowiedziała za pośrednictwem Prasada: „Pogodni, pełni życia ludzie — mimo warunków w jakich żyją".

Poznała Rajiva — a także Indirę Gandhi — gdy studiowała w szkole języków obcych w Cambridge. W wywiadzie dla hinduskiego tygodnika powiedziała, że przyszła teściowa ustosunkowała się do niej życzliwie, jako że pamiętała swe własne kontrowersyjne małżeństwo z ojcem Rajiva, Feroze Gandhim który był Parsi, pochodzącym z warstwy średniej. Rodzina Nehru zaś była rodziną braminów kaszmirskich.

„Sonia, jestem matką — wspominała synowa pani Gandhi słowa teściowej wypowiedziane wówczas. — Nie potrzebujesz się mnie bać. Ja również byłam tak jak ty dziewczyna zakochana w chłopcu, który pochodził z innej wspólnoty i wyznawał inną religię. Mogę zrozumieć twoją miłość". Gdy po pierwszym spotkaniu z przyszłą teściową Sonia gotowała się do odejścia Indira Gandhi skinęła na nią, wyjęła igłę z nitką, kazała odwrócić się młodej pannie i przyszyła odpruty obrębek jej sukni. „Byłam naprawdę wzruszona — powiedziała Sonia w wywiadzie dla hinduskiego tygodnika. — Naprawdę był to pierwszy podarunek jaki dostałam od Mummy".

(„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE")

■

W kręgu fantastyki

(1)

Dzieci kosmosu

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

1.

Siódma Galaktyka okazała się martwa. Jej słońca, jakby rozumną ręką rozmieszczone, celowo, symetrycznie, niemal w jednakowej odległości, tliły się jeszcze, ale już dawno straciły swoje życiodajne moce. Działała wprawdzie nadal maszyneria poszczególnych układów słonecznych, planety krążyły po swoich orbitach, ale ten odwieczny, zdawać by się mogło, ruch tracił regularność, a przede wszystkim niczemu już nie służył. Zatarły się różnice pomiędzy ciepłymi i zimnymi porami, wszędzie panował dotkliwy mróz, wykluczający istnienie czegokolwiek żywego. Niemal wszędzie szalały wichry, tumany kurzu i kosmicznego pyłu uniemożliwiały w praktyce dokładniejszą obserwację planet, nie mówiąc już o lądowaniu.

— Musimy jechać dalej, tu nie ma czego szukać — tymi słowami rozpoczął posiedzenie Rady Lotów Międzygwiezdnych jej przewodniczący Vindemiatrix.

— Wiedza o Siódmej Galaktyce okazała się mocno zwietrzała — w głosie Ageny zabrzmiała wyraźna nuta rozczarowania a może i goryczy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że cała nasza wiedza o Wszechświecie może okazać się zwietrzała?

— Być może. Sami zresztą odpowiemy sobie na to pytanie po osiągnięciu Jedenastej Galaktyki. Znajdziemy tam, jak twierdzą nasi specjaliści, idealne warunki — Algenib powiedział to tak, jakby już przestawał w cokolwiek wierzyć.

— A jak i tam nie znajdziemy? — spytał Tatenak, najmłodszy członek Rady.

— To przynajmniej będziemy wiedzieć, ile są warci nasi uczeni — mruknął Algenib.

— Jesteś niesprawiedliwy — przerwał mu ostro Vindemiatrix — wiesz dobrze, że nasze ekspedycje dotarły do obu galaktyk i przywiozły mnóstwo dowodów życia w jednej i drugiej. Prymitywnego co prawda, ale niemal idealnego z naszego punktu widzenia. Przecież ty to wiesz, Algenibie!

— No, owszem, ale w takim razie pytam, co się stało?

— Cierpliwości! Prowadzimy badania, myślałem nawet, że omówimy sobie pierwsze wyniki, ale jeszcze nie nadeszły. Zarządzam wobec tego przerwę.

Członkowie Rady rozeszli się zwartymi grupkami po salach recepcyjnych flagowego statku międzygalaktycznego Telemetrii nie przestając dyskutować nad dalszymi losami społeczności wygnanej z macierzystej planety. Przyszłość rysowała się mgliście i groźnie. Gigantyczny exodus objął ponad dziesięć milionów radioteleków, tyleż samo, zgodnie z wynikami powszechnego losowania pozostało na martwej już Telemetrii, zapadło w hibernetyczny sen bez snów i będzie czekać do momentu, kiedy powrócą statki międzygwiezdne, by śpiących obudzić i przewieźć do nowego i szczęśliwego świata. Gdzie jednak tego świata szukać? Na jakiej planecie, w której galaktyce? Siódma, choć uczeni przedstawili niezbite dowody bujnego życia roślinnego na wielu jej planetach, zamieniła się w wielką lodowatą pustynię. Cóż wobec tego zastaną na Jedenastej? Uczeni orzekli, także na podstawie niezbitych dowodów, że na niezmierzonych przestrzeniach Jedenastej dość jest planet zasobnych w rozmaite surowce, choć z reguły martwych. Ale również dość planet żywych o ciepłym, łagodnym klimacie. Na jednych stwierdzono obecność wyłącznie ptaków, olbrzymich, drapieżnych niekiedy i małych, śpiewających, na innych wykryto życie wyłącznie w wodzie.

Nadeszły pierwsze wyniki badań, członkowie Rady wrócili do sali konferencyjnej. I nie najlepsze usłyszeli wiadomości.

— Słońca Siódmej Galaktyki przygasły niemal równocześnie — oznajmił profesor Arkadar, przewodniczący Instytutu Badawczego Wszechświata — co automatycznie nasuwa wniosek o jednej przyczynie sprawczej, dodajmy — działającej już nawet nie po kolei, ale równocześnie.

Natychmiast posypały się pytania.

— Jak są zbudowane słońca Siódmej Galaktyki!

— W sposób klasyczny, zdecydowana przewaga wodoru i helu. Temperatury, ciśnienie, reakcje jądrowe — także klasyczne.

— Co się z nimi w końcu stało?

— Zostały nagle i bardzo gwałtownie przyspieszone reakcje jądrowe. W pierwszej fazie fale gorąca spadły na żywe planety i wypaliły do cna wszystko. W drugiej fazie, kiedy energia słońc zaczęła się wyczerpywać, wszystko z kolei zamarzło.

— Ależ to wygląda na złowrogi, ale rozumny, starannie przygotowany akt zniszczenia.

— I my tak przypuszczamy.

Wybuchła wrzawa, wszyscy krzyczeli do siebie i równocześnie nikt nikogo nie rozumiał. Vindemiatrix z najwyższym trudem opanował sytuację. Po wielokrotnych jego wezwaniach członkowie Rady wreszcie ucichli.

— Będę, jak zawsze, udzielał głosu każdemu, ale mówcie po kolei i w miarę możności zwięźle. Tatenak, proszę bardzo!

Nasz przewodniczący obwieścił tuż przed exodusem wszem i wobec — całkowite zwycięstwo nad Demorionem, zapewnił o zniszczeniu cywilizacji dwunożnych robotów. Czy tak?

— Nie zaprzeczam, przecież to jasne...

— Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem! Obwieściliśmy również, że mimo druzgocącego zwycięstwa musimy opuścić naszą ojczyznę Telemetrię, gdyż w rezultacie, nazwijmy to tak — zniszczeń wojennych, rozpadła się nasza galaktyka i życie na niej nie jest już możliwe. Czy tak?

— Nie rozumiem pytania. Wyłożyliśmy przecież wszystko we wspólnym, powtarzam — wspólnym orędziu Rady do narodu I jeśli się nie mylę, ty podpisałeś orędzie bodaj pierwszy, a teraz masz wątpliwości?

— Owszem, mam, nie tylko zresztą ja.

— Mów więc!

— Demorion przegrał wielką bitwę, tylko bitwę, a myśmy ją wygrali za cenę wygnania z ojczyzny. Wojna jednak trwa. Demorion ocalał i dał już o sobie znać chociażby w Siódmej Galaktyce. To on zgasił słońca i odebrał nam możliwość osiedlenia.

Na sali zapanowała niemal idealna cisza. Wielu członków Rady nie mogło zrozumieć, dlaczego w tak krótkim czasie zamarła Siódma Galaktyka, czemu zamieniła się w lodowatą pustynię akurat ich upragniona druga ojczyzna? Zwycięski bój z żelaznymi robotami Demoriona pochłonął wiele ofiar. Zginęły setki tysięcy mężnej młodzieży, całe właściwie pokolenia radioteleków pędziły w rakietach na przeciwnika z całkowitą pogardą śmierci, pełniły służbę łączności, przeciwrakietową, nie oglądając się na ryzyko utraty życia, a jednak ich macierzysta galaktyka obróciła się w kurz i pył, gnany kosmicznymi wichrami po rozległych obszarach dawnego świata mieszkańców Telemetrii. Połowę żywych trzeba było uśpić, a teraz okazuje się, że pozostali, zamknięci w statkach międzygwiezdnych, tracą szansę na przetrwanie. Cóż to za zwycięstwo? Uczestnikom niedawnej wojny z dwunożnymi robotami wciąż jeszcze wydawało się, że widmo Demoriona krąży pomiędzy zniszczonymi planetami Siódmej Galaktyki, mało jednak kto przypuszczał, iż krąży on sam.

Głos zabrał Algenib, jeden z wybitniejszych specjalistów w dziedzinie techniki falowej.

— Może nam profesor Arkadar zechce powiedzieć coś o sposobie zagaszenia słońc Siódmej Galaktyki?

— Sposób zdaje się wykluczać siły przyrody. Nasza wiedza i nasze długie doświadczenie, nie znają tego rodzaju przypadku. Wiele na to wskazuje, że tak gwałtowne przyspieszenie reakcji termojądrowej wszystkich słońc równocześnie, mogły spowodować odpowiednio silne wiązki promieni laserowych.

— A lasery — wtrącił Algenib — to przecież najsilniejsza broń Demoriona.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Demorion nie tylko żyje, ale prowadzi z nami nadal walkę na śmierć i życie? — zapytał Formalhaut.

— Tak. Nie powiedziałem tego wprost, ponieważ brakuje mi bezpośrednich dowodów, ale myślę podobnie jak Tatenak i wielu innych członków Rady.

— Czemu w takim razie redagowałeś orędzie Rady?

— A czemu ty, jako przewodniczący Rady i prezydent Telemetrii, wnosiłeś poprawki? Czemu, nie mając żadnej pewności, upierałeś się, aby jednoznacznie stwierdzić, że imperium Demoriona, a i on sam, przestali istnieć na zawsze? Czemu?

— To było konieczne. I ty to wiesz i wy wszyscy także — zwrócił się do członków Rady — umęczony naród radioteleków, zwycięski, ale siedzący na gruzach galaktyki, musiał mieć tę pewność, inaczej gotów by sądzić, że wojna, milionowe ofiary, wielkie straty, nie miały najmniejszego sensu. Exodus nie byłby możliwy bez tej dawki optymizmu, jedynej zresztą jaką mogliśmy dać mieszkańcom Telemetrii. I nie byłoby możliwe uśpienie milionów naszych najbliższych bez tej pewności, że nie ma już śmiertelnego wroga, a jest, musi być, chociażby na krańcach Wszechświata, jakaś przychylna planeta, na której odrodzi się nasze życie. Jeżeli nawet skłamaliśmy, a przecież wszyscy wierzyli w koniec Demoriona, to tego rodzaju bezwiednie kłamstwo dawało nam szansę. I ona istnieje, nie ma bowiem, jak dotąd, żadnego dowodu, że Demorion, ten zbrodniarz, istnieje nadal.

Przez dłuższy czas nikt nie zabierał głosu. Profesor Arkadar wahał się, nie mógł jednak milczeć.

— Wiem, jak wielką będziecie przywiązywać wagę do moich słów i właśnie dlatego pragnę oświadczyć, że z punktu widzenia nauki nader trudno jest ustalić przyczyny zagłady Siódmej Galaktyki. Nauka nie jest zresztą służbą policyjną i nie zajmuje się wykrywaniem sprawców nawet najbardziej haniebnych czynów...

— Ależ, panie profesorze — przerwał mu nie nazbyt grzecznie Tatenak — sam pan przecież sugerował...

— Niczego nie sugerowałem. Mówiłem jasno — katastrofa Siódmej Galaktyki zdaje się wykluczać działanie sił przyrody, a nie, że absolutnie wyklucza. Nie znamy, co prawda, podobnego przypadku, ale to przecież niczego nie dowodzi, nasza wiedza wciąż jest ograniczona, a tajemnice wydarzeń kosmicznych w wielu wypadkach nie odkryte. Mówiłem również jasno — katastrofę mogły spowodować istoty rozumne, a nie, że spowodowały. O ile pamięć mnie nie myli, kolega Tatenak nigdy nie słuchał moich wykładów zbyt uważnie i to mu pozostało z czasów studenckich.

Członkowie Rady, rozbawieni dowcipem profesora, jakby trochę odtajali. Tatenak nie wyglądał na speszonego.

— Bardzo pana profesora przepraszam, istotnie nie słuchałem go zbyt uważnie. Ja i zdecydowana większość studentów. Teraz jednak chciałbym spytać już nie wybitnego uczonego, ale obywatela Telemetrii — co pan osobiście o tym sądzi?

— Spodziewałem się tego pytania i odpowiem. Otóż nie wydaje mi się, aby to Demorion skuł lodem galaktykę, to nie w jego stylu. On ma, po prostu, zakodowany instynkt niszczenia, rozbił w puch nasz układ, czemuż nie miałby uczynić tego samego z Siódmą Galaktyką? Proponuję, abyśmy zatrzymali się na dłużej dla przeprowadzenia szczegółowych badań, zawsze możemy na pewien czas odmrozić którąś z wygodniejszych dla nas planet...

— A ja proponuję, żebyśmy pełną mocą wszystkich silników ruszyli w stronę Jedenastej Galaktyki! Natychmiast!

Niespodziewany wniosek Ageny zmącił stosunkowo pogodny nastrój. Jasnowłosa istota, choć należała do znienawidzonych dwunożnych, oddała Telemetrii nieocenione usługi w ciężkiej walce z Demorionem i z jej zdaniem liczono się poważnie. Ale, na dobrą sprawę, mało o niej wiedziano. Wylądowała na Telemetrii wraz z drugą istotą dwunożną — Arielem, niespodziewanie, bez jakiejkolwiek zapowiedzi. Ścigały ją rakiety Demoriona, które zniszczono, aby nie było świadków lądowania.

— Zechciej uzasadnić swój wniosek — powiedział zaniepokojony Vindemiatrix.

— Zagłada Siódmej Galaktyki jest dziełem Demoriona.

— Mówmy precyzyjniej — wtrącił Arkadar — to wcale nie jest zagłada, lecz zamrożenie. Czy nie tak?

— Ależ tak i właśnie fakt zamrożenia nasunął mi wniosek, żeby ruszać natychmiast.

Agena oświadczyła po wylądowaniu, że najprawdopodobniej stworzył ją sztucznie Demorion, Ariela także. Trudno w to było uwierzyć, gdyż — jak się niebawem okazało — Agena znacznie przewyższała swojego twórcę chociażby wiedzą, prezentowała przede wszystkim zupełnie inną postawę, pragnęła zgody, porozumienia, podczas gdy jej „ojciec"? Jakże więc mógł Demorion powołać do życia swoje własne zaprzeczenie?

— Co się z tobą dzieje, Ageno? — niecierpliwił się Tatenak — zawsze mówiłaś spokojnie i rozsądnie.

— Demorion nie ma czasu, on się bardzo spieszy. I nie chodzi mi o jego wiek, wiecie, że młodzieniaszkiem nie jest. On doskonale wie, że jesteśmy od niego szybsi, możemy go dogonić nim zdoła zniszczyć z kolei Jedenastą Galaktykę. I tylko dlatego obszedł się z Siódmą stosunkowo łagodnie, zabrakło mu czasu.

Agena próbowała wyjaśnić swoją wyższość nad Demorionem. Jej zdaniem władca Hegemonii był kiepskim genetykiem, źle dobrał składniki idioplazmy. Stąd tak bardzo wybiegająca w przyszłość ona i równocześnie tak bardzo cofnięty w odległe epoki Ariel, liryczny, tkliwy poeta.

— Powiedzmy, Ageno, że to prawda — Algenib nie wyglądał na przekonanego — ale przecież nic nam z takiej prawdy nie przyjdzie. Nie wiemy jaką przewagę w czasie ma nad nami Demorion. Nie wiemy, kiedy opuścił obszary Hegemonii, w jakim czasie osiągnął Siódmą Galaktykę, jak szybko przygasił jej słońca i odleciał. Nie wiemy i tego, czy on tu rzeczywiście był, nie ma także żadnego dowodu, że Demorion żyje.

— I żadnego, że nie żyje — Agena uspokoiła się — nienawiść jest nie mniej życiodajna niż miłość, przynajmniej u niego.

Wyjaśnienia Ageny nie były przekonywające, nawet dla niej samej. Dopuszczała więc możliwość, iż jest wysłannikiem jakiejś trudnej do umiejscowienia w czasie i przestrzeni szlachetnej cywilizacji dwunożnych. Świadczyły na rzecz tej hipotezy nie nazbyt spójne, ale wyraźne fragmenty pamięci o macierzystej planecie. Podobnie działo się i z Arielem. Oboje pamiętali przecież dobrych, kochających rodziców, ale nie z imienia czy twarzy, przypominali sobie nawet dość dokładnie ich troskę, nosili pod powiekami obrazy swoich rodzinnych domów, jasne i równocześnie nieokreślone, wyraźne i mgliste, mogli mówić nawet o miastach, ulubionych zakątkach, ale nie potrafili nawet w przybliżeniu ulokować tej pamięci w określonym miejscu i czasie. Profesor Arkadar był niekiedy prawie pewien, że po wypełnieniu mocno zakodowanej i nieuświadomionej misji, oboje odzyskają pełną wiedzę o sobie i wrócą w swoje strony Wszechświata.

— Dalsze pozostawanie na obszarze Siódmej Galaktyki uważam za niewskazane. Przepraszam, ale szkoda czasu na dyskusję w sprawie tak oczywistej. Naród nasz pragnie normalnego życia, nie może dusić się bez końca, bez jasnej perspektywy, w statkach kosmicznych. Na Telemetrii zostawiliśmy miliony uśpionych, nasze siostry, bracia i dzieci czekają na przebudzenie. Trzeba ruszać na poszukiwanie nowej ojczyzny bez względu na to, czy Demorion żyje, czy też nie!

— Panie prezydencie — Agena zwróciła się wprost do głowy państwa — pan ma rację, należy bezzwłocznie ruszyć, ale najszybsze statki bojowe powinny startować już, dogonią Demoriona i zdołają przed nim ocalić Jedenastą Galaktykę!

— Słusznie, Ageno! Co chciałeś jeszcze powiedzieć Algenibie?

— Jeżeli Demorion żyje i działa, to ja chyba rozumiem jego zamysł. Chce nas zniszczyć w sposób zdumiewająco prosty. Liczy na to, że się tu zatrzymamy na dłużej i będziemy radzić, badać przyczyny zamrożenia galaktyki, wysłuchiwać się wzajemnie, spierać, analizować, a on tymczasem zniszczy Jedenastą, jedyną, która może nam zapewnić dalszy rozwój. Po głębokim namyśle — popieram wniosek Ageny. Trzeba natychmiast wysłać statki bojowe na Jedenastą!

— Czy ktoś jeszcze chciałby zabrać głos?

— Owszem, ja! — krzyknął Formalhaut — jestem zdecydowanie przeciwny pozbawiania nas statków bojowych! To samobójstwo!

— A nie przesadzasz?

— Chyba nie. Na co liczy Demorion? Otóż on się domyśla, że Agena, która go nienawidzi, poradzi nam właśnie wysłanie statków bojowych na Jedenastą. Jak odlecą — uderzy. Chce nam odebrać tajemnicę fal napędowych, osłonowych, przetwarzających materię, dezintegrujących i wszystkich innych z komunikacyjnymi włącznie, nie nas chce, ale naszych zdobyczy. Powiedz Ageno — mam rację, czy plotę bzdury?

Uwaga niemal wszystkich członków Rady skupiła się teraz na Agenie. Szanowano ją za odwagę w walce z Demorionem, wierzono Agenie, choć jej pochodzenie wciąż wydawało się niejasne. Czyżby się tym razem pomyliła?

— Masz rację, Formalhaucie. My, ludzie, jesteśmy omylni, ulegamy też skrajnym uczuciom, a wtedy tracimy rozsądek. Zaślepiła mnie nienawiść do Demoriona, myślałam wyłącznie o tym, jak dopaść tego okrutnika, zdeptać, zniszczyć tak, żeby już nawet śladu po nim nie zostało. On zna dobrze uczucie nienawiści, jest przecież człowiekiem, nienawiść wkalkulował we wszystkie swoje plany, przewidział więc i moją. Dlatego Formalhaut ma rację, rzeczywiście nie powinniśmy się pozbywać statków bojowych, nie mamy ich zbyt wiele.

— A wniosek? Konkretny wniosek, Ageno!

— Demorion wiedział o życiodajnych mocach Siódmej Galaktyki, leżała w zasięgu jego rakiet. Myślał nawet o przeniesieniu tu swojej siedziby. Ale przecież on nic nie wie o Jedenastej, niby od kogo miałby się dowiedzieć? Dopiero teraz uświadomiłam to sobie. Nie rozumiem co mi strzeliło do głowy, jak mogłam przypuszczać, że Demorion zna tajne plany naszego lotu? Przepraszam was wszystkich... my kobiety bywamy czasem mocno roztargnione. Aha, mój wniosek jest taki — cała flota Telemetrii całą mocą silników na Jedenastą! Demorion przyczaił się zapewne gdzieś w pobliżu, jesteśmy o tym przekonana, ale zgubimy go po drodze, jesteśmy szybsi.

Nikt z członków Rady nie wiedział, co znaczy owo roztargnienie, któremu ulegają kobiety z gatunku dwunożnych, wszyscy jednak poparli wniosek Ageny. Jeden tylko Tatenak upierał się, aby telelokatory zbadały dokładnie obszar galaktyki. I jeśli wykryją obecność Demoriona, to należy uderzyć całą mocą, zetrzeć w proch. Ale ta sugestia nie znalazła już poparcia, miliony radioteleków czekały na nową ojczyznę. Sala opustoszała, pozostali tylko trzej najwyżsi rangą — Vindemiatrix, Algenib i Formalhaut.

— Nie jestem pewien, czy podjęliśmy słuszną decyzję.

— Ani ja — westchnął Algenib — Demorion może żyje, a może nie, może jest gdzieś niedaleko, a może nie, może jednak zna nasze plany i pędzi na Jedenastą, a może pomknął w przeciwnym kierunku, szlakiem naszej „Adary", za Czarny Dół?

— A czy „Adara" wróci, czy nas odnajdzie kiedykolwiek?

2.

„Adara" zbliżała się do Telemetrii stosując nadzwyczajne środki ostrożności. Rakietki zwiadowcze, wyposażone w uniwersalne komunikatory, wykrywacze, podręczne analizatory, sygnalizowały niezmiennie — żadnego życia. Główny audiowizor uruchomiony w centrum analiz powtarzał — żadnego życia, ojczysta planeta to już tylko martwa bryła. Jej miasta, tętniące kiedyś bujnym życiem, krył nieustępliwie szary pył, tumany piasku, gnane ostrymi wiatrami, zasypywały domy, ulice, drzewa, zamarzły rzeki, jeziora, mróz ściął jedyne naturalne morze i wszystkie sztuczne zbiorniki wody. Rzadkie na skalistej Telemetrii lasy, starannie pielęgnowane parki i ogrody pokrył szron tak dokładnie, że wyglądały pozornie jak białokwieciste sady na wiosnę. Trwała jednak surowa zima, niespotykane dotąd tak niskie temperatury uniemożliwiały jakiekolwiek życie. Zmarzły i zesztywniały kwiaty i trawy, przestały krążyć ożywcze soki w drzewach, nie śpiewały już ptaki, na Telemtrię spadło milczenie wszystkiego, co kiedyś żyło, poruszało się, porozumiewało, rosło bujnie, pachniało, tylko lodowate wiatry pracowały niestrudzenie nad przeobrażeniem kwitnącej niegdyś planety w zimną pustynię. Zginęły już pod piaskami małe osiedla, zacierały się ślady wiekowej pracy całych pokoleń radioteleków.

Murzim zebrał załogę „Adary" jak zawsze w centrum analiz. Wiedział oczywiście, że jako dowódca sam będzie musiał podejmować decyzje, tylko od niego zależały losy małej grupki kosmicznych żeglarzy, chciał jednak pierwej wysłuchać wszystkich. W centrum działały audiowizory, które pokazywały w różnych przybliżeniach dźwiękowe obrazy martwej Telemetrii.

— Myślę, że wysłuchamy najpierw profesora.

— A cóż ja mogę takiego powiedzieć — zachnął się Sadalmelek — o czym byście sami nie wiedzieli?

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Fundusz celowy

Byłem w czerwcu w Świnoujściu. Pysznie było! Piękna plaża, prawie czyste morze itd. itd. Jedynym drobnym mankamentem był deszcz, padający nieustannie przez dwa tygodnie. Ale poza tym to naprawdę pysznie było! Plaża, morze itd...

Świnoujście, jak zauważył trafnie kolega Edward Bryl już w zeszłym roku, jest maszynką do robienia pieniędzy, maszynką do wysysania pieniędzy z urlopowicza. Te wszystkie smażalnie frytek, gofrów, ryb, te lody, te kremy, te ciastka. Te drinki wreszcie, te dancingi w „Albatrosach", „Lagunach" i tym podobnych „romantycznych" miejscach.

Otóż sytuacja od ubiegłego roku zmieniła się nieco. Do grona ajentów, handlarzy i innych sezonowych wampirów dołączyły szacowne władze tego sympatycznego miasta. A było tak: Miejska Rada Narodowa w Świnoujściu uchwaliła w dniu 4 kwietnia br. powołanie „Funduszu celowego rozwoju i eksploatacji kąpieliska na terenie miasta Świnoujście". Za tą skomplikowaną nazwą („fundusz celowy" ma być zapewne przeciwieństwem funduszu bezcelowego? Bywały takie, bywały...) kryje *się po prostu nadzwyczajny podatek, jaki ściągają* władze miejscowe od przyjezdnych. Fundusz składa się bowiem z darowizn (!), opłat zryczałtowanych, ściąganych od wszystkich przedsiębiorstw, prowadzących działalność gospodarczą na terenie miasta i opłat stałych od wczasowiczów i turystów. Mianowicie wszyscy, korzystający z campingu płacą dodatkowo dziesięć zł za dobę, a wczasowicze po 250 zł za dwutygodniowy turnus. Pieniądze nie takie wielkie, ale... wziąwszy pod uwagę, że w sezonowym szczycie przyjeżdża do Świnoujścia 65 tysięcy ludzi na raz, co jest liczbą przekraczającą *liczebność* stałych mieszkańców, ogólna suma wpływająca na „Fundusz celowy" wynosi ni mniej ni więcej, tylko 32 i pół miliona miesięcznie, co pomnożone przez trzy miesiące daje prawie 100 milionów! W dodatku, te „przedsiębiorstwa, prowadzące działalność gospodarczą na terenie m. Świnoujścia", które obowiązane są świadczyć na „Fundusz celowy" toż to nikt inny, jak właśnie wymienione na wstępie smażalnie, lodziarnie, cukiernie itp. Nie są to instytucje charytatywne i za pomocą podwyżki cen swoich wyrobów i usług przerzucą ciężar świadczenia na „Fundusz celowy" na barki, a raczej kieszenie, tegoż wczasowicza i turysty, który już raz, meldując się w domu wczasowym, pierwszą ratę haraczu uiścił.

Uiścił zresztą także drugą ratę. Otóż wkrótce po ustanowieniu „Funduszu celowego" co miało miejsce, jako się rzekło 4 kwietnia 1985 roku, ta sama Rada Narodowa uchwaliła podwyżkę tzw. opłaty miejscowej. Nie bardzo wiem co to jest, chyba to samo, co przed laty nazywało się „taksą klimatyczną"? Ta opłata, jak ustaliła Rada Narodowa Świnoujścia w dniu 3 czerwca tegoż roku wynosi dwadzieścia złotych za dobę od każdego dorosłego osobnika. Jak łatwo obliczyć wynosi to dwieście osiemdziesiąt złotych za dwa tygodnie. Razem z obowiązkową opłatą na „Fundusz celowy" daje sumę pięćset trzydzieści zł. Taką właśnie sumę zdarto ze mnie w trakcie powitalnego spotkania z recepcjonistką domu wczasowego. Przy okazji dostałem pokwitowanie tylko na dwieście pięćdziesiąt zł, ale to już inna historia...

Mamy już zatem blisko dwieście milionów, które zgarną świnoujskie władze za sezon. Co one zrobią za te pieniądze? Zobaczymy za rok... Jak głosi tekst uchwały o „Funduszu celowym" pieniądze zużyte zostaną m.in. na „estetyzację nad brzeżną" (Proszę korektę o nie poprawianie, tak było „nad brzeżną").

Na marginesie przypominam że utrzymanie roślinności wydmowej, a jest to bodaj największy wydatek związany z konserwacją plaży nadmorskiej, jest obowiązkiem Urzędu Morskiego i nie obciąża funduszów miejskich. Co to będzie za „estetyzacja"? Zobaczymy.

Pal sześć pieniądze. Tak czy inaczej władze miasta muszą się z nich rozliczyć i wydać na coś sensownego. Choćby na budowę nowego ujęcia wodnego, bo wody w tym nadmorskim mieście na lekarstwo. Co innego mnie niepokoi. Nie znam się na przepisach i ustawach, ale coś mi się widzi, że rady narodowe nie mają uprawnień do nakładania na obywateli dodatkowych podatków. Decyduje o tych sprawach Sejm, który co roku odbywa przecież debatę budżetową, a więc sumuje wpływy i wydatki państwa. Wpływy z podatków też! Może ma takie uprawnienia rząd, może minister finansów. Ale rada narodowa? Chyba nie? (Ma, ma — w umiarkowanym oczywiście zakresie — przyp. red. dyżurnego).

I jeszcze jedna wątpliwość. Jest sprawą dość oczywistą, że żadna władza, pod groźbą ośmieszenia się, nie może ustanawiać przepisów, których respektowania nie może wyegzekwować. A gdybym tak odmówił łożenia na „Fundusz celowy"? Co mi zrobi Rada Narodowa m. Świnoujścia? Zabroni mi wjazdu do miasta? A może miejscowa MO na podstawie nakazu Prokuratury Rejonowej odstawi mnie cłupasem do granic miasta? Mało prawdopodobne.

Na koniec wreszcie chcę stwierdzić, że pomysł włodarzy Świnoujścia bardzo mi się podoba. Jest do zastosowania także u nas, w Łodzi. Proponuję Radzie Narodowej Miasta Łodzi powołanie do życia „Funduszu celowego rozwoju i eksploatacji zabytkowego zespołu architektonicznego śródmieścia Łodzi". Od każdego gościa hotelowego — dychę albo dwie za dobę! Za parę lat uskładamy na filharmonię albo na kawałek metra.

W świnoujskim empiku dowiedziałem się, że do miasta, wsio rawno, sezon nie sezon, przychodzi jeden, słownie jeden egzemplarz „Odgłosów". Ma stałego czytelnika, idzie bowiem do teczki.

Szanowny, drogi Czytelniku „Odgłosów" w Świnoujściu!

Mam do Pana (Pani) prośbę: proszę ten numer pisma z powyższym felietonem pokazać komuś prominentnemu w Pana (Pani) pięknym mieście. Dziękuję.

Kreślę się z szacunkiem.

ANDRZEJ KAROL

2

Spojrzenie znad szachownicy

Prawo krótszej drogi

Gdybym był dajmy na to urodził się Anglikiem i swoje odkrycie opublikował w eleganckim londyńskim czasopiśmie, otaczałaby mnie dziś sława i powszechne uznanie niby samego Parkinsona, zaś PRAWO KRÓTSZEJ DROGI było cytowane gęsto, zwłaszcza na posiedzeniach komitetów osiedlowych i samorządów mieszkańców różnych szczebli.

Miałem jednak tego pecha, że jako brat — Polak, a do tego łodzianin, rzeczone PRAWO KRÓTSZEJ DROGI sformułowałem w „Expressie Ilustrowanym" jakieś dwadzieścia lat temu i choć mam śliczne nazwisko — też zresztą na „P" — Parkinsona zna byle dziecko, a o mnie i o moim prawie nikt nawet nie słyszał.

2.

Cóż on bowiem odkrył, ten cały Parkinson? Odkrył to, co wiedzieli już starożytni Egipcjanie przyglądając się dworom faraona, że biurokracja rozrasta się sama z siebie i sama dla siebie, nikomu i niczemu nie służąc. Opisał to pięknie, nie przecze, gdyby był jednak działkowcem mógłby dodać, że podobnie rozrasta się drzewo zagęszczając do niemożliwości konary i w konsekwencji rodząc coraz to mniej coraz to mniejszych owoców.

A co odkryłem ja, Jerzy P.? Odkryłem to, co wiedzieli już starożytni Grecy, że przeciwprostokątna krótsza jest od sumy przyprostokątnych i to podobno zawsze i wszędzie, niezależnie od ilości napisów „Zieleń zdobi".

(Tu dla ścisłości dodajmy, że kwadrat przeciwprostokątnej równy jest sumie kwadratów przyprostokątnych, jest to jednak zagadnienie z pogranicza wyższej matematyki, w której roztropnie nie będziemy się zagłębiać.)

Grecy w zasadzie mieli sporo czasu — stąd rozkwit filozofii i innych wynaturzonych nauk — dlatego też ze swojego odkrycia nie wyciągnęli żadnych, jak to się ślicznie mówi, moralnych wniosków. Oczywiście za wyjątkiem tego faceta, który gnał spod Maratonu z wieścią o zwycięstwie, bo o ile wiadomo on akurat pędził na skróty, depcąc po skwerach, a nawet kwiatkach objętych ścisłą ochroną, prawie jak my, gdy śpieszymy się do tramwaju.

Na cześć biegnącego urządza się teraz tak zwane maratony, nikt nie zastanawia się natomiast, kędy on biegł i na ile było to słuszne. Z PRAWA KRÓTSZEJ DROGI wynika wprawdzie, że było słuszne, jednak z praktyki dnia codziennego wychodzi odwrotnie, że było niesłuszne i współcześnie nasz maratończyk zapłaciłby tyle mandatów, iż nigdy więcej nie próbowałby zawiadamiać kogokolwiek o czymkolwiek.

3.

PRAWO KRÓTSZEJ DROGI — które ja, Jerzy P., sformułowałem — głosi: mając do wyboru drogę krótszą bądź dłuższą, człowiek przy zdrowych zmysłach, wybiera tę pierwszą i nic na to nie można poradzić.

Jeżeli wolicie wyrazić to językiem geometrii, powiemy, że człowiek przy zdrowych zmysłach woli leźć po przeciwprostokątnej, niż marudnie dreptać po obu przyprostokątnych. A znów po zwykłemu wychodzi na to, że idąc przez placyk idziemy na skos, zamiast dookoła placyku po chodniku. Jeżeli na placyku zasiejemy trawkę i wyjdzie z tego skwerek, PRAWO KRÓTSZEJ DROGI nie straci swojej mocy: ludziska wydepcą ścieżynę na skos, czyli wedle tej cholernej przeciwprostokątnej.

Można tę ścieżynkę zaorać i znów zasiać trawę — za rok zostanie wydeptana od początku. Naturalnemu dążeniu do ułatwiania sobie życia i skracania drogi przeciwstawia się tedy kolejno: kolczaste krzewy, zasieki z drutu (sam widziałem tu i ówdzie!) wreszcie milicjanta. Milicjant skutkuje, póki stoi, gdy jednak sobie pójdzie — ludziska znów zaczną łazić na skróty.

4.

Proszę, spróbujcie od strony Dworca Kaliskiego, czyli od Karolewskiej, udać się na pocztę przy alei Włókniarzy. Przez skwerek wiodą starannie wydeptane dwie, albo trzy ścieżki, na których ani źdźbła trawy nie uświadczysz, mimo iż wszędzie miała tu być bujna zieleń i niepohamowana przyroda, a naród — wedle projektantów skwerku — winien dreptać sobie dookoła, czyli po chodniku.

Naród, choć nie z samych magistrów przecież złożony, wie jednak o tej przeciwprostokątnej, intuicyjnie wyczuwa też słuszność PRAWA KRÓTSZEJ DROGI i wiernie się do niego stosuje. Bezdenny upór skwerkotwórców — którzy projektują pomienione oazy zieleni przy biurku, nie zaś w plenerze — każe im jednak robić swoje i siać trawę, tam, gdzie nigdy nie urośnie.

A ustąpić nie łaska?! Nie łaska uznać, że ludzie mogą śpieszyć się na pocztę, na przystanek, do kiosku, czy gdziekolwiek indziej, a skoro tak, to rozsądnie jest zalegalizować przejścia, które sobie wydeptali?! Przeciwprostokątna istnieje realnie, nie jest wymysłem pana nauczyciela od geometrii, zaś z PRAWA KRÓTSZEJ DROGI wynika, że naród będzie wydeptywał te przeciwprostokątne aż do upadłego. I jeżeli tam akurat położymy chodniczek, ludzie będą nadal chodzić na skos, czyli po swojemu, ale już po chodniku, więc legalnie.

Niestety — i tu wracamy do Parkinsona — przeciętny biurokrata, a także statystyczny projektant skwerków woli wzywać na pomoc milicję, niż zhańbić się tak zwaną pracą myślową.

JERZY P.

3

Lewym okiem

Szukając czegoś...

Szukając czegoś w bibliotece im. L. Waryńskiego trafiłem na ciekawą książeczkę Szczęsnego Herbaczewskiego „Słowa o Polsce, o Bogu i człowieku, o życiu i miłości". Wydana w 1915 roku, a więc podczas pierwszej wojny światowej, w Warszawie okupowanej przez Niemców, pełna miejsc wykropkowanych przez cenzurę. To właśnie najciekawsze w tej książeczce: egzemplarz znajdujący się w naszej bibliotece był podarowany przez autora przyjacielowi, Karolowi Hoffmanowi, przy czym autor wszystkie wykropkowane miejsca wypełnił odręcznie skonfiskowanym tekstem. Mamy więc jedyny egzemplarz dziełka i bez tego bardzo rzadkiego, o tekście kompletnym, ignorującym interwencję niemieckiej cenzury.

Bolesław Szczęsny Herbaczewski, zapomniany już młodopolski poeta, filozof, działacz społeczny, urodził się w roku 1875, studiował literaturę i filozofię w Warszawie, współpracował z nielegalnymi pismami (tygodnik socjalistyczny „Społeczeństwo"). W międzywojennej Polsce był inspektorem Funduszu Bezrobocia, zmarł w niedostatku w roku 1943. Jego brat, Józef Albin, był przyjacielem Boya, współtwórcą „Zielonego Balonika", opisanym jako Sukur — Mukur w tomie „Znasz-li ten kraj". Ów brat optował za narodowością litewską, wykładał wiele lat polonistykę w Kownie jak Herbaciauskas, wrócił jednak do Polski i zmarł w krakowskim przytułku w grudniu 1944 roku. Kiedyś może napiszę więcej o obu braciach.

„Polska dzisiejsza ma za dużo bardów łzawych i synów negujących wszystko — pisał Szczęsny Herbaczewski w „Słowach o Polsce". — Za mało ma synów wierzących i nie ma wcale ludzi czynu".

„Polska ma wysoce utalentowanych, nawet genialnych publicystów, tylko publicyści polscy nie mają zgoła pism szczerych i niezależnych, w których mogliby szczerze pisać".

I pisał tak: „Ja Boga się nie boję, gdyż mój Bóg (jeśli) jest, szczytem sprawiedliwości (winien być, stworzywszy duszę moją ze wszystkim złym i dobrym w niej".) Proszę, jak można wywrócić na nice każdą myśl przez odpowiednie manipulowanie nożyczkami. Słowa, ujęte w klamry, zostały wykreślone. Zamiast „Bóg, jeśli jest, winien być szczytem sprawiedliwości", zostało „Bóg jest szczytem sprawiedliwości"...

Zgodnie z tytułem książeczki, szereg myśli poświęcił Herbaczewski życiu, kobiecie, miłości:

„Mądrej mowy słuchają tylko mądrzy. Ta jest przyczyna, iż tak nielicznych słuchaczy mają zwykle mądrzy".

„Ze wszystkich zalet ludzkich, wzbudzających miłość, rozum stoi na ostatnim miejscu".

„Jedyne prawdziwe zwycięstwo w miłości — ucieczka — powiedział zwycięski Napoleon".

„Nie dysputuj nigdy z kobietą: gdy jej logicznie dowiedziesz, że nie ma racji, ze wzgardą od ciebie się odwróci, jak od człowieka źle wychowanego; gdy zaś swej racji dowieść jej nie potrafisz, wytworzy ci niezawodnie opinię głupca".

„Kobieta na ziemi nie uzyska pełni równouprawnienia, przeszkadzać jej zawsze do tego będą dwie rzeczy: jedna — że nie jest mężczyzną, druga — że jest kobietą".

Jak widzimy, myśli Szczęsnego nie straciły na aktualności i nadal błyskają polotem i dowcipem. Nie wiemy, dlaczego przestał pisać po roku 1918. Wszystko, co napisał, zostało opublikowane wcześniej — sztuka „Ostatni kosz" (I nagroda na konkursie we Lwowie w 1907 roku), parę zbiorków poezji, zbiór nowel tłumaczonych z litewskiego „Młoda Litwa". Może pochłonęła go później profesja urzędnicza. Jak pisał Boy o bohaterze jednej z francuskich komedii: „Musiał mieć życie osobiste obmierzłe i szare, bo tylko wtedy biuro mogło stać się jego poezją, twórczością, jego odwetem i dumą...".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Jak skutecznie udawać Belga?

W Tallinie odbyły się mistrzostwa jazdy na desce z żaglem. Nazywa się to obco — windglidar, ale dyscyplina ta została podniesiona do rangi olimpijskiej i to już jest coś. Jest to coś również i dlatego, że w Tallinie dwie Polki stanęły na podium. Małgorzata Pałasz-Piasecka zdobyła złoty medal, a Joanna Burzyńska — brązowy. Jest się z czego cieszyć. Ale i jest się czym martwić.

Zacząć to wyjaśnię. Cieszyć się trzeba, bowiem nasze zawodniczki odniosły sukces. A martwić się trzeba, bo teraz powstanie klub jazdy na desce z żaglem. Pojawią się prezesi, działacze, trenerzy, kibice, organizatorzy, księgowi, inspektorzy, mecenasi... Pojawią się też obiektywne trudności. Zabraknie desek, żagli, kostiumów, albo jeśli wszystko to będzie, to w gorszym niż u innych gatunku, rodzaju i w ogóle nędza, kryzys i dno. Dyscyplina deskowo-żaglowa przeżyje upadek, z którego może się za sprawą całej tej biurokratyczno-bezorganizacyjnej machiny nie podnieść. Siąść tylko i płakać.

Co mnie upoważnia do takiego pesymizmu i czarnowidztwa? Ano tylko i wyłącznie sportowa rzeczywistość wielu różnych dyscyplin, a przede wszystkim piłki nożnej. Postaram się to uzasadnić.

Jak wiadomo, nasi wspaniali chłopcy mieli wiele trudności i już prawie nie mieli na co liczyć, aby pojechać do Meksyku, gdy tymczasem coś się w nich przełamało i wyszli na prowadzenie i będą mogli osiągnąć wszystko, jeśli pokonają Belgów. A to nie będzie łatwe. Trzeba się do tego dobrze przygotować. W tym celu zorganizowano w Straszęcinie obóz przygotowawczy. Ale piłkarze już nie trenują, pojechali odpoczywać do domu. Przygotowują się też w klubach do nadchodzącego nowego sezonu ligowego. A co powinni byli robić? Powinni byli pojechać na tournée do RFN. Dlaczego więc nie pojechali?

To bardzo proste. Nim jednak odpowiem na to pytanie, muszę jeszcze wspomnieć, że w Straszęcinie zawodnicy Igloopolu Dębica i BKS Bielsko bezskutecznie próbowali udawać Belgów. Rzecz bowiem w tym, że aby pokonać Belgów trzeba przygotować się do takiej gry, która powstrzyma ataki belgijskich piłkarzy i pozwoli samemu zaatakować. Trzeba więc nauczyć się grać przeciw Belgom. A zrobić to można tylko z takimi zespołami, które potrafią udawać Belgów. Naszym wspaniałym chłopcom z Dębicy i Bielska daleko do tego. I dlatego szkoleniowcy, zresztą już dużo wcześniej, umyślili sobie tournée do RFN. Wszakże to kraj dobrego futbolu i grają podobnie do Belgów. W każdym razie im byłoby łatwiej poudawać.

Teraz mogę wrócić do pytania, dlaczego nasi wspaniali piłkarze nie pojechali do RFN? A nie pojechali dlatego, że mamy wspaniałych działaczy sportowych w PZPN. Nie tak dawno wybrano nowy zarząd, który — wydawałoby się — pokona stare trudności i przeszkody i w nowy sposób, po nowemu rozwiąże to, co nie było rozwiązane. Ale okazuje się, że stare bywa trwalsze od nowego. I nasi wspaniali działacze nie załatwili wspaniałym piłkarzom wspaniałego i potrzebnego tournée do RFN.

Zdenerwowany Bernard Blaut słusznie powiedział przedstawicielowi „Expressu Wieczornego", że „wyjazdów nie załatwia się przez telefon lub teleksem" i że w ogóle powinien tym zajmować się PZPN a nie Centralny Ośrodek Sportu. Wypada się z Bernardem Blautem zgodzić, bo już tournée do Meksyku było nieporozumieniem — delikatnie mówiąc. Teraz historia się powtórzyła z wyjazdem do RFN.

W PZPN — sugeruje Bernard Blaut — powinien być specjalny człowiek, którego obowiązkiem byłoby jeżdżenie po świecie i załatwianie kontaktów oraz kontraktów na wyjazdy polskiej reprezentacji. Nic przecież tak nie ułatwia działania jako osobiste kontakty. Porozmawiać można wszystko wyjaśnić, zapytać, rozwiać wątpliwości i tak dalej. Tego ani teleksem, ani przez telefon się nie załatwi.

Co pozostało naszym piłkarzom?

Nic. Czekać na zmiłowanie i trenować w klubach. 21 sierpnia w Goeteborgu zagrają ze Szwedami, a 11 września decydujący mecz z Belgami. I tak już nikomu nie uda się skutecznie udawać Belgów. Natomiast w udawaniu Greków idzie nam wyśmienicie. Nawet kilku trenerów tak się tą rolą przejęło, że z powodzeniem trenuje greckich piłkarzy. I nie musi udawać Greków, bo Polacy w kraju robią to lepiej i skuteczniej. Powodzenia.

BOGDA MADEJ

Wielki las

(4)

ZBIGNIEW NIENACKI

„Jeszcze dziś się stąd wyprowadzę" — taka była konkluzja owych porannych rozmyślań po których Józef Maryn wstał z łóżka, ogolił się, umył, zagotował wodę na herbatę, zjadł śniadanie, osiodłał klacz i pojechał do lasu w bardzo chłodny wiosenny poranek.

Czy miało jakiś sens picie wódki z leśniczym Stefanem Kuleszą i jego dwoma kolegami, także młodymi leśnikami? Józef Maryn raczej rzadko działał bez jakiegoś celu, a na pewno nie piłby z kimś wódki bez konkretnej przyczyny. Poszedł pić do Kuleszy, ponieważ tak się zdarzyło, że jako strażnik łowiecki zamieszkał w jego leśniczówce. Nie chciał sprawiać wrażenia, że się izoluje, a przez to zwracać na siebie szczególną uwagę. Bo tak jak przybył tutaj nagle, z dwoma walizkami i etatem strażnika łowieckiego, tak pragnął kiedyś równie niespodziewanie zniknąć, odejść lub odjechać — jako osobnik zwykły, nijaki, nie do zapamiętania. Zaproszony rankiem przez Kuleszę, kupił w sklepie pół litra wódki i poszedł na wieczorne picie, choć już po pierwszej nocy, jaką spędził pod jednym dachem z Kuleszą i jego dopiero co poślubioną żoną (głupią krową — jak ją określił, gdyż lubił kobiety smukłe, delikatne i kruche jak bibeloty), miał świadomość, że tej pary nigdy nie polubi. Nie miało to rzecz jasna żadnego znaczenia, Józef Maryn tylko od czasu do czasu robił rzeczy, na które miał naprawdę ochotę, a także nie przybył tutaj, aby kogoś polubić. Za cóż zresztą miałby polubić tego młodego głupca z tytułem magistra inżyniera i jego chyba jeszcze głupszą żonę, o pełnych biodrach i szerokich plecach? Leśniczy Stefan Kulesza traktował swoją żonę jak mała dziewczynka pierwszą w swoim życiu lalkę, z którą wybiega na podwórko do koleżanek, aby pochwalić się sukienką, urodą twarzy, puszystością włosów, krojem majteczek i gładkim pod nimi brzuszkiem. Gdy Maryn wprowadził się do leśniczówki, to znaczy po prostu wniósł swoje dwie walizki, już po godzinnej znajomości — Kulesza kazał mu dotykać ud swojej żony, aby przybysz przekonał się jak delikatna i gładka pokrywa je skóra, a nawet w pewnej chwili zadarł żonie spódniczkę i pokazał Marynowi jej obciągnięte majtkami pośladki i uszczypnął je, żeby ten uwierzył, że są twarde jak z kamienia. Odnosił się do swej kobiety jak do wspaniałej rzeczy i chciał odnaleźć w oczach innych ludzi potwierdzenie faktu, że rzeczywiście posiadł coś niezwykłego. A ona przyjmowała to traktowanie z zadziwiającą obojętnością, bez protestu, ale i bez radości. Chyba uznała za coś naturalnego, że wychodząc za mąż za inżyniera Kuleszę stała się jego rzeczą — przedmiotem do zachwytu z jego strony. Chyba była w swym mężu zakochana, Kulesza zresztą prezentował powszechny ostatnio typ urody męskiej — miał ciemne włosy, okrągłą dobrze odżywioną twarz, pulchne usta i czarny wąs. Po wielkich miastach krążyły tysiące takich młodych ludzi, z czarnymi wąsami i krągłymi buźkami, które się zapominało po pięciu minutach i tak na dobrą sprawę jednego osobnika nie można było odróżnić od drugiego. Ale tej dziewczynie mógł się spodobać, tym bardziej, że po stażu, jaki odbył gdzieś na południu kraju, przybył do Mordęgów, aby otrzymać dekret leśnika władającego plantacją nasienną.

Źle się jednak stało, że sypialnia Kuleszów znajdowała się tuż nad pokojem, który mu wynajęto. I że ta młoda para miała skrzypiące łóżko. Ledwo się ściemniło i Maryn położył się na żelaznym wyrku wypożyczonym z magazynów nadleśnictwa, tam na górze łóżko zaczęło skrzypieć jednostajnie i monotonnie. Z początku przyjął to z wyrozumiałą życzliwością, że ten młody leśnik starannie wykonuje swoje męskie zadanie. Ale chyba miał stargane nerwy, ostatnio pękła w nim jakaś wewnętrzna sprężyna, (być może stało się to podczas dwumiesięcznego pobytu w areszcie śledczym i podczas wielogodzinnych przesłuchań) bo nie potrafił zasnąć, choć kiedyś zasypiał niemal na zawołanie i nic mu w tym nie przeszkadzało. Skrzypienie łóżka trwało godzinę, dwie, trzy, potem przestał spoglądać na zegarek, ponieważ jeszcze trwało, gdy w okna zajrzał świt. W drugą i trzecią noc powtórzyło się to samo — nie zmrużył oka dręczony owym monotonnym skrzypieniem łóżka. Potem we dnie chodził otępiały z powodu niewyspania. Wtedy zgodnie z poleceniem Związku Łowieckiego kupił izabelowatą klacz i stare siodło (po krótkiej dyskusji ustalono, że koń będzie lepszy niż motocykl, gdyż można na nim poruszać się bez hałasu i dostać się w każdy matecznik), ustalił też z nadleśniczym Masłochą wszystkie miejsca zaznaczone na mapie sztabowej jako ostoja zwierzyny, bo najchętniej tam grasowali kłusownicy. Na czwartą więc noc wyruszył w las, żeby nie słuchać jednostajnego skrzypienia łóżka, postanawiając sypiać za dnia, a nocą pełnić strażnicze obowiązki. Ale już po godzinie zgubił się w lesie i długo kluczył zanim trafił do leśniczówki Kuleszy. Należało przez jakiś czas za dnia poznawać las, żeby dopiero potem poruszać się w nim nocami. Znowu więc został skazany na dręczące skrzypienie, które zaczęło nieść na dół jakąś wstrętą grozę może właśnie dlatego, że było takie jednostajne i monotonne; Maryn odnosił wrażenie, że tam na górze, na żywej istocie leży nie człowiek, lecz jakiś mechanizm wsuwający do kobiecej pochwy sztuczny członek z mechaniczną rytmicznością. „Jak długo można załatwiać swoją żonę?" — zastanawiał się Maryn i nie szukał odpowiedzi. Potrafił przecież robić to całymi nocami, także niemal nieskończenie. Kiedy pierwszy raz wlazł na Erykę, nie zsunął się z niej aż po kilku godzinach; potem Eryka wspierała się o ściany i o sprzęty w pokoju, tak miała wiotkie nogi, a on był z tego bardzo dumny. Oczywiście nie robił tego na skrzypiącym łóżku. Zresztą, gdzie i na czym tego nie robił? Tak, czynił tę rzecz wspaniale, inaczej nie mógłby pozostać długo w swoim zawodzie. Załatwiał kobiety małe i duże, chude i grube, białe, czarne i mulatki, niektóre o piersiach i udach tak wspaniałych, że ten gówniarz na górze nawet sobie podobnych istot nie wyobrażał; różnął piękne i brzydkie, bardzo młodziutkie i stare baby o obwisłych pośladkach, sztucznych zębach i nieświeżym oddechu, zawsze dokładnie i najczęściej bez przyjemności. Ale tak należało, gdyż między jednym a drugim załatwianiem takiej sprawy prawie każda kobieta lubi paplać nawet bez żadnej zachęty, a ta paplanina miała znaczenie dla Maryna, dla firmy. Tak po jakimś czasie można było nawet uwierzyć, że wszystko na świecie zależy od dobrego różnięcia i sprowadza się do dobrego różnięcia. Zresztą w przypadku Maryna sprawa była o tyle łatwa, że należał on do mężczyzn chłodnych. Może właśnie dlatego, aby rozbudzić się, potrzebował podniet silnych i bardzo wyrafinowanych, co z kolei zachwycało kobiety. Jego pieszczoty oszałamiały je i odbierały rozum, one szalały a on pozostawał zimny, choć nie do tego stopnia, aby nie zrobić im tego, czego oczekują one od mężczyzny. W tej swojej chłodnej postawie dopatrywał się homoseksualnych doświadczeń, które przeżył z przyjacielem we wczesnej młodości — był wtedy pięknym chłopcem o długich jasnych włosach i delikatnych dziewczęcych rysach. Zerwał z tym wcześnie i bez wewnętrznego bólu, ale zapewne jakiś uraz pozostał i dawał mu przewagę nad kobietami. Podświadomie ciągle widział w nich świnki, które należy zmusić do kwiku rozkoszy i oszołomienia; mogło ono trwać dłużej lub krócej, jednak wystarczająco długo, aby przez jakiś czas otrzymywać klucze od pokojów hotelowych i bezkarnie grzebać w cudzych rzeczach, zazwyczaj bowiem grasował wśród pokojówek i sprzątaczek hoteli i pensjonatów. Omylił się tylko w stosunku do Eryki — to nie była zwykła kobieca świnka. Ale zapewne ten gówniarz na górze miał rację, że widział w swojej żonie tylko świnkę i noc w noc ją popychał Maryn starał się podniecić, wyobrażając sobie jak ona leży na skrzypiącym łóżku z rozrzuconymi nogami albo klęczy na czworakach i wypina goły tyłek. Tylko że zamiast choćby odrobiny podniecenia, przeniknęło Maryna uczucie obrzydzenia, bo co innego samemu robić coś takiego, a co innego słuchać czyjejś roboty. A poza tym, Józef Maryn już w tej chwili wiedział na pewno, że nawet najwspanialsze dokazywanie mężczyzny z kobietą nie jest w rzeczywistości aż tak ważne i na dobrą sprawę niczego istotnego w życiu nie załatwia, tak jak niczego nie załatwiło w życiu Józefa Maryna.

Kiedy siedział w areszcie śledczym przyszła do niego Eryka i powiedziała patrząc mu prosto w oczy: „To nam obojgu dobrze zrobi. Ty nie musisz się wysilać, a ja nie muszę cierpliwie znosić twoich popisów seksualnych, od których nigdy nie miałam żadnej przyjemności. Jestem pewna, że chcę rozwodu i że ten rozwód weźmiemy jak tylko przestaniesz kłamać i wypuszczą cię na wolność". Odpowiedział jej: „Przecież wiesz, że nie kłamię". Ale ona potrząsnęła tymi swoimi długimi utlenionymi na blond włosami, które upodobniały ją do pewnej sławnej aktorki filmowej i już po tym ruchu głowy zorientował się, że mu nie wierzy, tak jak inni. Przyszła na widzenie z Marynem niezbyt przejęta jego losem, dlatego był pewien, że znalazła już sobie kogoś, kto jej obiecał więcej, niż mogła otrzymać od Maryna. Nie ukrywała tego przed nim, gdy wreszcie wyszedł z aresztu i poinformował ją, że zostaje na jakiś czas strażnikiem łowieckim gdzieś w lasach na północy. Chciał, żeby tam z nim pojechała, lecz ona wzruszyła ramionami i przyznała się: „To będzie dla ciebie niepojęte, ale zakochałam się. I to w takim facecie, co nie potrafi rżnąć. Nie uwierzysz, ale po tej szkole, którą mi dałeś, to mi się właśnie w nim podoba".

Tak więc ten leśnik na górze noc w noc przez kilka godzin załatwiał swoją żonę, a Józef Maryn musiał słuchać jednostajnego skrzypienia łóżka. I z przerażeniem stwierdził, że choć nie miał już trzy miesiące żadnej kobiety, nawet na samą myśl o rżnięciu dostaje mdłości. Co gorsza — jeśli ten uraz nie minie, zrobi z niego męski wrak i to w trzydziestym piątym roku życia. Ten leśnik na górze, przez to całonocne skrzypienie starego łóżka jak gdyby w nim ów uraz pogłębiał, gdyż obnażał tę sprawę jako coś wstrętnego, kiedy się tego nie robi samemu. A poza tym — powodował bezsenność u Maryna i różne głupie pytania w rodzaju, czy istnieje na świecie wielka miłość i czy koniecznie musi być ona związana ze rżnięciem. Na świecie napisano setki tysięcy książek o miłości, Maryn niektóre z nich nawet czytał, głośno chwalili, lecz w głębi duszy odrobinę chichotał. Po prostu nie znał takiego uczucia i nie wierzył, że istnieje. Należało mówić o miłości, a potem robić z kobietą to, co trzeba, bo do tego właśnie się takie gadanie sprowadzało. Owszem, na jednej kobiecie więcej mu zależało a na innej mniej, jedną się rżnęło lepiej, drugie gorzej, i to nazywał miłością. Dlatego chwalił facetów, co o miłości pisali książki i brali za to pieniądze, podobnie jak on brał pieniądze za to, że ich słowami gadał do kobiet przed pójściem do łóżka i po wyjściu z łóżka. Dlatego tak bardzo się zdziwił, kiedy którejś bezsennej nocy, słuchając jak tamten na górze pieprzy już czwartą godzinę swoją żonę a łóżko skrzypi i pojękuje jak zwierzę, które ktoś dręczy — raptem pomyślał, że może jednak istnieje coś takiego jak wielka miłość. Ba, musiało coś takiego istnieć naprawdę, jeśli niektóre kobiety i niektórzy mężczyźni szaleli za sobą, nie wlażąc ze sobą do łóżka, a w najlepszym wypadku uznając to za dodatek do miłości. On, Maryn, został więc czegoś w życiu pozbawiony, oszukany, nie przeżył nigdy uczucia, o którym napisano tyle książek. Drążyła go ta myśl także i nocy następnej, choć bronił się przed nią podejrzewając, że ucieka w nią, ponieważ sam już nie ma ochoty na kobietę i musi słuchać czyjegoś rżnięcia, więc gotów jest przyjąć, że istnieje na świecie uczucie którego nie przeżył i zapewne nigdy nie przeżyje. Była to prawdopodobnie ucieczka w wyimaginowaną krainę książkowych bzdur. Z powodu tego, co się nie tak dawno przydarzyło, upodobnił się do owych przemądrzałych mięczaków, ciągle zdumionych, że polityką zajmują się ludzie o specjalnych predyspozycjach i że w tej branży nie można mieć czystych rąk. Albo do takich, co to chcą jeść schabowego, ale broń Boże im powiedzieć o jęku zabijanych w rzeźniach świń. Tak samo zresztą traktowali i miłość. Owo subtelne uczucie zwane miłością przypominało im obiad w eleganckiej restauracji, gdzie smakując danie na podgrzanym talerzu, zapominało się o jęku zabijanych w rzeźni prosiąt. Do miłości jednak tak naprawdę dochodziło się przez obolały męski członek i kwik rozkoszy jakiejś kobiecej świnki. Czemu dopiero teraz Eryka powiedziała mu prosto w oczy, że tamte łóżkowe sprawy po prostu ją nudziły i zdecydowała pójść do takiego, co był w męskich sprawach znacznie gorszy, ale za to potrafił kochać. A przecież Józef Maryn też ją po swojemu kochał i od czasu do czasu wlazł na nią na parę godzin, aby jej to udowodnić. Niestety, niczego, jak się okazało, nie udowodnił, a nawet — jak to się również okazało — działał przeciw sobie. Jak więc z tym jest naprawdę — nie wiedział, a pytać nie było kogo, chyba tego gówniarza na górze, co załatwiał żonę od zmroku do świtu na skrzypiącym łóżku.

Pewnego dnia Maryn powrócił do leśniczówki na spienionej klaczy. Niepotrzebnie puścił ją w galop w dusznym, rozgrzanym od wiosennego słońca lesie, gdyż nie wiadomo dlaczego, nagle doznał przeczucia, że w leśniczówce, w szparze pod drzwiami czeka na niego jakiś ważny list. Pod drzwiami niczego jednak nie było (nie otrzymał żadnego listu odkąd zamieszkał w Mordęgach), natomiast klacz miała pokryte pianą boki. Natychmiast wytarł ją szmatą i nakrył kocem, pod którym sypiał (odtąd na kocu pozostały kępki końskich włosów i koc pachniał koniem). Na podwórzu, gdzie wycierał klacz, żona Kuleszy, Weronika, prała bieliznę pościelową w wielkiej balii i mąż pomagał jej rozwieszać białe płachty na sznurze rozpiętym między domem i stajnią. W przerwach siadał na ławeczce przed domem i z zadowoleniem przyglądał się wysoko obnażonym udom żony, które jeszcze bardziej odsłaniały się, kiedy pochylała się nad balią. Natarczywość owych spojrzeń nie sprawiała kobiecie przyjemności albo po prostu wstydziła się obecności Maryna, dwa razy fuknęła coś gniewnie do męża, a potem zajęła miejsce za balią tak, że mąż mógł widzieć jedynie jej twarz, a właściwie czarne napuszone na głowie włosy. Jej wstydliwość jak gdyby rozbawiła i jeszcze bardziej podniecila Kuleszę. Powiedział wesoło do Maryna:

— Nie wygląda pan, panie Maryn, na człowieka, który zna się na kobietach. Radzę dobierać kobiety o takim tyłku jak moja żona. Niech pan sobie popatrzy, bo właśnie na pana swój tyłek wypięła. Ile pan u nas pracuje? Trzy tygodnie, prawda? Jakoś żadnej kobietki jeszcze pan nie przygadał...

— Jestem żonaty — wyjaśnił Maryn.

— Domyślam się tego — skinął głową Kulesza. — Ale trzy tygodnie w lesie bez kobiety to dużo czasu, panie Maryn. Pan o tym nie wie, ale ja to panu mówię z doświadczenia innych leśników, że tym, co pracują w lesie więcej się chce do kobiet niż innym. Las wydziela aromat, panie Maryn. Jebliwy aromat. Grzybów jeszcze nie ma, ale jak zaczną rosnąć i znajdzie się pan wśród sromotników, od razu pan zawróci koniem do domu i wlezie na żonkę. Sprowadzi ją pan tutaj, prawda?

Nakrytą kocem klacz wprowadził Maryn do stajni, nasypał jej owsa, dłuższą chwilę pozostał w półmroku stajni wdychając zapach końskiego nawozu i bezmyślnie wpatrując się w malutkie, zakurzone okienko, a to wszystko po to, aby opanować irytację jaką budził w nim ten gówniarz i przywołać na twarz swój zawodowy uśmiech, który tu nie był mu potrzebny, lecz kiedyś będzie potrzebny, dlatego należało go wciąż trenować. Układać odpowiednio mięśnie twarzy, rozchylać wargi, pokazywać białe równiutkie zęby (te zęby pochłonęły w Londynie jego roczne oszczędności). Wyszedł więc Maryn ze stajni z uśmiechem na twarzy, przysiadł się do Kuleszy na ławeczkę przed domem, otworzył swoją płaską złotą papierośnicę i poczęstował papierosem (papieros był byle jaki i musiał być byle jaki, jeśli Maryn miał tu nie pozostawić głębszego śladu). Teraz już oczywiście wiedział, że jego ostrożność była zbyteczna, ci ludzie być może potrafili dostrzec w lesie ząbkę obgryzioną z liści przez brudnicę mniszkę, młodą sosnę spałowaną przez łosia, ale wobec ludzi pozostawali ślepi i głusi. Dlaczego — tego jeszcze nie pojął. Po kilku spotkaniach z nimi i rozmowach odniósł wrażenie, że przyszło mu żyć wśród beznadziejnych głupców, co zresztą też nakazywało ostrożność, odmienną jednak od tej, którą sobie z początku narzucił. Głupcy bywali niebezpieczni i szkodliwi, trochę się ich bał, ponieważ nie potrafił przewidzieć reakcji głupca, wyobrazić sobie jego sposobu myślenia. On, Maryn, dziesięć lat kształtował w sobie znajomość człowieka, a chyba miał zawsze ku temu odpowiednie predyspozycje, skoro, zamiast, na przykład, zostać leśniczym, stał się tym czym był i radził sobie jakiś czas zupełnie nieźle. W jego zawodzie trzeba było określić osobowość drugiego człowieka w ciągu jednej chwili na podstawie zupełnie z pozoru nieistotnych drobiazgów; za omyłkę płaciło się własną przegraną. On, Józef Maryn, gdyby spotkał w lesie Józefa Maryna, nawet w wyfasowanym mundurku, natychmiast zjeżyłby się wewnętrznie i stał czujnym jak pies, gdy poczuje wilka. Wystarczyłby mu rzut oka na płaski złoty zegarek, jaki jedynie na specjalne zamówienie robiła pewna zagraniczna firma, na garnitur białych zębów, smukłe wypielęgnowane dłonie kieszonkowca i wbrew ostatnio rozpowszechnionej modzie bardzo krótko przystrzyżone włosy po to, aby nikt nie mógł go za nie złapać i przycisnąć głowę do ziemi. Przede wszystkim odruch czujności wzbudziłby w nim pasek z krokodyliej skóry, którym podtrzymywał spodnie. Takie paski miały po wewnętrznej stronie wszyty zamek błyskawiczny i można w nich było trzymać banknoty oraz drobne przedmioty, płaskie i małe, na przykład, jak u niego specjalne blaszki do otwierania zamków w drzwiach hotelowych. Oczywiście, podobnych pasków robiono bardzo wiele, ponieważ najbezpieczniej nosić w nich pieniądze, ale Maryn miał pasek specjalny, wykonany na jego osobiste zamówienie i nie rzucający się w oczy.

CDN

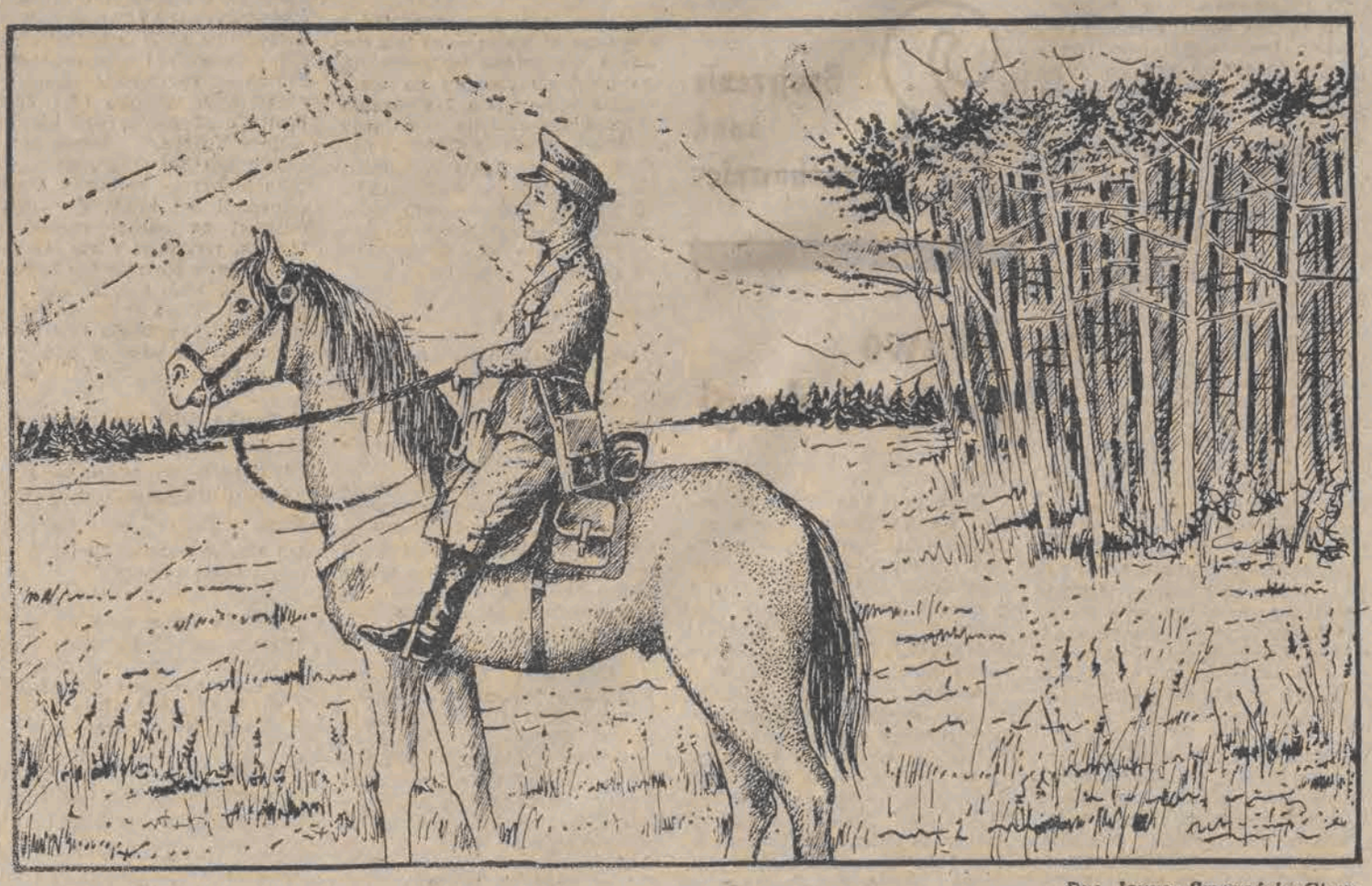

Rys. Janusz Szymański-Glanc